

# JACK KETCHUM

Jack Ketchum u szczytu swoich  
prerażających możliwości.  
Wstrząsająca powieść.

- Stephen King



# JEDYNE DZIECKO

# *Ketchum Jack*

## *Jedyne dziecko*

**Arthur Danse stąpa po ziemi z konkretnego powodu – by uświadomić ludziom, że ten świat jest mrocznym miejscem. Arthur nie uznaje odpowiedzi odmownej – karze za nią strachem i bólem bez względu na to, kim jesteś. Żoną. Kochanką. Przechodniem. Jego ośmioletnim synem...**

**Lydia McCloud miała nadzieję, że małżeństwo z Arthurem okaże się rekompensatą jej wcześniejszych złych wyborów. Że spotkała człowieka, który będzie ją chronił przez złem tego świata. Myliła się bardziej, niż mogła przypuszczać. Prawdziwe zło odnajduje bowiem tuż obok siebie, kiedy Arthur pokazuje swoje skrywane wcześniej oblicze.**

**Zdesperowana Lydia zmuszona jest stoczyć walkę o życie, w której stawką jest los jej jedyne dziecko. A Arthur wykorzysta każdą okazję, aby udowodnić, że nic i nikt nie jest w stanie odebrać mu jego własności.**



*...wściekłość czyni przyszłość,  
na dobre i na złe "*

**Russell Banks**

*Słodkie jutro*

*Wróć, dziecińo, wróć*

*Wróć, dziecińo, wróć*

*Wróć, dziecińo*

*Chcę pobawić się z tobą w dom*

**Arthur Gunter**

## Prolog

### DZIEDZICTWO

*Ellsworth, New Hampshire Wielkanoc, 1953*

Wystarczy, pomyślała. Dość już tego, do cholery. Dziecko płakało.

Dziecko chciało cycka. A może pragnęło, by wzięto je na rękę. Albo zsiusiało się lub zrobiło kupkę, choć niewykluczone, że dopiero miało ochotę załatwić się wprost na nią. Może po prostu kisiło to w sobie, magazynowało, w oczekiwaniu na sprawdzenie pieluchy, kiedy to miało szansę wystrzelić swoimi nieczystościami prosto w jej twarz. Nie była to dla niego pierwszozna.

Wstała z wyra i podeszła do łóżeczka. Mężczyzna nadal spał.

Podniosła dziecko i pomacała pieluchę. Sucha. Pobujała je trochę, ale płakało dalej.

*No, na pewno nie dostanie cycka.*

Jej sutki były już dostatecznie obolałe.

Jeszcze całkiem atrakcyjna z niej kobieta. I wolała, żeby tak pozostało.

Od jutra przechodzimy na butelkę, pomyślała. Nieważne, co mówią lekarze.

*Mogę zrobić z tobą, co tylko zechcę. Wiesz? Należysz do mnie.*

Nadal trochę kręciło jej się w głowie od wypitego podczas kolacji porto, najwyraźniej brał ją kac. Nie przywykła do alkoholu, raczyła się nim od niedawna. A teraz niczego nie pragnęła bardziej niż powrotu do łóżka, chciała przespać ten ból głowy, ale nie, znowu musiała wstać do dzieciaka. Każdej nocy ta sama pieprzona operetka. Co noc i co noc. Mąż *nigdy* się nie budził. Może z raz albo dwa, ale tylko przewrócił się na drugi bok i wybełkotał, że dziecko płacze, jakby jeszcze się tego nie domyśliła, jakby nie okłamywała sama siebie, że da się to przeczekać.

Dzieciakowi może i nie chciało się siusiu, ale jej na pewno.

Zabrała ze sobą maleństwo, myśląc, że może uśnie, jeśli trochę pospacerują tam i z powrotem. Nigdy nic nie wiadomo.

Poszła korytarzem do łazienki, podciągnęła koszulę nocną i kucnęła, z dzieckiem na ręku. Dziecko, którego twarzączka poczerwieniała z gniewu, otworzyło szeroko usta i nieznośny, uporczywy i niesłabnący hałas wypełnił małe pomieszczenie. Poczowała ostry zapach własnego moczu, a potem dziwną, ciepłą, rybią woń dziecka i jego łez.

Niektórzy ludzie nie znoszą zapachu dzieci.

Na przykład ona.

Dla niej dziecko nie pachniało jak człowiek. Kiedy wstała i spuściła wodę, nadal krzyczało. *Naprawdę* krzyczało. Potrząsnęła nim.

Jezu Chryste - powiedziała. - Zamknij się, na litość boską.

Drzewko nadal płakało. Poczowała, że wzbiera w niej złość. *Juz ja cię zamknę*, pomyślała.

*Dość tego.*

Podniosła klapę od sedesu, złapała dziecko za nóżki i obróciła głową w dół. Przemknęło jej przez myśl pytanie, czy naprawdę to zrobi. Jestem do tego zdolna? A odpowiedź brzmiała, że jak najbardziej, do cholery, mam potąd wydzierania się płaczów ssania ślinienia szczania srania mam po dziurki w nosie tego wszystkiego.

Zanurzyła główkę w wodzie.

I przytrzymała.

*Bąbelki.*

*Jęki.*

Żałosne, słabowite. *Kaszel. Mięknie. Dziecko umiera. Jej dziecko.*

O jezu, o jezu, boże, jezu.

Wyciągnęła je z sedesu, całe ociekające wodą, z otwartymi szeroko oczkami, jakby zdziwione, z ustami pełnymi bieżącej wody z muszli. Nastąpiła cisza, przez tę jedną, przerażającą chwilę dziecko nie oddychało. Miało otwarte usta, ale nic się nie działo. Wtedy zaczęła je poklepywać, walić w plecki, ono zaczęło kaszleć, a potem nastąpił krzyk, jakiego nigdy wcześniej nie słyszała. Dziecko wpatrywało się w nią, jakby zobaczyło ją po raz pierwszy w życiu, gapiło się wprost na jej schorowaną, dziką duszę. Przytuliła je bardzo czule tylko po to, by uciec przed jego wzrokiem, przed tym pełnym zdziwienia oskarżeniem, przyciskała je do piersi, myśląc o tym, co zrobiła. Co, na Boga, *zrobiłam!* I mówiła do niego: *kochanie, kochanie, kochanie.*

Jeden

## DZIECI

*Wolfeboro, New Hampshire Czerwiec, 1962*

Dziewczynka stwierdziła, że to na nic i przestała walić w drzwi. Nawet już ich nie słyszała.

Domek śmierdzał ziemią i gnijącym drewnem, ciężki zapach unosił się w wilgotnym, nieruchomym powietrzu. Nadciągał zmrok. Światło, które wpływało do środka przez pęknięcia w pozbawionych okien ścianach, stawało się coraz bledsze.

Musieli włożyć coś we framugę drzwi, pewnie jakiś kawałek drewna, i nie mogła ich otworzyć. Usiadła skulona przy mokrej, lepkiej ścianie. Dziewczynka pachniała wodnistą gliną i własnymi łzami. Pomyślała: *nikt mnie tutaj nie znajdzie.*

Wyobraziła sobie chłopców idących przez bagnisko oddalone może o pół mili stąd. Przedzierają się pewnie przez płytką, czarną wodę i błoto, które może wessać twoje kalosze, nadziejąc żaby na rozwidlone, metalowe włócznie. Jimmy ma już pewnie kilka martwych albo ledwo żywych w wiadrze. Billy nie jest tak szybki i jego wiadro może być puste.

*Musisz to zobaczyć, mówili. Fajowskie.*

Stara leśniczówka stała na kompletnym zadupiu. Jej tatuś nazywał ją *wstrętną konstrukcją*. Od kilku lat, ponieważ nikt już z niej nie korzystał, powoli zatapiała się w bagnie.

Liddy miała jedynie siedem lat.

Nie chciała wchodzić do środka.

Chłopcy, Jimmy i Billy, byli starsi, jeden miał dziewięć, drugi dziesięć lat. Czemu więc kazali *jej* iść przodem? Czemu zawsze *ona!*

Zastanawiała się nad tym, ale i tak weszła przez otwarte drzwi, bo nie mogła pokazać chłopcom, że się boi. Wtedy Jimmy wepchnął ją do środka i wybuchnął śmiechem. Jeden z nich trzymał drzwi, a drugi wetknął coś pomiędzy framugę, by nie mogła się wydostać.

Waliła pięściami, krzyczała, płakała.

Słyszała, jak się z niej śmieją, a potem odchodzą, chlapiąc wodą.

A potem nastąpiła cisza. Na długo.

Usiadła obok drzwi, obejmując nogi ramionami. Wpatrywała się w ziemię i zastanawiała, czy przypadkiem w nocy węże nie będą chciały się do niej dobrać.

Mogła iść o zakład, że był już czas kolacji.

Tata znowu będzie zły.

A mama na pewno się martwi.

- Już wystarczy, *proszę* - powiedziała, choć w pobliżu nie było nikogo. - Wypuście mnie. Proooooooszę!

I tyle na tym zyskała, że znów pogrążyła się w płaczu.

*Chłopcy cały czas gadali o tym, co się tutaj dzieje po zmroku. Cały czas o tym nawijali. Wszyscy wiedzieli.*

Korzystali z tego miejsca mordercy. Uciekinierzy z domu wariatów, którzy lubili robić różne rzeczy dzieciom.



Zwłaszcza dzieciom. Liddy nie znosiła Billy'ego i Jimmy'ego. Marzyła o tym, by umarli. A potem życzyła sobie swojej śmierci. Bo znowu była nieposłuszna. Nie powinna się z nimi zadawać.

Mama i tata ostrzegali ją przed tym miejscem. *Nie chodź tam pod żadnym pozorem* - powiedziała jej kiedyś mamusia.

Ale w okolicy było dość niewiele dzieci, i na dodatek żadnych dziewczynek, a przecież trzeba się z kimś bawić. Czasami Billy i Jimmy byli dla niej mili. Czasami udawało jej się przetrwać cały dzień bez popychania, szczypania i bicia.

Jakby była czyjąś prawdziwą siostrą.

No i zgodziła się pójść z nimi, choć wiedziała, że ta decyzja się na niej jakoś zemści, bo musiała kompletnie im zaufać, polegać na nich, a nawet korzystać z ich pomocy, żeby dostać się aż tutaj, gdyż miejsce to znajdowało się poza szlakiem i nigdy wcześniej nie widziała tej części lasu.

Właściwie to się trochę... zgubiła.

Niewiele więc da jej to, że stąd wyjdzie.

Pomyślała jednak, że zwariuje, jeśli przyjdzie jej siedzieć tutaj całą noc.

Była też ta historia o bagnie, którą opowiadał Jimmy.

Mówił, że kiedyś jego starszy brat, Mike, przyszedł tutaj sam i zobaczył coś w wodzie. Z początku wydawało mu się, że to jakiś pniak, ale kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to ciało. Martwy człowiek z odrąbaną połową twarzy - kompletnie odciętą od czoła do podbródka. Na Mike'a patrzyło jedno otwarte oko, drugiego nie było. Nos również przedzielono na pół, a połowa ust otwarta była w wielkie O, więc Mike pomyślał, że fa-

cet wygląda na nieźle zaskoczonego. Z tyłu głowy widać było kawałki mózgu przemieszanego z kośćmi. Chłopiec pobiegł po policję i godzinę później wrócił z nimi dokładnie w to samo miejsce, ale trupa już nie było. Zniknął. Szukali wszędzie.

Jimmy był kłamczuchem, tak samo jak jego starszy brat, ale powtarzał, że ten facet nawiedzał potem miejsce, w którym umarł. Podobno w nocy słyszał jego jęki wydobywające się z połowy ust i świst powietrza wydychanego połową nosa. On sam chadza w brudnej wodzie zamieszkannej przez węże, żaby i pijawki.

Ale to tylko historyjka.

Jeśli zostanie tutaj na noc, zwariuje. Cała się trzęsła. Robiło się ciemno.

- Mamusiu - wyszeptała.

Usłyszała kroki. Plusk butów w błocie. Coś się zbliżało.

- *Mamusiu* - powiedziała. Myślała o martwym człowieku.

Nie *pomocy*, ale *mamusiu*.

Długi kasztanowy warkocz zaczepił się o chropowate, podniszczone drewno, poczuła piekący ból, kiedy odsuwała się , od drzwi, aż wreszcie niewidzialne szpony puściły. Stała na równe nogi i podbiegła do najdalszej ściany. W wewnętrzną stronę jej dłoni wbiły się malutkie drzazgi ze starego, zgniłego drewna. Nie zważając na to, przycisnęła się plecami do ściany.

- *O to chodzi* - powiedział Jimmy. - Wołaj swoją *mamusię*.

Otworzył drzwi na oścież, zaskrzypiały zawiasy.

- *Płaksa!*

Uciekł, a Billy pobiegł zaraz za nim.

- *Czekajcie!* - krzyknęła. Rzuciła się za nimi.

Kalosze zapadały jej się w błocku, które ochlapało nieosłonięte nogi i krótkie spodenki. Brodziła w bagnie, ale nie była nawet w połowie tak szybka, jak oni. Ani trochę.

Zanim przeszła przez bagnisko, chłopcy zdążyli już wbiec na wzgórze i zniknąć między drzewami.

Kiedy wdrapała się na wzniesienie, straciła ich z oczu.

Znowu była sama.

Zapadał zmierzch, wiedziała, że jeszcze tylko przez kilka minut będzie widno. Gąszcz krzaków i drzew sprawiał, że było już dostatecznie ciemno.

*Którędy?*

Pomyślała, że może...

Przeszła z jednego wzgórza na kolejne. I na jeszcze inne. Bała się i zaczęła płakać. Każde wzniesienie wyglądało tak samo jak poprzednie, a żadne z nich nie wydawało się znajome. Krzewy, roślinność, białe jak papier brzozy i grube, zdradliwe sploty cierni. Szła tak szybko, jak tylko mogła, walczyła z czasem i ciemnością.

Potknęła się, upadła i rozbiła sobie kolano o kamień. Zadygotała, kiedy pulsujący ból rozlał się po jej nodze. Zesztywniała. Poczwała, jak drzazgi włożą głębiej w jej dłoń. Kilka sekund później potknęła się ponownie o wystający spod liści korzeń i upadła na ziemię.

Na ścieżkę.

Wydeptaną, twardą. Rozpoznała sporej wielkości kamień, tam, kilka metrów od niej, upstrzony złotem głupców<sup>1</sup>. Jimmy stanął na nim, kiedy szli tędy wcześniej.

Tak!

1 - Chodzi o pirynt (przyp. tłum)

A więc nie zginie tutaj, nie umrze z głodu i nie zostanie zabita przez jakichś szaleńców, nie pokąsają jej węże, nie będzie nawet musiała słuchać oddechu upiornego człowieka z połową czaszki. Dotrze do domu.

Łzy płynęły ciurkiem po jej ubłoconych policzkach. Trudno było uwierzyć, że ktoś może jednocześnie czuć się tak źle i tak dobrze. Serce waliło jej z ulgi.

Udało się dotrzeć do domu.

Ojciec czekał na nią na ganku. Miał na sobie bankierską koszulę bez rękawów, w ręce trzymał piwo. Siedział w bujanym fotelu i słuchał jej wyjaśnień.

W progu stała matka, patrzyła zza moskitiery, ręce oparła na wzdętym brzuchu. Była w ósmym miesiącu ciąży.

Kiedy skończyła opowiadać swoją historię, ojciec odstawił piwo, wstał i podszedł do niej, zatrzymując się na krawędzi schodów.

- Co jest z tobą nie tak? - zapytał. - Gdzie ty masz rozum? Gdzie ty masz *mózg*, Lydia? A może *wcale* go nie masz, co?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skubała drzazgi, bolała ją ręka, bolało ją krwawiące kolano. Nie obchodziło go to?

- Czy wychowuję *durne* dziecko, Lydia? Myślę, że to możliwe. Matka otworzyła drzwi z siatki.

-Russell...

Ale on zachowywał się tak, jakby jej matka w ogóle nie istniała.

- Słuchaj mnie. Nie jesteś *chłopakiem*, Liddy. Chłopcy robią czasem niebezpieczne rzeczy, czasem głupie. Można powiedzieć, że to część bycia facetem, część procesu dojrzewania. Ale ty nie powinnaś robić takich rzeczy. Rozumiesz? Czy to dla ciebie zbyt *trudne*!

-Nie.

Pomyślała, że znowu się rozplacze. Zastanawiała się, czy dziecko w brzuchu jej mamy będzie chłopcem.

- Co *nie!*

- Nie, sir.

Utkwił w niej swoje blade, niebieskie oczy.

- W porządku. Nie wiem nawet, czemu muszę ci to wszystko tłumaczyć.

Pokręcił głową.

- Szczerze. Czasem nie mam pojęcia, skąd ty się, do diabła, urwałaś.

Odwrócił się i usiadł z powrotem w fotelu.

- Obiad ci wystygł - powiedział. -I zjesz zimny, do cholery. A teraz idź na górę i się umyj. Ubrania sama upierzesz, młoda damo. Rozumiesz?

- Tak, sir.

Zdjęła swoje pokryte błotem kalosze i ustawiła je, jeden przy drugim, obok ganku. Tata sączył piwo. Nic już nie powiedział, nawet na nią nie spojrział. Przynajmniej tym razem jej nie uderzył. Matka otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, by przepuścić ją na schody.

Gdy znalazła się w swoim pokoju, usiadła na łóżku i dopiero wtedy przypomniała sobie, że jest brudna, że może pobrudzić czystą pościel. Podniosła się i wytrzepała narzutę. Pokuśtykała przez korytarz do łazienki i przejrzała się w lustrze.

Twarz, która odwzajemniła spojrzenie, była brudna, ze śladami łez. Miała smutne, ogłupiałe oczy. Poplątały jej się warkoczyki, we włosach tkwiły rzepy, gałązki i liście.

Poczuła się niemal tak samo samotna jak wtedy, kiedy była w leśniczówce.

Niemal.

Trochę mniej się bała, i to tyle.

*Ellsworth, New Hampshire Sierpień, 1962*

Chłopiec leżał w ciemnej, śmierdzącej stęchlizną komórcie pod schodami. Nasłuchiwał. Matka stała po prawej stronie schodów, tuż nad nim, i rozmawiała z funkcjonariuszem Dugganem.

Słyszał ich doskonale.

- Nie będę czekała przez dwadzieścia cztery godziny - mówiła. - Nie ma mowy. I mówię ci to tu i teraz, prosto w twarz.

-Ruth...

- Nie wyjeżdżaj mi z żadną Ruth, znam cię nie od dziś, pamiętam, jak miałaś tyle lat, co Arthur, no nie? No. Pewnie, że tak, do cholery. A teraz *ty* mi powiedz, czy twoja matka czekałaby dwadzieścia cztery godziny? No, odpowiadaj.

Arthur słyszał, jak funkcjonariusz Duggan wzdycha. Dobrze wiedział, jak trudno przekonać jego matkę. Leżał nieruchomo w ciemnościach.

Wyglądał przez drewniane okratowanie, spoglądając przez nadmiernie rozrośnięte krzaki i wyschniętą trawę. Mimo że się ściemniało, widział niemal wszystko od wzgórza aż do mostu i stawu. Zakradł się tutaj, kiedy wszyscy jeszcze spali.

Widział to, co działo się na zewnątrz, ale oni nie mogli zajrzeć do środka. Było tutaj zbyt ciemno i oczy potrzebowały dłuższej chwili, by przyzwyczać się do mroku. Jego matka już się o tym przekonała.

- Kłopot w tym, Ruth, że nie mamy żadnych wolnych ludzi, wszyscy zajęci są tym cholernym pożarem. Żołnierze i wolontariusze przyjeżdżają aż z Compton, by nam pomóc. A z tym

wiatrem i suchą ziemią... cholera, nawet tutaj czuć dym. Spędzimy przy tym kawał nocy.

- Mam gdzieś jakieś pożary, martwię się o swojego chłopaka.

- A czy chcesz, by twój dom poszedł z dymem, Ruth? Tak się stanie, jeśli nie ugasimy tego cholerstwa.

- Ogień jest pół mili stąd.

- Zgadza się, ale wiatr wieje dokładnie w tym kierunku. Najpierw dotrze do domu Wingerterów, a potem do was. Harry, pogadaj z nią, dobra?

Dopiero teraz chłopak zdał sobie sprawę z obecności ojca, który potrafił poruszać się cicho jak Apacz, jeśli tylko tego chciał. Chyba że był pijany.

Brązowy pajak wypełznął z drewna przy wierzchu lewej dłoni chłopca i wspinał się na jego nadgarstek.

Wiedział, że ugryzienie pajaka może być bolesne, ale nie bał się takiego maleństwa.

Niektórzy ludzie się boją.

Ale nie on.

Musiał jednak przyznać, że brzydził się pajaków.

Nie mógł pozwolić sobie na strząśnięcie tego paskudztwa, mogli go usłyszeć. Sięgnął powoli prawą ręką, mocno przycisnął i zgniótł owada na nadgarstku. Z pajaka wylało się coś mokrego i lepkiego. Wylał sobie rękę do sucha, lecz skóra nadal pozostała lepiała.

Nieźle sobie poradził. Żadnego ugryzienia.

- Nie ma znaczenia, co ma do powiedzenia w tej sprawie mój mąż - mówiła jego matka. - Ten chłopak nigdy nie odpuścił sobie niedzielnego obiadu. Nie *ośmieliłby* się. O nie, coś z pewnością jest nie tak. A teraz ja i ty, Ralph Duggan, poszukamy mojego syna. Podejdiesz do samochodu i złożysz raport

o zaginionej osobie czy coś takiego. Jeśli tego nie zrobisz, wejdę do domu i wrócę ze strzelbą, która zachęci cię do spacerku. I jak ci się to podoba?

- Ruth, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Grozisz przedstawicielowi prawa.

- Aresztuj mnie więc, proszę bardzo. No, dawaj. Ale już *po tym*, jak znajdziemy Arthura.

- Chłopcom często coś strzela do głowy, takie rzeczy się zdarzają. Słyszał, jak policjant niecierpliwie szura stopami.

- No i musimy ugasić *pożar!*

-A jakim cudem wiesz, czy właśnie tam go nie ma?

- Gdzie?

- Ośrodku twojego przekłętego pożaru, Ralph. Skąd wiesz, że nie leży gdzieś tam, ranny, na drodze ognia? Mój Arthur miał astmę w wieku trzech lat. Miewał omdlenia. Może miał nawrót albo coś?

- Jezu, Ruth.

Chłopiec uśmiechnął się. Matka wygra. Zawsze wygrywała.

Najlepsze jest to, że skorzystała z tego samego wyjaśnienia, które przygotował dla siebie - omdlenie. A teraz miał pewność, że to poskutkuje, przerazi ich. Nie wiedział, dlaczego chciał, by się bali, po prostu miał taki kaprys. Matka robi z tego wielką aferę, nie będzie musiał jutro iść do szkoły, a może nawet i pojutrze albo popojutrze. Niewykluczone, że wezwą lekarza.

- W porządku, Ruth - powiedział Duggan. - Wygrałaś. Wejdźcie z Harrym do środka. Myślę, że zaczniemy szukać w pobliżu ognia, najbliżej, jak się da, a potem będziemy szli w stronę domu. Nie pozostało wiele czasu do zmroku.

-1 zgłosicie zaginięcie.



- Dobrze. Zgłosimy, Ruth.

Słyszał, jak schodzą ze stopni, a potem dotarł do niego dźwięk otwieranych i zatraskiwanych drzwi samochodu. Duggan uruchomił silnik i odjechał. Nastąpiła znajoma cisza, którą mąciły tylko świerszcze i żaby, żerujące na całej długości drogi prowadzącej do stawu i wzgórza.

Wyczołgał się spod schodów i usiadł na trawie, ramionami obejmując kolana. Nikt go nie zobaczy. Czuł się niewidzialny, jakby istniał w innym świecie niż pozostali, jakby go tutaj po prostu nie było.

Powąchał swoją koszulkę. Potem jeansy. Dym i brud.

Zastanawiał się, czy tamci dalej będą przesiąknięci wonią dymu, gdy wróca, i czyjego matka się zorientuje.

Możliwe, że go nakryją.

Sama myśl przyprawiła go o spazmy strachu, wystarczyła świadomość istnienia niebezpieczeństwa. Podobnie czuł się, kiedy zapalił zapalniczkę przy bujnym krzaku, a potem schował się i patrzył na ogień, który pełznął w stronę drzew i krzewów. Wdychał dym i słuchał trzaskających dźwięków.

Wreszcie to uczucie go obezwładniło, chciał uciec i ukryć się.

A potem ogarnęła go radość.

Był zły.

*A teraz także niewidzialny.*

I nikt nigdy się o niczym nie dowie. Będzie siedział tutaj, aż jego zmysły podpowiedzą mu, że powinien znowu się schować, wtedy wczuł się z powrotem pod schody i posłucha matczynego lamentu i milczenia ojca dochodzącego z wnętrza domu. Wyjdzie, gdy będzie na to gotów, i nikt nigdy się niczego nie domyśli.

Dwa

## NASTOLATKI

*Wolfeboro, New Hampshire Maj, 1971*

- No, dalej, Lyd. Wiesz, że tego chcesz.

- Nie, *nie* chcę.

- Na pewno chcesz.

- *Nie* chcę, nie dotykaj mnie.

- Po prostu złap w ręce, potrzymaj i wtedy *ściśnij*...

Dźwięk był ogłuszający. Puszka po Budweiserze podskoczyła i spadła z pieńka.

- *Boże*, Martin!

- Ale jazda, co nie? Masakra! Jak tylko mój ojciec zobaczył film, musiał sobie kupić takie cacko. Zakład, że powaliliby słonia? Masz. Spróbuj.

- Nie *chcę* powalać słonia.

- Mój tata nie będzie miał nic przeciwko.

- O, na pewno. Dobrze wiesz, że miałby.

- No i co z tego? A kto mu powie?

- Nie możemy wejść do środka? Jest mi zimno.

To nie była prawda. Mocny wiatr wiał od pola, ale nie był chłodny. Właściwie to po raz pierwszy od kiedy skończyła się trwająca wieki, pożerająca wiosnę zima, zaświeciło słońce.

- Nie, dopóki nie spróbujesz.

Nie podobała jej się ta broń. Mówił, że taką miał Brudny Harry. Była gładka i piękna jak wypolerowane srebro. Nie przepadała jednak za zapachem ani za ogłuszającym dźwiękiem, jaki wydawała, ani za tym, jak podskakiwała w jej rękach, jakby była czymś żywym, nad czym miało się jedynie ograniczoną, warunkową kontrolę.

Nie ufała broni.

Wystrzelił ponownie, ale tym razem chybił. Trociny wzbily się w powietrze tuż przy pniaku, a siła pocisku przewróciła dwie puszkę i zatrzęsa pozostałymi. Nawet nauszniaki nie stłumiły hałasu, dźwięczało jej w uszach.

- Mówię ci, pokochasz to. Nie była tego taka pewna. Podał jej broń.

Wzięła ją do ręki i podziwiała wyważenie, ciężar, gładkość.

- O, trzymaj właśnie tak. Oburącz. Musisz rozstawić odpowiednio nogi i znaleźć odpowiedni balans ciała, rozumiesz?

Stał teraz za nią, objął ramionami, swoje dłonie położył na jej dłoniach. Chociaż ta część była przyjemna.

- Dobra, a teraz wyceluj i naciśnij spust. Nie szarp i zegnij łokcie. Ona ma odrzut jak jasna cholera.

- *Ona!* Zaśmiał się.

- Tak, ona. Kopie zupełnie jak ty.

Zrobiła tak, jak kazał, wycelowwała i nacisnęła. Pistolet był dla niej zbyt ciężki, nie mogła go odpowiednio utrzymać. Cyngiel zdawał się topnieć, stopniowo spływał w jej kierunku. Potem wystrzeliła, a wstrząs sprawił, że zadrżały jej ręce.

Na pieńku nic nie drgnęło.

- Wyżej - powiedział. - Musisz strzelać wyżej.

Zastanawiała się, o ile wyżej. Wyobraziła sobie pocisk przemierzający niekończącą się odległość, lecący wiecznie, przez pole, las, a potem przez drogę i wszystko, co znajduje się za nią. Nie mogła dopuścić do siebie myśli, jak tyle mocy, tyle siły, mogłoby po prostu bezwładnie spaść na ziemię.

Jej kula mogła zabić kogoś z miasta obok. Miała to gdzieś. To *on* tego chciał. A ona się zgodziła. Jak zwykle.

Znowu stanął za nią, wziął jej dłonie w swoje i wyciągnął ramiona.

- Bardziej do przodu, Lyd - powiedział. - Lekko przechyl łokcie. Dasz jej lepsze oparcie.

Przycisnął się do niej mocniej. Czowała jego penisa na swoich pośladkach.

Wzdrygnęła się, a gdy się odsunął, odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że wolałby zostać tam, gdzie stał, ale takie były reguły gry - miała zdać sobie sprawę z jego intencji, choć nie posuwał się dalej. Jeszcze nie.

Ale ,ona znała *tę* grę.

I świadomość tego sprawiła, że opanował ją lekki strach. Zupełnie niespodziewanie poczuła też wściekłość.

Wycelowała broń, nacisnęła spust i wystrzeliła. Puszka po piwie zatańczyła i wywinęła fikołka, lśniąc w słońcu.

- Super! Wiedziałem, że potrafisz! Bosko! Odwróciła się i posłała mu uśmiech.

- Możemy już wracać? Zaśmiał się.

- Pewnie, chodź do środka.

Szli wzgórzem. Dotarli do oszklonego ganku, przeszli przez korytarz do salonu. Po raz kolejny pomyślała, że ten dom niezupełnie pasował do kogoś, kto pracował jako prezes banku. Umebłowanie było oszczędne i niedrogie. *Tanie*, jeśli miała być szczerą. Przypominało jej o całkiem niezłym guście matki, który pozostał niezmienny nawet po śmierci jej ojca, a przecież w takich chwilach, jak się domyślała, wiele kobiet nie dbałoby już o takie rzeczy. Oczywiście było na przykład, że matka Martina, której mąż żył, i tak nie interesowała się tymi sprawami.

- Chcesz piwo?

Stał po przeciwnej stronie pokoju i nastawiał płytę - „Rubber Soul” Beatlesów. Jeśli chodziło o muzykę, Martin nie był zbyt ekstrawagancki.

- *Piwo!*

- Pewnie, nie będą tęsknić za jednym czy dwoma.

- Raczej nie, dzięki. Najpierw pistolety, potem piwo.

O ile dobrze orientowała się w sytuacji, nie zmierzało to wszystko do szczęśliwego finału. Zastanawiała się, jak dobrze zna tego chłopaka.

W sumie spotykali się od ponad trzech miesięcy, choć znali się od lat. Jej ojciec pracował dla jego ojca. Młodszy brat Martina był w tej samej klasie co Barbara, siostra Lydii.

Przyszli na pogrzeb jej ojca.

To właśnie przy pochówku Russella McClouda po raz pierwszy ją zauważył. Na stypie nie mogli przestać ze sobą rozmawiać. Ona wzięła ciężar konwersacji na siebie, a jemu wydawało się to nie przeszkadzać. Był niezłym słuchaczem. Nawijała jak szalona.

Ale nie powiedziała mu wszystkiego.

- Na pewno nie masz ochoty? Tak na pewno, na pewno?
- Nie cierpię piwa. Masz pepsi?
- Już niosę. Poszedł do kuchni.

Paul śpiewał akurat „I've Just Seen a Face”. Muzyka ustawiona była zbyt głośno. A może po wystrzale to jej uszy były zbyt wyczulone na dźwięki.

Wstała z kanapy i podeszła do sprzętu, by ściszyć piosenkę. Mieli nowy wzmacniacz i odbiornik Magnavox, więc z początku nie mogła znaleźć odpowiedniego pokrętkła wśród tych wszystkich kontrolek, a Paul nadal darł się swoim słodkim głosem prosto w jej twarz. Znalazła regulację głośności dokładnie w tym samym momencie, kiedy piosenka się skończyła, a John zaczął śpiewać „Norwegian Wood”.

Odwróciła się. Przed nią stał Martin. W jednej ręce trzymał pepsi, w drugiej piwo. Podjęła szybką decyzję.

- Zawrzyjmy umowę - powiedziała.
- Jaką?

Objęła go ramionami i przytuliła.

- Zapomnisz o piwie, a może... no wiesz.
- Tak? Co *wiem!* - śmiał się. Palnęła go w ramię.
- Nie bądź dupą.

Łatwo było zawrzeć taką umowę, to przecież naturalne. Były dziewczyny w jej wieku, które paliły trawkę, były takie, które piły, i były takie, które uprawiały seks ze swoimi chłopakami. Ją interesowała tylko jedna z tych rzeczy.

Uwielbiała dotyk jego ciała. I nienawidziła piwa.

Zawsze czuła je w oddechu ojca, kiedy przychodził do niej w nocy.

Kiedy przychodził, zawsze był wypity.

I to właśnie picie - i głupota, bo jechał zbyt szybko po nieoświetlonej, wiejskiej drodze - go zabiło, a ona została sama z tą malutką, okropną tajemnicą.

- Umowa stoi - powiedział. - Twoje słowo jest dla mnie rozkazem. Żadnego piwa.

Postawił butelki na stoliku i pocałował ją.

Ojciec nigdy jej nie całował.

Chociaż tego nie robił.

Sądziła jednak, że po tym wszystkim nigdy już nie da się dotknąć żadnemu chłopcu, że w wieku szesnastu lat zakończyło się jej życie seksualne. Była zaskoczona, jak szybko i jak mocno zapragnęła Martina.

Lubiła na niego patrzeć, a jeszcze bardziej dotykać. Jego ciało było twarde, ciepłe i gładkie. A kiedy był taki uparty, jak w przypadku pistoletu, albo gdy nieraz stawał się aż nazbyt pyszny, nie przejmowała się, bo tacy po prostu są faceci. No i po raz pierwszy, na tylnym siedzeniu cadillaka swojego ojca, miała orgazm - wbrew temu, co wszyscy mówili, nigdy nie wierzyła, że dziewczyny mogą go mieć. Poczowała, jakby odzyskała na chwilę dziewictwo tylko po to, by zaraz stracić je ponownie.

A jednak po wszystkim nadal czuła się jak zużyty przedmiot.

Zawsze tak było. Jakby seks stanowił jakiś rodzaj leku, który mógł wybawić ją od samotności, winy i smutku. Ale zarazem był też śmiertelną trucizną.

Starła się nie myśleć o tym, jak będzie się czuła po.

Teraz też nie.

Odpiął guziki jej bluzki, podniósł do góry miseczki stanika i położył dłonie na jej piersiach. Sutki zaczęły twardnieć pod jego dotykiem, ciało przeszedł magiczny dreszcz. Czasem po-

trafił doprowadzić ją do orgazmu poprzez pieszczenie jednego z jej cycków. Ale nie powiedziała mu o tym. Wiele rzeczy mu nie wyjawiała. O wielu nikomu nie powiedziała.

- Chodźmy na górę - powiedział i złapał ją za rękę. Poszła za nim.

Po raz pierwszy był wobec niej tak ostry.

Nie wiedziała dlaczego. Zastanawiała się, czy to miało coś wspólnego z bronią. Może obudziła w nim agresję.

Kiedy ścisnął jej sutki, czuła ból. Wewnątrz też odczuwała dyskomfort, a jutro będzie miała fioletowe sińce na ramionach.

Nie miała orgazmu. Nie tym razem.

Kiedy skończył, było jasne, że jest na niego zła. Nie powiedziała ani słowa, ale wiedziała, że on zdaje sobie z tego sprawę. Samo milczenie mówiło wiele.

Nie mógł jednak wiedzieć, że była równie zła na siebie, bo go nie powstrzymała.

Nigdy nie próbowała go powstrzymać.

Po prostu mu na to *pozwałała*.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział. Wychwyciła w jego głosie skruchę. Ale niewystarczającą.

Zatrzasnęła drzwi od samochodu i nie odwróciła się za siebie. Nie miała zamiaru odbierać od niego żadnych telefonów. Ani teraz, ani jutro, a może już nigdy więcej. Byli przecież inni chłopcy. Takich rzeczy się nie robi.

Nie rani się ludzi bez powodu, tylko dlatego, że tak chcesz, a ktoś ci pozwala.

Wbiegła po schodach na ganek, otworzyła drzwi i weszła do środka.



Matka siedziała w salonie i czytała wczorajszą gazetę. Po dochodzącym z kuchni bogatym zapachu zorientowała się, że dzisiaj na obiad będzie szynka w kapuście.

- Cześć, Liddy - powiedziała matka i spojrzała na nią znad rozpostartej gazety. - Co się stało? - zapytała.

Jedyne, na co było ją stać, to płacz. Matka odłożyła gazetę, wstała, przytuliła ją do siebie i zapytała ponownie, co się wydarzyło. Ale Lydia nie mogła powiedzieć, bo nie mogła przecież przyznać się, że uprawia seks z chłopakami, nie w jej wieku, nie w tej rodzinie.

A więc Liddy miała kolejną małą tajemnicę.

*Plymouth, New Hampshire Lipiec, 1971*

Siedzieli przy biurku w małym, oszklonym boksie, kiedy Harry Danse, szurając butami, przeszedł przez drzwi aresztu. Szkło pokryło się mgłą przez krążący tutaj od wielu lat dym papierosowy, lecz Harry od razu zauważył swojego syna. Skierował się w jego stronę.

- Cześć, Ralph.

Duggan kiwnął mu głową. Zauważył, że Harry przybrał na wadze.

Za to syn nie patrzył na niego wcale.

- Jak się miewa Ruth?

- Bez zmian.

Ralph Duggan współczuł facetowi. Harry poślubił piękną, młodą kobietę, która zmieniła się w starą, trzymającą go za jaja zrzędę, a obecny tu chłopak, Arthur, znowu wpadł w tarapaty.

Ale tym razem złapali go na gorącym uczynku.

- Zanim zaczniemy się zagłębiać w to, co się wydarzyło, chciałbym, żebyś coś zobaczył - powiedział Harry.

Sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej złożoną kartkę papieru.

- Co to? - zapytał Duggan.

- Szkolna cenzurka. Widzisz, co tu jest napisane? Same piątki, tylko z algebry czwórka. Chłopak sobie dobrze radzi, Ralph.

- To pewnie pomysł Ruth?

- Zgadłeś. Przyszłaby tutaj sama, gdyby się lepiej czuła.

- Grypa? -Aha.

Duggan westchnął i usadowił się wygodniej na krześle. Patrzył na dyplom. Harry nie żartował, same piątki. Oddał mu świadectwo z powrotem. Harry złożył je i schował do kieszeni koszuli tak ostrożnie, jakby to była kartka z rodzinnej Biblii.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Harry. Usiądź. Jak ci idzie w sklepie?

Harry spoczął na krześle.

- Nieźle, to w końcu nadal jedyne miejsce w Ellsworth, gdzie możesz kupić i mydło, i powidło. Ludziom nie chce się przyjeżdżać, tutaj, do miasta, albo fatygować do Compton.

- A te nowe sklepy na dziewięćdziesiątej trzeciej? Dały ci w kość?

- No, może odrobinę.

- Dlaczego więc nie radzicie sobie z chłopakiem, Harry?

- W przyszłym roku mieliśmy wysłać go do college'u.

- Dacie radę?

- Sądzę, że tak.

Duggan spojrzał na chłopaka, a potem na ojca. Arthur siedział wciśnięty w krzesło, miał kwaśną minę, wyglądał marnie. Ale

Duggan podejrzewał, że chłopak ma gdzieś, że został złapany. Harry nachylił się, zgarbiony, opierając się na biurku. Z jakiegoś powodu przypomniał policjantowi psa, który łąsi się, prosząc o smakołyk i wpatruje się we właściciela dużymi, błagającymi oczyma. No cóż, dzisiaj na pewno nie dostanie żadnych łakoci.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej gruby, czerwony, szwajcarski scyzoryk wojskowy.

- Masz takie w sklepie, co nie?

- No pewnie.

- Za ile je sprzedajesz?

- Takie jak twój za jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć dolarów.

- A więc dlaczego Arthur próbował ukraść ten nóż u Beckera?

Harry wydawał się niepocieszony. Pokręcił głową.

- Tak, gdybym to ja wiedział - powiedział Duggan. Pozwolił, by cisza zawisła na chwilę w powietrzu. Chociaż tyle mógł zrobić.

- Sę w tym, że Becker nie wnosi oskarżenia. Przyznam, że według mnie robi źle. Ale staruszek zna cię i poważa, Harry, siedzicie obaj w tym samym interesie od lat. Jeśli o mnie chodzi, to skierowałbym sprawę do sądu dla nieletnich. Dobrze wiesz, tak jak i ja, że nie jest to pierwszy raz, kiedy Arthur wpada w tarapaty, choć wcześniej nigdy nie złapaliśmy go za rękę.

Usłyszał, że chłopak coś mamrocze.

- Słucham?

- Mówiłem, że wy nigdy...

- No właśnie. *Nigdy*. Ale powiem ci coś, chłopcze. Wystarczy mi jedno spojrzenie, bym wiedział, że jesteś winny jak cholera, nie próbuj więc robić mnie w chuja, bo wiem też, że to ty jesteś

odpowiedzialny za ubiegłoroczne włamanie. Ale masz rację. My *nigdy*. Ale kiedyś, któregoś dnia, ktoś cię nakryje. Możesz się założyć o swoje jebane, piątkowe świadectwo. Ktoś cię złapie.

Spojrzał na Harry'ego. Nadal przypominał Dugganowi psa, tym razem zbitego.

*Czemu zawsze miał ogromną ochotę przeprosić tego człowieka?*

- Możesz zabrać go do domu, Harry. I pozdrów ode mnie Ruth.

Otworzył przed nimi drzwi. Chłopak wyszedł pierwszy. Był szczupły, poruszał się szybko. Ojciec człapał za nim o wiele wolniej. Mogliby spokojnie zostać więźni za parę nieznanomych, którzy akurat przypadkiem idą tym samym korytarzem.

Duggan wyjrzał z boksu.

-Harry?

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił. Jego syn nadal szedł w stronę drzwi.

- Na jakie studia, Harry? Gdzie go wysyłacie?

- Uniwersytet w Bostonie. Boston, Massachusetts. Powiedział to tonem mającym sugerować dumę. Duggan pokiwiał głową.

-No cóż... powodzenia, Harry.

Patrzył, jak mężczyzna odchodzi. Zapalił papierosa i usiadł z powrotem przy biurku.

Zastanawiał się, czy to jego ostatnie spotkanie z Arthurem Dansem. Pewnie tak, chłopak idzie na studia jesienią. Nie mógł powiedzieć, że będzie mu przykro z tego powodu.

Uniwersytet Bostoński. Szkoła z dobrą reputacją, nawet Duggan o niej słyszał. Na swój sposób mu to zaimponowało.

Ale śmieć pozostanie śmieciem, pomyślał.

Teraz to Boston będzie miał z nim problem.

Trzy

## DROGI SIĘ KRZYŻUJĄ

*Boston, Massachusetts Wrzesień, 1974*

- Pomyślałam, że może wolisz usłyszeć to na własne uszy  
- powiedziała do niego dziewczyna. - Spierdalaj.

Odwróciła się, by odejść.

*O tak*, pomyślał. Twarda jesteś, a jak. Pewnie, oby tak dalej.

Ale w tym przypadku popełnił błąd, i to błąd jak cholera. Musiał to przyznać.

-Nie wiedziałem, Annie! Przysięgam, że nie wiedziałem. Wejdź do środka, proszę. Posłuchaj, jak to wygląda z mojej strony.

- *W dupie* mam twoją stronę, Arthur.

- Daj mi chociaż minutkę, wysłuchaj mnie, proszę.

Odsunął się na bok i spojrzał na nią. Przez chwilę się wahała, ale jednak weszła do jego mieszkania. Widział, że jest poważnie wkurzona, nie udawała. Kręciło go, gdy się wściekała. W gruncie rzeczy leciał teraz na nią bardziej niż dwie noce temu, kiedy ją rznął.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, jakie to upokarzające? Wpuściłam cię do swojego łóżka w piątek, a ty już w sobotę posuwasz moją *współlokatorkę*!

Zamknął za nią drzwi.

- Nie *wiedziałem* o tym. Zrozum, Annie. Czemu miałbym to robić? Czy wyglądam na idiotę? Czy wydaje ci się, że chcę to wszystko zniszczyć? Obie jesteście niezwykle atrakcyjne, przyznaję, ale to wszystko. No, nawet *bardzo* atrakcyjne. Tańczyłem z Denise na imprezie dla pierwszego roku. Nie poszłaś, nie było cię tam. A potem, po tańcach, zaprosiłem ją na drinka. To było w ubiegły weekend, Annie. Nawet jej nie *znałem*. *Ledwo* znałem ciebie. Nawet jeszcze nie spotykaliśmy się ze sobą, dopiero ustaliliśmy *termin* pierwszej randki. Skąd mogłem wiedzieć, że ty i ja... że tak się polubimy? Nie wiedziałem przecież, że będziemy się kochać, prawda?

- Ale wiedziałeś *wczoraj*, prawda, draniu? A i tak się z nią pieprzyłeś! Kim ty, kurwa, jesteś, jakimś Romeo ze szkoły średniej? Darem Boga dla dziewczyn z pierwszego roku? Wiesz co? PIERDOL SIĘ, Art! PIERDOL SIĘ!

- Mam sąsiadów, Annie.

- Tak, a *ja mam* cały akademik pełen dziewczyn, które sobie ze mnie robią *jaja*). *Cóż*, może Denise potrafi się z tym uporać - Denise to jebana szmata - ale nie myśl, że możesz sobie ze mną lecieć w chuja!

- Przepraszam cię, Annie, naprawdę przepraszam. Dostrzegł na jej twarzy pogardę. Zaczynała go wkurwiać.

-1 *nie* nazywaj mnie Annie, ty skurwysynu! *Przyjaciele* mówią na mnie Annie, ale NIE TY!

- Usiądź, zdejmij płaszcz, odsapnij. Zrobię ci coś do picia. Odwrócił się od niej i podszedł do wąskiej, zaśmieconej lady, która oddzielała malutki kącik kuchenny od salonu. W rogu stała butelka taniego, czerwonego wina. W sam raz dla niej.

- Nie, dziękuję.

- Wypij chociaż łyk.

- Niczego od ciebie nie wezmę.

- Myślisz, że ta sytuacja mi się podoba? Że dobrze się bawię? Uwierz mi, szczerze... czuję się... okropnie.

- Nie, nie sądzę, byś się dobrze bawił, ty samolubny, mały *chujku*, a wiesz czemu? *Ponieważ zaprzepaściłeś sobie szansę na dobre dymanie i cholernie fajną dziewczynę!* Aha, o Denise też możesz zapomnieć, może to cię zainteresuje, Panie Zajebisty Studencie. Bo nawet szmatę można upokorzyć. Wiedziałeś o tym? A jeśli sądzisz, że ona...

- Spierdalaj - powiedział.

Zrobił tyle, ile mógł, by się nie wkurzyć, ale jego cierpliwość się wyczerpała.

- Głupia dziwko, przychodzisz tutaj, do mojego domu...

- Co? Jak mnie nazwałeś?

- Nazwałem cię pierdoloną, głupią kurwą. -CO?

Zamachnął się i uderzył ją w brzuch. *Nie będzie śladów.*

Zgięła się w pół i próbowała złapać oddech, nie miał więc trudności, by ją przewrócić. Upadła zaraz obok obskurnej kanapy, nadal trzymając się za brzuch. Uklęknął przy niej i uderzył raz jeszcze, tym razem niżej. Mocniej.

Wydała z siebie dźwięk zbliżony do krzyku, ale widział, że ledwo może oddychać. Usiadł na niej okrakiem. Twarz Annie nabiegła czerwienią. Prosiła się o ból i go dostała. Zacisnął ręce na jej szyi.

- Kurwy się pieprzy - powiedział. - I to po cichu. Jeśli powiesz do mnie choćby jeszcze jedno słowo albo będziesz się rzucać, zajebię cię, ty durna cipo. Bo *dość* już powiedziałaś! Rozumiesz?

Zacisnął palce i upewnił się tym samym, że wszystko do niej dotarło.

O tak, z pewnością przykuł jej uwagę.

Puścił jej szyję i chwycił za suwak płaszcza. Rozpiął. Kaszłała i płakała. Rozpiął ostrożnie jej bluzkę i zobaczył, że nie ma nic pod spodem. Potem sięgnął niżej, by rozpiąć jej spodnie. Ściągnął je z jej bioder szybkim ruchem, wraz z majtkami. Próbowwała nasunąć je z powrotem, ale przycisnął mocno jej klatkę piersiową, głową uderzyła w drewniane deski podłogi. Na dół, kurwo.

Zlazł z niej, złapał za nogi i przewrócił na brzuch. Chwycił Annie za ramiona i wciągnął ją do połowy na kanapę. Rozkleiła się zupełnie. Klęczała na podłodze z twarzą wciśniętą w oparcie, które tłumilo dźwięki. Rozpiął swój własny rozporek i wyciągnął penisa - stał mu, był *naprawdę* twardy. Klęknął za nią i objął ją ramieniem od tyłu. Uniósł jej tyłek i rozchylił pośladki drugą ręką, po czym wsadził tam swojego fiuta. Wydała z siebie pojedynczy okrzyk, który szybko stłumił, uderzając ją pięścią w głowę. Tak też nie będzie nic widać. Uznał, że dziewucha nigdy nikomu nie powie, że wyruchał ją w dupę, nie ma takiej możliwości, będzie siedzieć cicho. Zniesie to bez słowa, zamknie ryj i pójdzie w pizdu do domu.

No i jej współlokatorka Denise nigdy się o niczym nie dowie.

Pomimo tego, co od niej usłyszał, nadal wiązał nadzieje z Denise.

Może mu jednak wybaczy.

W sumie sam miał ją za szmatę.

A jeśli się obrazi... no cóż, jest wiele kobiet na tym świecie.



Ann umyła się w łazience w jego mieszkaniu. Robiła to w kompletnym milczeniu, ale w drodze do akademika rozkleiła się, płakała cały czas, nie mogła przestać. Na odchodnym dał jej chusteczki.

Wiedział, że będzie ich potrzebowała.

I faktycznie tak było.

Jej ojcem był wielebny Richard Fletcher z Pierwszego Kościoła Metodystów w Ames, w stanie Iowa. Nigdy by tego nie zrozumiał, nawet za milion lat. Nie zrozumiałby, po co do niego w ogóle poszła. Dlaczego pozwoliła mu... *to* zrobić.

*Powinna była dać się zabić.*

Ojciec wciąż sądził, że ona nawet nie wie, co znaczy słowo „pieprzyć”. Nie miał pojęcia o niczym. Dziwiłby się raczej, że sobie nie poradziła, że nie oparła mu się z całych sił.

Ale nie widział tego, co tkwiło w oczach Arthura Danse'a, kiedy odwrócił się i ją uderzył.

Myślała, że tam umrze.

Spojrzała na swoje odbicie w lustrze podwójnych drzwi do akademika i zobaczyła, jak źle wygląda. Musiała wymyślić jakąś historyjkę, chociaż pewnie połowa jej koleżanek wie o ich plugawym trójkąciku i pewnie to może posłużyć za pretekst, żeby spławić pytania.

Dziewczyna na recepcji od razu spostrzegła, że coś jest nie tak.

Była z pierwszego roku, tak jak Ann, na imię miała Lydia McCloud, pochodziła z Maine albo New Hampshire, coś takiego. Wstała z krzesła i zapytała, czy potrzebuje pomocy, czy jest coś, co może dla niej zrobić. Zapytała, co się stało. Dziewczyna wydawała się szczerą, rozważną, była naprawdę miła - ale Ann miała zabrać ten sekret do grobu.

Mogła jej powiedzieć.

Jej rodzina zawsze była twarda.

Może i nie miała siły z nim walczyć, ale na to było ją stać.

Żadnych żali, Annie, pomyślała. Zrobiłaś, co uważałaś za słuszne. Poszłaś do jego mieszkania, bo myślałaś, że tak powinnaś, ale wyszedł z tego bajzel. Poleżysz chwilę w wannie i będziesz miała nadzieję, że nie wyrządził tam, wewnątrz, żadnej krzywdy. A potem wrócisz do normalnego życia.

Jakby Arthur nigdy nie istniał.

Ostrzeżesz przed nim ludzi w miarę możliwości, ale nie będziesz wdawała się w szczegóły. Uprzedzisz Denise.

Jeśli go zobaczysz, stanie się niewidzialny.

Weszła po schodach, do pustego pokoju i usiadła na łóżku. Pozwoliła sobie na kilka łez.

*Boston, Massachusetts Marzec, 1978*

Lydia pogładziła zwiotczałą skórę wzdłuż ramienia starszego pacjenta i niemal od razu odnalazła żyłę, wystarczyło jedno podejście. Wbiła igłę i pobrała krew.

Stojąca obok niej Gloria Leonard, dyplomowana pielęgniarka, kiwnęła głową z aprobatą. Za plecami inni pracownicy kliniki nazywali ją Leonard „Opaska uciskowa”, co nie miało wiele wspólnego ze sprzętem medycznym, ale sporo z tym, jak bardzo ich wszystkich cisnęła. Pochwała od niej była niczym gwiazdkowy prezent.

- Nie bolało pana? - Lydia uśmiechnęła się do mężczyzny.

-A gdzie tam - powiedział staruszek, odpowiadając uśmiechem.

Można było zauważyć, że facet lubił ładne dziewczyny, nawet jeśli dźgały go igłami, wpychały termometr pod język

i budziły o piątej nad ranem, by podać mu jego lekarstwa albo zmienić pościel. Poklepała go po poznaczonej plamami dłoni.

- Widzimy się jutro, dobrze, panie Fischer?

- A co, już pani ucieka?

- Niestety.

Spojrzał na siostrę Leonard, potem ponownie na nią.

- Jesteś pewna, że masz dużo roboty? Lydia wybuchnęła śmiechem.

- Oj, jestem absolutnie pewna!

W rzeczy samej - Lydia była wyczerpana, miała okropnie dużo nauki, a poza tym spędzała wiele godzin tutaj, u boku swojej mentorki. Ale czerpała z tego satysfakcję i radość. Czowała, że w swojej pracy staje się coraz lepsza, a Leonard, jej przełożona i nauczycielka, doceniała ten fakt.

*Nareszcie znalazła coś, w czym jest naprawdę niezła.*

Zabrała z łóżka stetoskop i ciśnieniomierz, wygładziła prześcieradło.

- Niech pan spokojnie śpi - powiedziała. - Pańska żona przyjdzie później w odwiedziny?

- O tak, na pewno.

- Proszę ją ode mnie pozdrowić i przekazać, że przyniosę jutro dla niej te ubrania.

- Tak zrobię.

Poszły we dwie z powrotem do pokoju pielęgniarek. Nadchodził koniec zmiany, a Lydia miała jeszcze kilka papierów do wypełnienia.

- Ubrania? - zapytała siostra Leonard.

- Kościół pani Fischer prowadzi zbiórkę używanej odzieży, obiecałam, że podrzucę kilka starych swetrów i bluzek.

-Aha.

- Nie ma w tym nic niewłaściwego, prawda?

- Absolutnie nie, sama przyniosę jutro coś, w czym już nie chodzę.

Siostra Leonard, życząc Lydii dobrej nocy, narzuciła sweter i skierowała się w stronę windy.

Nie było dzisiaj tak źle. Na oddziale, na którym Lydia pracowała, większość pacjentów stanowili starsi ludzie, przeważnie mający problemy z sercem, a najbardziej problematyczną sytuacją, jaką miała podczas swojej zmiany, było nadzwyczaj skuteczne działanie środka przeczyszczającego pani Bragonier, które zaowocowało zwiększoną perystaltyką jelit i wzburzonymi krzykami z jej pokoju.

Czas iść do domu. Zjeść jakiś obiad, a potem posiedzieć z nosem nad książkami. *Ale najpierw...*

Był taki jeden lekarz, który się jej podobał, pracował w ambulatorium, praktykant. Domyślała się, że odwzajemnia jej zainteresowanie. Nazywał się Kelly. Jim Kelly. Blond włosy, szczupły i, jak sądziła, bystry. *Podobały jej się jego dłonie.*

Wyglądały na bardzo delikatne, a to było dla niej niezwykle

istotne. Zjechała windą piętro niżej.

Przeszła korytarzem obok gabinetów, zaglądając do każdego z nich, ale nigdzie go nie zauważyła. W pokoju dla pielęgniarek siedziała Marie Khurana.

- Widziałaś Kelly'ego?

- Właśnie się minęliście, wyszedł o piątej. -Aha.

Marie wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- A z czym do nas tutaj przychodzisz, Liddy?
- Masz na myśli to, po co ty biegasz do Daniela, Marie?
- Hej, miałaś o tym nie wiedzieć.
- O czym?

Zaśmiała się i odeszła.

Przeszła przez izbę przyjęć, gdzie ogonek pacjentów czekał na przyjęcie przez lekarza. Rzuciła okiem w ich stronę.

W sumie nic poważnego. Żadnych postrzałów, pchnięć nożem. Młody, przystojny facet z paskudnie spuchniętą ręką. Wyglądał mgliście znajomo, ale nie mogła skojarzyć, gdzie już go mogła widzieć. Pewnie złamał sobie kość albo i dwie, sądząc po kolorze i obrzęku. Minęła go i zniknęła za drzwiami.

Arthur Danse przypatrywał się jej i pomyślał, że ma całkiem niezłą dupcię i że już kiedyś ją widział. Niezła była. Szkoda, że ma ten problem z ręką, nie mógł przez to pójść za nią, wstawić gładkiej gadki, postawić drinka czy coś takiego.

Ręka była priorytetem.

Złamał ją o ścianę własnej sypialni, kiedy dowiedział się, że nie dostanie stypendium na studia magisterskie. Teraz będzie musiał zdobyć pieniądze w inny sposób. Wyżebrać, pożyczyć, może ukraść.

Coś wymyśli.

Ręka bolała jak skurwysyn. Będzie musiał bardziej nad sobą panować. Kiedyś jego temperament sprowadzi mu na głowę prawdziwe kłopoty.

Cztery

## ODRĘBNE ŻYCIA

*Cambridge, Massachusetts Kwiecień, 1982*

- Jim, to *tylko* praca. Co jest, na Boga, nie tak z moją chęcią pójścia do pracy?

- Myślałem, że już o tym rozmawialiśmy.

- Moja młodsza siostra, Barbara, poszła do pracy, a jest dopiero na drugim roku.

- Barb potrzebuje pieniędzy. My nie.

- Ale tutaj nie chodzi o pieniądze.

- Sam radzę sobie wystarczająco dobrze, wiesz o tym, Lyd. Kurde, ja nawet odsyłam ludzi z kwitkiem, bo nie mam czasu. Nie ma potrzeby, byś szła do pracy.

Nie słuchał jej. Zdarzało się to ostatnio coraz częściej i dotyczyło wielu tematów, ale najczęściej dwóch konkretnych. Pierwszy to jej powrót do pracy w szpitalu. Drugi to dzieci. Lydia miała wrażenie, że pacjenci Jima nie są jedynymi osobami, które odsyła z kwitkiem.

Pomyślała jednak, że nie pozostało jej nic innego poza kolejną próbą. Nie mogła przecież dalej żyć w ten sposób.

Chociaż tutaj, w tej restauracji, nie mógł ot tak sobie wstać z krzesła i pójść do pokoju obok, włączyć telewizora czy położyć się spać.

Nie mogli też wdać się w jedną ze swoich głośnych pyskówek.

- Jim, jestem znudzona jak cholera. Rozumiesz? Mam dwadzieścia siedem lat, a ty nie chcesz mieć dzieci...

- Na razie nie chcę.

- A więc *na razie nie chcesz*. I nie chcesz też, bym poszła do pracy. Co więc mi pozostaje? Mamy *mieszkanie*, Jim. Duże, piękne mieszkanie, ale to wszystko - *mieszkanie!* Sprzątam, okej, ale to zajmuje chwilę. Robię zakupy i nastawiam pranie, a potem co? Czy zdajesz sobie sprawę, ile jest wolnego czasu pomiędzy śniadaniem a obiadem?

- Chodzisz na aerobik, masz zajęcia na siłowni.

- Na Boga, Jim. To nie jest *życie*.

- Ale masz *życie*, masz przyjaciół.

- Nie, mam znajomych. Okazjonalnych przyjaciół. Większość to żony *twoich* przyjaciół. A nawet jeśli byłabym z nimi blisko, to też nie jest *życie*.

Kelner przyniósł kawę i kawałek ciasta orzechowego dla niej. Będzie musiała przyspieszyć tę rozmowę.

Wyglądał, jakby się brzydził tego, co mówiła. Znała to jego spojrzenie.

- Przyjaciele to nie *życie* - powiedział. - Porządny dom i mąż to nie *życie*. Czego ty w ogóle chcesz, Lyd?

- *Wiesz* doskonale, czego chcę!

- Nie chcę, byś szła do pracy.

- Bo to nie będzie dobrze wyglądało w Klubie? To żaden powód.

- Klub nie ma tutaj nic do rzeczy.

- Pewnie, że ma. Bądźmy ze sobą szczerzy, na miłość boską.

*Żadna* z żon twoich kumpli nie pracuje. Jeśli więc ja zacznę, to ty stracisz twarz. Ale zapominasz o jednym - *ich* żony mają dzieci, które wychowują.

- I znowu o tym samym.

- Słuchaj, istnieje chyba tylko jeden *inny* powód, który przychodzi mi do głowy. A ten nie podoba mi się jeszcze bardziej.

Spojrzał na nią. Wzięła głęboki oddech.

- Chcesz mieć absolutną kontrolę nade mną, chcesz trzymać łapę na kasie.

- Co to za pierdoły.

- Czyżby? Chciałabym. Naprawdę bym chciała. Ale to gadanie w stylu „nie ma potrzeby”, nie trafia do mnie, nie ma najmniejszego sensu. Mówię o oddychaniu pełną piersią, posiadaniu w życiu czegoś, co jest naprawdę moje. Nie chodzi o to, czego potrzebujemy, a czego nie. Chcę mieć dzieci i chcę mieć pracę.

- Ale co to ma być, stawiasz mi teraz jakieś ultimatum, o to chodzi?

- Nazywaj to, jak chcesz. Wiedz jednak, że ja już tak dłużej nie mogę.

Zamilkła, a po chwili odezwała się ponownie. Powiedziała mu coś, co było dla niej prostą, ale najszczerzą prawdą płynącą z głębi serca,

- To nie w porządku.

Spojrzał na nią znad filiżanki z kawą, którą odstawił z hukiem na stolik. Lydia podskoczyła na krześle, a płyn wylał się na spodeczek.

- Niech cię szlag!

Dźwignął się od stolika i podszedł do kelnera. Widziała, że wręcza mu swoją kartę kredytową. Mężczyzna uwijał się jak w ukropie.



Zostawił ją, siedzącą samą przy stoliku. Ot tak, po prostu.

A jednak się pomyliła. Zobaczyła, że zawsze znajdzie sobie miejsce, w którym mógłby się schować, nawet jeśli miałoby nim być Harvard Square.

No i po wszystkim. Próbowwała przez te długie trzy lata

- najpierw zrozumieć go, potem z nim wytrzymać.

Wreszcie

- przeżyć i ekshumować własne życie, które pogrzebała w pustej krypcie swoich wypełnionych pustką dni.

Mieli na ścianie obraz Picassa, mały, ale autentyczny. Mieli figurkę netsuke, fortepian Steinwaya i malowidła japońskie liczące sobie jakieś dwieście lat. Jim robi jeszcze większą karierę, dopiero się rozkręcał. Nieważne.

Nie zdziwiła się też, że jej przyjaciółki nie zaoferowały pomocy, przecież nigdy nie pomogły rozwiązać żadnego problemu. Wszystko wydawało się takie oczywiste, wiedziała, że to *jego* wina, nie jej, a jednak czuła się, jakby to ona spierdoliła sprawę.

Może zbyt wiele wymagała, a zbyt mało dawała od siebie. Nawet po tej rozmowie, kiedy myślała o wszystkim, co tutaj powiedziała i co usłyszała, jej wnioski były zupełnie odmienne od tego, co naprawdę czuła.

Nieśpiesznie dokończyła kawę i ciasto, chodziło o dumę. Wstała, uśmiechając się, minęła kelnera, wyszła z restauracji i wezwała taksówkę.

Nie było go w mieszkaniu, ale wcale jej to nie zdziwiło.

Zostawił za to kartkę.

*Chcesz rozwodu, to będziesz go miała.*

Poczuła lekki dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

Wszystko było aż zbyt proste.

Czekajcie, chwila.

Znała go. *Chodziło o coś więcej.*

Poszła do sypialni. Potem przeszukała jego biuro, później szafę. Dość szybko znalazła kartkę pochodzącą z bloczka z receptami, który należał do jakiegoś innego lekarza. Jego nazwisko nic jej nie mówiło. Kartkę, zapisaną kobiecą ręką, wciśnięto w boczną kieszeń morskiej marynarki.

Na dole widniała narysowana uśmiechnięta buzia, a nad nią wiadomość: *Środa, 2:30, w Copley Sheraton. Pokój 2208. Zaraz po twoim spotkaniu.* Dzisiaj był piątek, co oznaczało, że notatkę napisano trzy dni temu. Tak, miał wtedy na sobie tę marynarkę, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Zastanawiała się, jak często bywał tak nierozważny, może oznaczało to, że chciał, by się wreszcie dowiedziała.

*Chcesz rozwodu, to będziesz go miała.*

W porządku, Jim.

Chciała rozwodu.

*Plymouth, New Hampshire Marzec, 1983*

Minęło już niemal pół godziny od czasu zamknięcia. Kelnerki już dawno sobie poszły. Krzesła były ustawione na stolikach, by dzieciak, który przychodził rano pozamiatać, nie miał z nimi problemów. Większość świateł została pogaszona, a on sam kończył już wpisywać utarg do księgi, ale Jake, barman, który pracował na nocki, nadal nalewał temu gościowi. Koleś był już zdrowo zalany, niemal eżał na barze, więc Jake postawił mu kawę na koszt firmy, ale facet dolał sobie do niej

te szczochoy z whiskey, które zostały mu w szklance. Siedział i sącył sobie powoli. Pierdolony idiota.

- Jake, mozesz już pójść, zamknę.

- Pewnie, Art, dzięki.

- Proszę pana? Byłbym niezmiernie wdzięczny, jeśli dopiłby pan teraz swoją kawę.

Jake miał rację, że zaserwował gościowi kawę, ponieważ będą mogli powiedzieć, że chociaż tyle mogli dla niego zrobić, kiedy już znajdą tego idiotę siedzącego w aucie owiniętym wokół jakiegoś drzewa.

Z Jake'a był w porządku gość. Gdyby miał kilku takich jak on w Bostonie, mógłby coś zrobić z tamtego lokalu.

A tak Boston okazał się kompletną katastrofą.

*Dyplom magistra z biznesu, specjalizacja w zarządzaniu małą firmą, a teraz siedział w powrotem w New Hampshire, niecałe pięćdziesiąt mil od miejsca, w którym dorastał.*

Ale chociaż tłukł kasę.

- Dobranoc, Art. Trzymaj się.

- Dobranoc, Jake.

Zamknął drzwi za barmanem. Usłyszał, jak Jake odpala swojego land rovera. Poszedł za bar i dokończył wypełnianie papierów. Kolejna niezła noc. The Caves stało się całkiem popularnym miejscem wśród starszych studentów i wykładowców z Uniwersytetu Stanowego w Plymouth. Jego knajpa mieściła się zaraz przy wylocie drogi numer dziewięćdziesiąt trzy, niedaleko wątpliwej atrakcji turystycznej o nazwie Jaskinie Polarne. Była to sprytnie wybrana miejscówka, Arthur znał się na swojej robocie. Miał przy sobie chyba najlepszych barmanów w okolicy i zdecydowanie najlepszego kucharza. W lecie oraz w sezonie narciarskim mieli tu El Dorado.

Pijany koleś podniósł się ze stołka, mamrocząc coś, że *chce mu się szczać*, pomachał Arthurowi i zaczął przeciskać się chwiejnym krokiem między stolikami, jakby próbował wymacać w powietrzu drogę prowadzącą do toalet na tyłach restauracji.

Arthur pieprzną! mocno stylizowaną na antyk, srebrną szufladą na dokumenty. *Dupek*.

Facet wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, miał na sobie myśliwską koszulę w czerwono-czarną kratę. Robol.

Brudas. *Na pewno nie jest stałym bywalcem.*

*Już zaczynam mieć ciebie dość, kolego, pomyślał.*

Wylał resztkę kawy tego faceta do zlewu, przemył filiżankę i postawił ją na suszarce. Nalał sobie trochę whisky z lodem i zapalił papierosa. Potem usiadł przy barze i czekał.

Jak długo można szczać?

Sącył szkocką.

Dzisiaj znowu przyszła matka z ojcem. Oboje myśleli, że są elegancko ubrani. Nie mieli, rzecz jasna, pojęcia o modzie. Przeważnie wybierali coś w sklepie ojca w Ellsworth. Ale Arthurowi to nie przeszkadzało, cały personel uważał, że są czarujący i staroświeccy. Rodzice zawsze dzwonili do niego do domu, prosząc o wieczorną rezerwację, jakby nie istniał *maitre d'*, i zawsze powtarzał im, że będzie na nich czekał, żeby przyjeżdżali. Nie wiedział, dlaczego tak mówił.

Nie chodziło o to, że lubił przyłączać się do nich podczas kolacji, nic z tych rzeczy. Raczej lubił chwalić się tym miejscem.

Zgasił papierosa.

Jezu! Jak długo można szczać?

Wstał i poszedł w kierunku męskiej toalety, by stawić czoła temu, co uznał za nieuniknione. I miał rację - facet leżał na podłodze kompletnie pijany. Do tego zawzięcie chrapał.

-Hej, ty. Wstawaj.

Pacnął faceta w twarz. Pijak jedynie mrugnął. Boże, gównie tego gościa śmierdzi, jakby cały dzień wpierdalał siarkę. Spuścił wodę w kiblu. Potem walnął go w twarz raz jeszcze. -Wstawaj.

Złapał go za ramię i postawił na nogi.

- Mmmmm - wymruczał mężczyzna.

- Podciągnij spodnie - musiał to powtórzyć dwukrotnie. Potem kazał mu je zapiąć.

- Chodź.

Szedł, ciągnąc tego gościa do drzwi. Otworzył zamek i wyszedł na zewnątrz. Wydawało się, że uderzenie chłodnego powietrza nieco orzeźwiło faceta, sprawiło, że chociaż otworzył oczy. Arthur rozejrzał się wokół.

Żadnego samochodu.

Jedynym autem na parkingu był jego własny lincoln.

- Gdzie twój samochód? -Hmmmm?

- Pytałem, gdzie zaparkowałeś samochód?

Arthur nadal musiał go przytrzymywać. Facet był ciężki i śmierdział surowym mięsem.

- Nie mam auta, zabrali mi prawko... Nietrudno było zgadnąć dlaczego.

- To jak się tutaj dostałeś?

*Byli na pieprzonej autostradzie, na miłość boską!*

- Kumpel mnie odwiózł, przyjaciel mój...

- Najwyraźniej już sobie pojechał.

Arthur upuścił go na chodnik, facet padł jak długi.

- Hej - wymamrotał.

Arthur wszedł do środka, wyłączył światła i aktywował system antywłamaniowy. Zamknął drzwi i zakłuczył na dwa zamki. Patrząc na faceta siedzącego na chodniku, podpierającego się ramieniem, wpadł na pewien pomysł.

- Słuchaj - powiedział. - Podwieźć cię? Wstawaj, podrzucę cię gdzieś.

Mężczyzna podniósł się na kolana, próbując się skoncentrować. Przeniósł ciężar ciała na nogi, zachwiał się, ale ustał.

- Samochód jest tam.

Otworzył drzwi od strony kierowcy i zwolnił blokadę tych po drugiej stronie. Wsiadł do środka i patrzył, jak tamten facet usiłuje dostać się na siedzenie, chwytając się maski auta, by się nie przewrócić. Jego gość upadł ciężko na siedzenie i siedział tak bez ruchu, patrząc tępo do przodu, głośno oddychając i mrugając powiekami.

- Doceniam to - powiedział.

- Dokąd?

Facet coś tam wybełkotał.

-Co?

Tym razem odpowiedział jasno i wyraźnie:

- Pierwszy zakręt za Rumney Depot. Numer dwa-dwa-trzy. Arthur jechał przez cichą autostradę w zupełnych ciemnościach.

Co jakiś czas spoglądał na faceta, widział, jak majta mu się głowa, jak zamykają mu się oczy. Wkrótce znowu zaczął chrapać.

Przejechał obok Depot i skręcił na północ, w stronę gór. Znał tę drogę. Czasem przyjeżdżał tu z dziewczynami. Mówił im, że są tutaj ładne widoki. No i ani żywej duszy.

Kiedy wreszcie skończyła się ubita droga, a zaczęła żwirówka, zwolnił, by jazda po wybojach nie wyrwała gościa ze snu. Nie chciał mieć zarzyganego lincolna. Dojechał do swojego miejsca, zatrzymał się, a potem obrócił samochodem o sto osiemdziesiąt stopni, w kierunku cywilizacji. Zostawił silnik na chodzie, wysiadł z wozu, okrążył go, zatrzymując się przy stronie pasażera.

Facet opierał się o drzwi. Kiedy Arthur je otworzył, gość wypadł na ziemię jak ścięty dąb.

- Hej - powiedział mężczyzna, ale jego oczy nadal wyglądały mętnie, brak im było ostrości.

Ten smutny, żaloszny pijaczyna nie będzie niczego pamiętał, gdy się obudzi rano.

Może poza tym.

Arthur złapał go za nadgarstki, zaciągnął z dala od samochodu i upuścił w wysokiej trawie, której świecący księżyc nadał odcień szarości.

A potem go kopnął.

Na próbę lekko, w zębra, a po chwili w brzuch. Gość zaczął sapać, próbował wstać, ale jego nogi były zbyt zwiotczałe. Arthur pozwolił mu zrobić kilka kroków, po czym znowu go kopnął, tym razem mocniej. Facet znowu padł na ziemię. Arthur zmienił pozycję i wymierzył kopniaka w twarz.

Pijak przewrócił się na bok, leżał w trawie, a jego rana na czole krwawiła. Arthur przeszedł na drugą stronę, rozłożył mu nogi, stanął pomiędzy nimi i kopnął go mocno w krocze.

Mężczyzna krzyknął, złożył się w pół i zaczął na siebie rzygać. Przekręcił się na bok, kaszlał, jęczał. Strużki śliny ściekały mu po podbródku.

Art wrócił do samochodu, wsiadł i wyjechał na drogę.

Nie zrobił tego, bo nienawidził pijaków. Tacy sami ludzie jak inni. *Ale łatwiejsi.*

Tego w nich nie mógł znieść.

Tej bez troski, bezmyślności, tej okazjonalnej kruchości. Ludzie sami pchają się w takie przeklęte, godne pożałowania sytuacje w towarzystwie nieznajomych, a potem spodziewają się, że wszystko będzie dobrze. Jakby już sama ich niewinność miała być ochroną, jakby była to cnota stanowiąca swoistą tarczę do obrony przed światem, który się na nich czai.

A on przyszedł na świat, żeby zrobić wiele rzeczy, ale również po to, by dać im nauczkę.

Przekazać im prostą prawdę.

Że świat jest mrocznym miejscem.

*Miejscem, w którym chowasz się przed tym, co uczyniłeś.* Każdy tak robił, zawsze. Jeśli o tym zapominasz, robisz to na swoje własne ryzyko. A potem zostajesz ofiarą.



Pięć

DUET

*Plymouth, New Hampshire Czerwiec, 1985*

To było tak słodkie, ale jednocześnie bolesne, że Lydia ledwo mogła na to patrzeć. Jej siostra, naprawdę piękna, już bez swojego welonu, tańczyła, wręcz sunęła po parkiecie - miała perfekcyjne ruchy - i pląsała w delikatnej bieli. Lydia przeczuwała, że jej siostra nigdy już nie będzie czuła się tak wspaniale, tak idealnie. Twarz Barb jaśniała magicznym blaskiem, antyczny rytuał połączenia dusz rezonował w jej wnętrzu, zarumienił skórę, sięgał do kryjącego się w człowieku pierwotnego instynktu, do dobroci, która z nim współistniała w tej jednej jedynej chwili, tego dnia. Teraz traciła swoje dziewictwo. Nie chodziło o ciało, ale o serce. A dziewictwo, raz utracone, już nigdy nie powróci.

Tak samo stanie się w przypadku jej siostry. Jeśli będzie miała wystarczająco dużo szczęścia i rozumu, twarda logika zwycięży, a ona doceni uroki wspólnego życia. Może pojawią się dzieci, będą pieniądze na życie, niezły seks i inne przyjemności, dobra praca, miłość, przyjaźnie. A może nic z tych rzeczy.

Lydia również się dzisiaj rozpromieniła.

Ich matka siedziała na honorowym miejscu przy stole, obok siebie miała ciotkę i wujka. W jej twarzy Lydia widziała odbicie własnych myśli - chłodną radość. Krucha chwala tej chwili odnalazła wąską ścieżkę prowadzącą do serca jej matki poprzez labirynt bólu i przytłaczającej wiedzy.

Nie było jej łatwo mieszkać z ojcem.

Na pewno niełatwo było też córkom, ale matka miała jeszcze trudniej.

Lydia zastanawiała się, jak matka to wspominała.

W podwójnych drzwiach prowadzących na korytarz stał mężczyzna, którego nie знаła. Założyła, że był gościem Alana, pana młodego, ale nie zauważyła go na ślubie. Przypatrywał się jej z nieukrywaniem zainteresowaniem graniczącym z nieuprzejmością, a mimo to wydawał się jej nieśmiały, miał przyjazne oczy i uśmiech.

- Znasz tego faceta?

Cindy Fortunato, była współlokatorka Barbary ze studiów, podążyła za spojrzeniem Lydii. Upiła łyk szampana, zanim odpowiedziała. Tego wieczoru było go pod dostatkiem, a Cindy całkiem nieźle radziła sobie z kolejnymi kieliszkami.

- Pewnie, to Arthur Danse. Jest właścicielem tego miejsca.

- Gapi się na mnie.

- Poważnie? - zachichotała Cindy. - No to masz szczęście. Ciacho, do tego nadziany.

-To jego lokal?

-Aha. Można trafić gorzej, Liddy.

Wiedziała, że jej siostra przychodziła z przyjaciółmi dość często do restauracji kryjącej się po drugiej stronie tych drzwi, kiedy byli jeszcze na uczelni w Plymouth. Dlatego Barb wybrała The Caves na swoje wesele - poza tym była to wygodna

miejscówka dla rodziców Alana, którzy mieszkali nieopodal. Podobno salę bankietową dobudowano stosunkowo niedawno, co było dowodem na to, że Cindy miała rację. Danse całkiem nieźle sobie radził.

W tej chwili nie miało to jednak żadnego znaczenia. Pomyślała, sama będąc po trzech kieliszkach szampana, że bardziej interesuje ją to, że facet jest ciachem.

Minęło już dużo czasu od Jima.

Po raz pierwszy w życiu stwierdziła, że nie ma nic przeciwko, jeśli dalej będzie się na nią gapił.

Wreszcie dotarło do niego, dlaczego nie mógł oderwać od niej oczu.

Nie chodziło o to, że była najpiękniejszą kobietą na sali - chociażby panna młoda była ładniejsza - albo najlepiej ubraną, czy najbardziej stylową. Nie miała też najwspanialszego ciała.

Ale odkrył kiedyś, że istnieją kobiety, które mają w sobie specyficzny rodzaj przyciągania, kobiety, do których człowiek chce od razu podejść, porozmawiać, otworzyć się przed nimi. Nie potrafił zrozumieć takiego pociągu, ale potrafił zauważyć, że ktoś posiada to specjalne *coś*. Widział, że ona tak właśnie działa na ludzi. Może to dzięki jej oczom, bezpośredniemu spojrzeniu, *zainteresowaniu*. Może poznał to po sposobie, w jaki młodsza, siedząca obok dziewczyna nachylała się do niej, jakby została po prostu *przyciągnięta*.

Instynktownie wiedział, że była jedną z tych kobiet, dla której facet pracujący w warsztacie samochodowym wypucowałby przednią szybę na błysk i której *nie* oszukałby na rachunku

za naprawę. Jedną z tych kobiet, z którą inne, może śmielsze, chciałyby się zaprzyjaźnić i otoczyć opieką, jakby była ich młodszą siostrą, nawet jeśli to ona była starsza od nich. Jedną z tych kobiet, których mężczyźni pożądaliby. Była kimś, kogo sam mógłby *chcieć*.

Nawet jeśli miałby ją mieć tylko po to, by pokazać jej co nieco. Na przykład to, że nie zawsze będzie bezpieczna.

- No idź do niego albo chociaż kiwnij głową. Albo nie, lepiej skieruj się do toalety, wtedy przejdiesz obok niego, nie ma innej drogi.

- Jesteś niemożliwa.

- Jestem rozsądna. Poza tym nawalona. No i jesteśmy na weselu.

- A co to ma do rzeczy?

- To wesele, jest *romantycznie*, na Boga.

- Dla mojej siostry może i jest.

- Gówno prawda, tchórz z ciebie.

- Cindy, mam trzydzieści lat, jestem po rozwodzie. -No i?

- No i nie będę latać w kółko za obcymi facetami.

- On nie jest tak zupełnie obcy, kiedyś z nim nawet gadałam.

- Tak, na pewno. Kiwnęłaś mu głową i tyle.

- A on się do mnie *uśmiechnął*.

- No widzisz.

- Dla mnie to nie ma różnicy.

- Tak? A więc wstawaj i idź do toalety. Ty się z nim zapoznaj.

- Ale on nie gapi się na mnie. Poza tym Eddie by mnie zastrzelił. No idź! I tak będziesz musiała iść siku, prędzej czy później, co nie?

Naprawdę nie wierzył, że to robi. Podchodzi do niej.

Przez środek parkietu, obok stołów, tańczących par i pary młodej.

Złamał swoje zasady - zawodowe i wszystkie inne.

Po pierwsze, to była ich impreza. On miał tylko nadzorować, by wszystko poszło zgodnie z planem. Interes nie polegał na spoufalaniu się z gośćmi. No i nigdy w życiu nie nawiązywał znajomości z kobietą w tak publicznej sytuacji. W taki otwarty sposób, bez trzymania gardy.

Ale stało się, podszedł do niej.

- Wszystko w porządku?

- Tak... pewnie - odpowiedziała. Dostrzegł zaskoczenie na jej twarzy.

- Obiad był wspaniały.

- Cieszę się. Wystarczyło szampana? Podniosła swój kieliszek i uśmiechnęła się.

- W zupełności.

- Chciałbym się przedstawić. Jestem Arthur Danse, właściciel The Caves. Jeśli coś jest nie tak, proszę winę zwać na mnie.

- Naprawdę, wszystko jest idealnie. A ta sala jest urocza.

- Dziękuję, miałem szczęście do dekoratora. Jest pani... siostrą panny młodej?

- Tak, Lydia McCloud.

- Miło mi cię poznać. Wyciągnęła do niego rękę.

Była ciepła i sucha, ale nie tak gładka, jak się spodziewał. *Pracuje dłońmi*, pomyślał. Ale jest wykształcona. Interesujące.

Przedstawiła go dziewczynie siedzącej obok, jednej z druhen, Cindy coś tam, która uśmiechała się do niego, jakby były jej urodziny, a on robił za prezent.

Niedoczekanie.

Nie teraz, kiedy ta druga jest w pobliżu.

- Słuchaj - powiedział. - Jeśli czegoś potrzebujecie, czegokolwiek, serwetek, zapalek albo B-52 z baru, dajcie mi znać.

- Słucham? *B-52!*

- Grand Marnier, Kahlua i Bailey's Irish Cream. Uwierzcie mi, w środku jest dokładnie to, co ma być.

Odwrócił się i przez chwilę patrzył na tancerzy.

- Chyba się dobrze bawią - powiedział.

- Tak sędzę.

- Twoja siostra jest naprawdę piękną panną młodą.

- Dziękuję.

Patrzył jeszcze przez chwilę.

- No cóż, lepiej wrócę do pracy - oznajmił.

Uśmiechnął się, niemal gotowy, by odejść, ale nagle z powrotem odwrócił się do niej, zdecydował bowiem, że pójdzie na całość i postawi wszystko na jedną kartę. Choć do ust wciąż miał przyklejony uśmiech, czuł się nieco skołowany, czuł, że miał do czynienia z dziewczyną z miasta. Cholera, mógł to niemal poznać po zapachu.

- Nie jesteś stąd, prawda? - zapytał.

- Nie, przyjechałam z Bostonu. Wpadłam tylko na kilka dni, na ślub.

- Poważnie? Studiowałam w Bostonie.

- Naprawdę?

- Tak, miałem tam restaurację, właściwie to w Cambridge, ale niestety, nie zarabiała na siebie. Szczerze mówiąc, od tak dawna nie

rozmawiałem z kimś z miasta, że czuję się, jakby mi słoma z butów wystawała. Podejrzewam, że nie skusisz się dzisiaj na drinka? -No cóż, ja...

- A może jutro wieczorem? Odpowiada ci?

- No... - zaśmiała się. - Myślę, że tak, czemu nie?

- A więc jutro wieczorem, świetnie. Fajnie, że ci odpowiada. No to będę czekał. Było mi miło cię poznać, Cindy.

*Zawsze bądź miły dla przyjaciółek*, pomyślał. Była to jedna z zasad.

Ponownie przeszedł przez parkiet, z uśmiechem na ustach, zastanawiając się, *dokąd to wszystko zmierza*. Czuł silny pociąg do tej kobiety. Z bliska jej oczy przypominały zielone bursztyny, skóra była kremowa, gładka i nie pachniała słodyczą ani kwiatami, lecz mocnymi, pieprznymi perfumami.

Podobało mu się, że była trochę nieśmiała, nieco zadziwiona jego zachowaniem - nieco wytracona z równowagi. Może wcale nie popełnił błędu, będąc bezpośrednim. W sumie nie zastanawiał się nad tym wcześniej, po prostu poczuł, że z jakiegoś powodu nie mógł czekać, że musi łapać okazję tak szybko, jak się da, albo przypadnie.

Dziwił się, że mu w ogóle na tym zależało.

Był ciekaw, czy uda mu się opóźnić jej wyjazd do Bostonu o dzień lub dwa.

Interesujące.

Zespół grał całkiem udaną wersję „Hungry Heart” Bruce'a Springsteena, ale nie został, by posłuchać. Miał inne rzeczy do roboty.

Jutro wieczorem zrobi sobie wolne.

Może, jeśli będzie miał szczęście, nie będzie pracował nawet przez kilka wieczorów z rzędu.

Zastanawiało go, czy życie Lydii McCloud zmieniło się choćby troszeczkę. Po tym, jak go poznała.

Odwróciła się do Cindy i uśmiechnęła. Czowała się nieco głupio. *A więc wracam do gry*, pomyślała. Na dobre czy na złe, wracam.



Sześć

## ZAMIEJSCOWA

*Plymouth, New Hampshire i Boston, Massachusetts  
Czerwiec, 1985 - wrzesień, 1986*

On prowadził restaurację, a ona miała dobrze płatną posadę pielęgniarki w dużym szpitalu. Żyli praktycznie na telefon.

W ten sposób go poznawała, rozmawiali ze sobą do późna, zaspani, za każdym razem prowadząc godzinne albo i dłuższe rozmowy. Dzwonili do siebie codziennie, opowiadali, jak im minął dzień. Mówili o jej pracy, o jego pracy. O jej rodzinie i przyjaciółach, potem o jego. Nie mieli żadnych wspólnych znajomych.

Stopniowo zaczęła mu się zwierzać, jak wyglądało jej życie z Jimem, a raczej mówiła o braku jakiegokolwiek życia, mówiła też trochę, ale nie wszystko, o swoim ojcu. Współczuł jej. Opowiedział o kłopotach, w które wpadł jako dzieciak. Wagarach, kradzieżach. Dotarło do niej, że on nadal czuje się źle z tym, co wtedy zrobił i zastanawiała się, czemu aż tak długo pielęgnuje w sobie poczucie winy.

Wydawało się, że troszczy się o nią, martwił się o to, jak jej idzie w życiu osobistym i zawodowym. Nie wzięła od Jima ani

grosza, więc trudno jej było wyżyć w Bostonie z pielęgniarzkiej pensji. Udzielił jej kilku porad, jak może zwiększyć swój kapitał. Rozmawiali o filmach, książkach, telewizji. Nieco obawiał się głośno wypowiadać swoje opinie, jakby nie chciał jej urazić, ale kiedy już to robił, mówił interesująco, mądrze i zabawnie.

Uważała, że to niesamowite i urocze, że chodzili do tej samej szkoły mniej więcej w tym samym okresie i zapewne mijali się na korytarzach.

Czasem przylatywał do niej, do Bostonu, na weekend. Nie było to dla niego łatwe, ponieważ właśnie wtedy w restauracji ruch był największy, ale ona tylko wtedy miała wolne. Nieraz ona jeździła do Plymouth.

W łóżku był delikatny, niewymagający, uważny.

Lubiła jego dotyk, jego zapach.

Odnotowała, że pomimo rozlicznych znajomości biznesowych, nie miał zbyt wielu przyjaciół. Żadnego naprawdę bliskiego. Domyślała się, że to przez pracowity grafik i jego naturę. Kilkakrotnie jadła obiad w towarzystwie jego rodziców. Ojciec wydawał się lubić ją od pierwszego spotkania, choć był bardzo cichy, ale matka chyba nie darzyła jej sympatią, a i Lydia nie przepadała za nią. Uważała, że starsza kobieta to twarda sztuka - cierpiała na *rheumatoid arthritis*, a leczyła się tylko okazjonalną dawką tylenolu, co imponowało Lydii - ale uważała, że Ruth była zbyt oschła, a już na pewno nie wydawała się czarująca.

W lipcu 1986 wzięła cały tydzień urlopu i polecili razem do kurortu, na Jamajkę, gdzie za pieniądze służyły zabawne, plastikowe zęby rekina. Wylegiwali się na słońcu, popijali *pina coladę* i śmiertelne dawki rumu. Biegli czym prędzej do hote-

lu, kiedy akurat gruchnęła codzienna, dziesięciominutowa ulewa, w nocy tańczyli, jedli fantastyczne, wyspiarskie jedzenie *al fresco* i kochali się. A na koniec tygodnia, pod czystym, bezgwiezdny i bezksiężycowym niebem, na hotelowym tarasie, oświadczył się jej.

\* \* \*

Nie od razu się zgodziła. Nie było bowiem opcji, by zostawił swoją restaurację w New Hampshire. Ona z kolei nie chciała zrezygnować z pracy i przyjaciół w Bostonie dla mężczyzny, którego знаła głównie z rozmów telefonicznych i weekendów. Ciężko jej było myśleć o kolejnym małżeństwie, choć naprawdę bardzo lubiła Arthura. Prawie, ale nie do końca, była w nim zakochana.

Pouczyła samą siebie, że w Jimie też była zakochana.

I ich małżeństwo okazało się katastrofą.

Miłość nie była wcale nieodzownym warunkiem.

Zgodziła się we wrześnieu, kiedy pili drinki w The Caves. Mnóstwo drinków. Wystarczająco wiele, aby później, po kilku latach, zastanawiała się czasem, ile musiała wypić. Do tego czasu zauważyła w nim to, czego nie widziała wcześniej, a co z pewnością powstrzymałoby ją przed wyjściem za Arthura Danse'a. I nie zmieniłaby tego żadna ilość wlanej w siebie margarity.

Bo wiedziała już o broni.

Wiedziała o matce i ojcu.

Wiedziała o jego okresach pijaństwa.

Wiedziała, że i tak zaczęło jej na nim zależeć, w sumie spodziewała się tego. Czasami myślała, że zakochać się można w kimkolwiek, jeśli mieszkasz z tą osobą wystarczająco długo

i poznasz ją. Widziała jego skruchę za każdym razem, gdy budził się na kacu. Widziała jego zakorzenioną, niemal dziecięcą zależność od rodziców - szczególnie od matki. Widziała, że posiadanie broni było dla niego oznaką statusu i siły, ale zastanawiała się, po co jej w ogóle potrzebuje.

Ale poza tym nie uważała, by różnił się zbytnio od przeciętnego mężczyzny.

Tak właśnie myślała.

\* \* \*

Wszystko zmieniło się, kiedy urodziła dziecko. Syna. Roberta. Ich jedyne dziecko.

Siedem

## COMING OUT PARTY

*Plymouth, New Hampshire, Wrzesień, 1987*

Patrzył, jak czyta w łóżku.

Noc była zaskakująco łagodna, otworzyła więc okna w sypialni i zdjęła kołdrę z łóżka. Leżała na prześcieradle w jedwabnej, zielonej koszulce nocnej, którą kupił jej na urodziny. Koszulka miała duży dekolt z przodu, była mocno wycięta z tyłu, trzymała się na cienkich, wąskich ramiączkach. Miękka i gładka. Jego żona lubiła ładne rzeczy, a on lubił je dla niej kupować. Jej ciało szybko doszło do siebie po urodzeniu dziecka, a przecież nawet nie ćwiczyła. Mówiła, że niektóre kobiety mają takie geny. Mają szczęście.

Ona miała szczęście.

Pewnie, że miała.

Sutki napuchły jej od karmienia dziecka i zmieniły kolor z szarawego na o wiele ciemniejszy, brązowy, ale te miejscowe zmiękczenia skóry na ciele oraz większe cycki i biodra to jedyne większe zmiany. Nadal była kobietą, której pragnęli wszyscy faceci, którą inne kobiety chciały poznać.

Dla niego stała się jeszcze atrakcyjniejsza. Chciał ją dotykać, pieścić, praktycznie cały czas.

Brał prysznic długo i dokładnie. Polewał się najcieplejszą wodą, jaką jego ciało mogło tolerować.

Golił się tego dnia już drugi raz i spoglądał na jej odbicie w zaparowanym lustrze, zaraz nad jego ramieniem.

Fiut napinał mu bokserki.

To, co zawsze wolał robić gdzieś poza swoim własnym łóżkiem, cieszyło go coraz bardziej i bardziej w zaciszu domowym. Zabawne.

Może spędzał zbyt wiele czasu w samochodzie, jeździł zbyt wieloma drogami, do zbyt wielu miejsc. Na „wyjazdach w interesach” czy kursach po „zaopatrzenie i sprzęt” dla restauracji albo spotkaniach z „potencjalnymi partnerami biznesowymi”, którzy nigdy nie zdecydowali się wyłożyć pieniędzy na inwestycje. Szczęśliwie, nie zadawała wielu pytań.

A może czuł się już tym zmęczony.

A może to przez dziecko. *Jego* dziecko. Coś, co włożył w nią; coś, co w niej dojrzało, a potem pochłonęło bez reszty. Ekscytowała go ta myśl, znowu musiał walczyć o jej uwagę.

A może chodziło o tę miękkość jej ciała.

Nieważne. Czas dać jej lekcję.

*Taką malutką.*

Był cierpliwy. Aż dziw.

Dziecko, Robert, sprawiało jej radość. A przynajmniej tak twierdziła, a on nie widział żadnego powodu, by jej nie wierzyć, chociaż trudno było to zrozumieć. Miał wrażenie, że Robert nic od siebie nie dawał, jedynie brał. Płakał. Ciągle chciał jeść, żądał zmiany pieluch albo żeby go wziąć na ręce. Cokolwiek by to nie było - zawsze to dostawał.

No, ale takie podejście był w stanie zrozumieć.

Ale chodziło też o to, że była szczęśliwa dzięki dziecku, a także, co istotne, dzięki niemu. Cieszyła się z życia. Dlatego przyszedł czas, żeby dać jej nauczkę.

Taką malutką.

Ochlapał twarz wodą, wytarł ręcznikiem i spojrzał na swoją klatkę piersiową w lustrze. Kilka fałdek na biodrach, ale reszta w porządku - nadal mocna, silna, młoda.

Podszedł do łóżka i stanął nad nią.

- Co czytasz?

- Powieść - odparła, pokazując mu okładkę.

Udawał zainteresowanie, choć nienawidził powieści. „Bohater Jesse” autorstwa Laurence'a Millmana.

- Jest o upośledzonym chłopcu - mówiła - a może o szalonym, jeszcze nie wiem. Roztacza on romantyczną wizję wojny wietnamskiej, bo walczy tam jego brat...

- Dobra?

- Tak. Bardzo.

Usiadł obok niej na łóżku i położył dłoń na jej biodrze. Uśmiechnął się.

- Okej. A jak *bardzo* dobra?

Również się uśmiechnęła. Flirtowała z nim. Wiedziała, o co mu chodzi. A raczej myślała, że wie.

- Mówiłam. Bardzo dobra.

Wróciła do czytania, choć oczywiste było, że tylko udawała.

Przesunął rękę po jej biodrze i zatrzymał ją nieco niżej, tam, gdzie kończył się jedwab koszulki, a zaczynało twarde udo. Ścisnął je delikatnie. Spojrzała na niego, nadal się uśmiechając i zerknęła na drugi koniec pokoju, by sprawdzić, czy dziecko

śpi spokojnie w swoim łóżeczku. Sięgnęła po zakładkę i zamknęła książkę.

- No to o co chodzi? - wyszeptała. - O co?

- Tak, o co? -Oto.

Krążył dłonią po jej udzie, potem przesunął wyżej, na pośladki. Złapał za jeden z nich i przysunął ją do siebie, pocałował i wciągnął lekki zapach jej perfum i swojej własnej wody kolońskiej. Gdy odłożyła książkę na bok i objęła jego szyję ramionami, poczuł twardość jej sutków pod nefrytowym jedwabiem. Zsunął ramiączka i zaczął dotykać jej piersi, pieścił je z góry na dół, potem z boku na bok. Zamknęła oczy i zamruczała - a on pomyślał o tym, czego od niej chce.

Położył ją na wznak na chłodnej, bawełnianej pościeli, zdjął z niej koszulkę i odrzucił na bok. Potem rozłożył szeroko jej nogi i całował po brzuchu, coraz niżej, aż wreszcie jego język spoczął w niej, delektując się smakiem jej czystości, zapachem. Zataczając kółka językiem, umyślnie zahaczał o łechtaczkę. Wyciągnął przed/siebie ręce, przesuwając nimi po udach i brzuchu, zatrzymując się na piersiach, a jego palce były jak lustrzane odbicia jego języka.

Słuchał jej jęków. Oddychała głęboko. Spojrzał na jej blade ciało, które zdążyło już pokryć się lśniącym potem, ale nie przestawał pracować językiem i palcami. Rzuciała głową po poduszce, zaciskała pięści, napinała ramiona.

- Wejź we mnie - wyszeptała. Pokręcił głową. Nie.

Ssał i lizał, pieścił sutki, delikatnie ścisnął jej szerokie biodra. Poczuł, że jej ciało zaczyna wierzgać, że przechodzi przez



nie dreszcz, coraz mocniejszy, wreszcie wręcz wściekły. Trudno mu było kontynuować, kiedy tak reagowała, ale udało mu się, aż wreszcie ta swoista furia nagle ustała. Wiedział, że teraz jego palce i język są dla niej jak kawałki szkła, którymi ją karał, jak paznokcie rysujące tablicę jej systemu nerwowego. Odsunął się na bok, wycierając wilgotny podbródek. Rozkoszował się tym, co miało nadejść.

- Teraz ty - powiedziała. Tak.

Wszedł w nią jednym ruchem, cały, znowu głośno wciągnęła powietrze. Wiedział, że sprawia jej tym pełen słodczy ból. Teraz każdy ruch będzie dla niej mieszaniną przyjemności i bólu.

Wyszedł z niej.

Otworzyła oczy, niemal w szoku.

- Odwróć się - powiedział.

Wpatrywała się w niego pytająco, ale zrobiła to, o co prosił.

Uniósł ją tak, że podpierала się na kolanach i rękach. Korzystali z tej pozycji stosunkowo rzadko, gdyż nie lubiła, gdy wchodził w nią pod tym kątem, sprawiało jej to o wiele mniej przyjemności. Ale teraz to jego kolej. Nie odmówi.

- Przyj - powiedział. -Co?

- Wiesz co. Jakbyś siedziała na kiblu. Przyj. Zrozumiała, o co mu chodzi.

Robili to tylko raz i nie podobało się jej. -Arthur...?

Była zaniepokojona, patrzyła na niego przez ramię.

- Tylko teraz, ten jeden raz. -Ale ja nie...

- Proszę.

- Muszę?

Jej wątpliwości, ton jej głosu, sprawiły, że stanął mu jeszcze bardziej.

- Tak, ale jestem teraz suchy, wypnij się trochę.

Wszedł w jej pochwę, wykonał kilka ruchów i wyciągnął penisa.

Wszedł w jej tyłek powoli, stopniowo rozchylając pośladki. Jęknęła z bólu. Nic nie mówiła, ale wiedział, że czuje ból. Rękoma sięgnął do przodu, złapał ją za kołyszące się piersi, chwycił i przycisnął, potem szczypał sutki, które nadal były mocno wrażliwe. Zdawał sobie sprawę z tego, że ją ranił, ale nic nie mówiła, jedynie wzdychała: *ach, och, ach*, a on poruszał się coraz szybciej. Czuł, jakby pieprzył ciepłutką, lojalną istotę, którą posiadał, która zrobi wszystko, o co ją tylko poprosi.

Doszedł i wcisnął się w nią głębiej. Przez chwilę trzymał go w środku, potem opadł na nią i razem legli na łóżku. I nadal tylko leżała pod nim, oddychając ciężko.

Wyciągnął go z niej i poszedł do łazienki. Stanął przy zlewie.

Na penisie miał resztki gówna i krew.

Strużki krwi.

*Bezpieczny seks*, pomyślał.

Seks z własną żoną, z którą masz dziecko.

Nieźle. Całkiem nieźle.

Zmył ją z siebie.

Cholera, to dopiero początek.

Osiem

RODZINA ARTHURA DANSE'A

*Październik, 1987- grudzień, 1993*

Pojawiły się problemy, ale była zdeterminowana, by się im nie dać, wierzyła, że to wszystko wypali, że przebrną wspólnie przez trudne chwile. Mieli przecież dziecko do wychowania.

A Robert szczerze kochał swojego ojca. Nie było co do tego wątpliwości.

Odkąd skończył trzy latka, nieustannie wypatrywał swojego taty. *Kiedy tatuś wróci do domu? Czy możemy iść z tatą?* Wiosną, w 1989 roku, Arthur podpisał kontrakt ze swoim kucharzem i firmą z Concord i wypuścił na rynek serię nietypowych sosów i dressingów używanych w The Caves. Miały być one sprzedawane w sklepach turystycznych w rejonie Gór Białych, gdzie mieściły się ośrodki narciarskie oraz nad Jeziorem Winnepesaukee - a nawet w miejscach tak oddalonych, jak Stowe w Vermont. Zaczął też więcej podróżować. Czasem nie widywali go przez tydzień.

A kiedy wracał, Robert był wniebowzięty.

Ojciec zawsze przywoził mu prezenty. Plastikowe figurki super bohaterów z kreskówek, dinozaury, komiksy, książeczki

i gry planszowe, a gdy chłopiec trochę podrośł, gry na Nintendo i Sega Genesis. Arthur był bardzo troskliwym ojcem.

Wychodzili razem do kina, na pizzę - czasem tylko we dwóch, ojciec i syn - odrabiali wspólnie zadania domowe, grali w baseball, a nawet, choć szczerze tego nie lubiła, w football. Starał się uczestniczyć w szkolnych i pozaszkolnych zajęciach, kiedy tylko było to możliwe. Doceniała to. Zabierał Roberta na ryby i nauczył go jazdy na rowerze.

Ale faktyczny, ciężki obowiązek wychowania małego chłopca spadł naturalnie na nią. Ustalała zasady i upewniała się, że są przestrzegane. Często czuła się jak ten zły policjant. Uznała jednak, że tak to już bywa, kiedy się jest rodzicem. W porównaniu do swoich rówieśników, Robert był stosunkowo łatwym dzieckiem.

Nie on był problemem.

Problemem był Arthur.

Z czasem stawał się coraz bardziej chłodny. Coraz rzadziej się do siebie odzywali, rozmawiali o *niczym*. Miewał różne humory, błądził myślami gdzieś daleko. Poza sypialnią.

To również stawało się problemem.

Coraz częściej chciał seksu analnego.

Nienawidziła tego. *Nienawidziła*. Jakby chciało jej się do toalety, ale nie mogła tam pójść, jakby wszystko podchodziło jej do góry. Teraz i tak było jej łatwiej niż kiedyś, ale w żadnym razie nie zaczęła tego lubić, nadal się brzydziła. Praktycznie zaczęła obawiać się seksu z nim, nigdy nie mogła być pewna, czy akurat tej nocy znowu nie będzie od niej *tego* chciał.

Napięcie i seks to niefortunna mieszanka.

Już prawie nie miała orgazmów.

A jego chyba to nie obchodziło. To również bolało. Raz nawet odmówiła mu wprost.

Był to jeden z tych dni, w których jeśli coś ma pójść nie tak, to na pewno pójdzie nie tak. Zepsuła się toaleta i Lydia miała trudności ze znalezieniem hydraulika. Potem czekała na niego całe popołudnie, co spierdzieliło jej humor kompletnie, do tego stopnia, że musiała poprosić Cindy, której córka chodziła do klasy z Robertem, by odebrała chłopca ze szkoły i podrzuciła do domu. Potem Robert miał jeden ze swoich, co prawda nieczęstych, ale naprawdę intensywnych napadów szału, ponieważ jego Gameboy przestał działać, a nie mieli pod ręką dodatkowych baterii. Zachowywał się tak, jakby jego świat się zawalił. Wyrzuciła go za drzwi i kazała pójść się bawić na dworze. Potem, w tym całym pośpiechu, prawie spaliła lasagne.

W dodatku Arthur znowu chciał pieprzyć ją w tyłek. *Jezu.*

- Nie - powiedziała.

- Dlaczego nie? Była wyczerpana.

- Nie, Arthur, proszę. Nie dzisiaj.

- Dlaczego?

- Bo *nie mam* ochoty.

- Ale *ja* mam.

- Arthur, kiedy indziej, okej?

Nie okej. Wybiegł z pokoju, niechcący obudził pięcioletniego Roberta, a potem ona musiała tłumaczyć dziecku, czemu tata śpi w pokoju gościnnym.

Wymyśliła coś o przeziębieniu i bakteriach.

Arthur dąsał się i rzucał o to przez tydzień. Przestał się do niej odzywać, a jeśli w ogóle otwierał usta, to tylko po to, by powiedzieć coś niemiłego. Roberta ignorował. Chłopiec natu-

ralnie dostrzegął, że coś jest nie tak, stał się podejrzliwy, patrzył na ojca spod byka. Mogła poznać, że dziecko czuło się zranione, odrzucone. Bolało ją z tego powodu serce. Niepokoił ją też fakt, że Arthur obciążał syna ich problemami, jakby Robert był jakimś zakładnikiem.

*Przypominało to życie w jednym domu z małym, okrutnym chłopczykiem, który miał wystarczająco wiele siły, by w mgnieniu oka zniszczyć życie jej i Roberta. W dodatku taki miał zamiar.*

Któregoś dnia wrócił z podróży służbowej i zachowywał się tak, jakby zapomniał o całym incydencie.

Ale już nigdy więcej mu nie odmówiła.

Nie było warto.

Teraz musiała myśleć także o spokoju Roberta. Nie odmówiła mu nawet wtedy, gdy któregoś wieczoru wrócił z Concord z czarną torbą pełną zabawek. Szczęrzył się w uśmiechu, kiedy wyrzucał zawartość na łóżko.

- Chodzi o fantazję - powiedział. - Fantazję i zaufanie, wiesz? To coś innego, będzie fajnie.

*Fajnie dla kogo?* ~ pomyślała. Ale fakt, to była jakaś odmiana.

*Dwie pary czarnych, skórzanych kajdanek połączonych ze sobą srebrnym łańcuszkiem. Jedna na nadgarstki, druga, cięższa, na kostki.*

*Długi, cienki, srebrny łańcuch.*

*Osiem obustronnych klipsów do łączenia łańcuchów.*

*I mały, pleciony pejcz.*

- Chyba sobie żartujesz - powiedziała.

- Nie martw się, nie zranię cię.

- Nie? To po co ci ten pejcz? Zaśmiał się.

- Wiesz... do stymulacji.

Wskazała na kajdanki. Czuła ich zapach. Nowiutka skóra.  
Metal.

- Chcesz, żebym je założyła? -Aha. I to.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej czarny, jedwabny szal.

Opaska na oczy.

Patrzyła na niego tępo.

Wzruszył ramionami, nadal uśmiechnięty.

- Takie są zasady gry. Ale ładny ten szal, co nie? Prezent dla ciebie.

- O, dziękuję ci bardzo.

Ciężko było przyjąć to na serio. *Bondage*. Byli przecież w New Hampshire, do cholery, a nie w Nowym Jorku czy podobnym miejscu, gdzie, jak sądziła, takie zabawy były na porządku dziennym. Wydawało jej się to śmieszne.

Ale chodziło o coś jeszcze.

W jej serce wkradał się strach.

Rozpoznał jej reakcję. Zawsze wiedział, co myśli i czuje.

- No chodź - powiedział. - Spróbujmy. Zaśmiał się.

- Hej, wydałem sporo *kasy* na ten kram!

Okej, pomyślała. Jak szedł ten tekst o filozofie i zboczeńcu?<sup>2</sup> A niech tam, niech mu będzie. Ten jeden raz. A może miał rację? Może będzie... ekscytująco?

Mało miała ciekawych wrażeń ostatnimi czasy.

- Co chcesz... co chcesz, żebym założyła? - zapytała.

2 - Chodzi tutaj o jedną z myśli, którą przypisuje się Wolterowi, najprawdopodobniej dotyczy ona nieortodoksyjnych, seksualnych fetyszy - „Pierwszy raz czyni cie filozofem, drugi zboczeńcem” (przyp. tłum)

- Nic - uśmiechnął się. - Tylko to. Podniósł opaskę do góry. Wzięła głęboki oddech.

- W porządku - odpowiedziała. - Ale nie będzie... wiesz czego? Wiedział, co miała na myśli. Mówiła o swojej tylnej dziurce.

- Nie. Obiecuję.

Robert zasnął już dawno temu, ale Arthur i tak zamknął drzwi na zamek. Zdjęła z siebie koszulę nocną. Poczowała się bardzo bezbronna.

- No nie wiem, Arthur.

- Nie martw się.

Jeśli mamy to mieć za sobą, zacznijmy wreszcie - pomyślała.

- Dobrze... a więc... jak chcesz mnie wziąć?

- Na razie po prostu uklęknij na środku łóżka.

Zrobiła, jak jej powiedział. Wziął szal, zawinął jej wokół głowy i związał z tyłu. Świat zniknął. Poczowała zapach i dotyk drogiego, miękkiego jedwabiu.

Chwycił jej lewą rękę i zapiął na nadgarstku jedną obręcz kajdanek.

- Za ciasno?

- Nie. - Właściwie to skóra była całkiem miękka.

- Możesz oswobodzić rękę? Spróbowała.

- Nie - powiedziała.

I wtedy po raz pierwszy poczuła dreszcz prawdziwego, przenikającego do szpiku kości strachu. I było to też ekscytujące, ponieważ gdy już założy wszystkie kajdanki, nie będzie mogła się uwolnić, dopóki on sam o tym nie zadecyduje.

Poczowała się lekko zażenowana.



Klęcząc, nasłuchiwała brzęku łańcuchów, kiedy przymocowywał je do kółeczek przy kajdankach, a potem przytracał do mosiężnej ramy łóżka. Kazał jej rozłożyć szeroko nogi. Zamocował łańcuch na ramie z drugiej strony, na rogach, tak, by nie mogła złączyć ich z powrotem. Potem powtórzył ten sam proces z jej rękoma, leżała teraz rozciągnięta na łóżku, przypominając literę X.

Była jakby zawieszona w powietrzu.

Nie mogła ani pochylić się do przodu, ani przewrócić na bok, by poczuć delikatną miękkość łóżka. Poczwała się aż nazbyt wyeksponowana, otwarta. Nie była przygotowana na to, co dla niej szykował. Przechodziły ją dreszcze, trzęsła się na całym ciele. Była słaba, w pułapce, odkryta. I po raz pierwszy poczuła, że naprawdę się go boi.

- Powiem ci, co teraz zrobimy - powiedział. - Zagramy w pewną grę.

Jego głos zdawał się dochodzić ze wszystkich stron jednocześnie.

- W domu mamy osiem sztuk broni, prawda? *Broń?* - pomyślała.

- Pistolety, strzelby, sztucery. Widziałaś, jak je czyszczę, poleruję, rozkładam. Tysiące razy. Powiedzmy, że każda sztuka to jedna część twojego ciała. Na przykład...

Poczwała pieczętę pejcza na prawym ramieniu i podskoczyła, czując dotyk. -Tutaj...

Teraz przesunął po lewym ramieniu, aż do łokcia. Znowu podskoczyła. -Tutaj... i tutaj.

*Wewnętrzna strona ud.*

- No i oczywiście tutaj. *Tylek*.

-1 tutaj... *Brzuch*.

-1 wreszcie... tutaj.

*Boleśnie powoli przejechał pejczem po jej piersiach.*

- ...i tam.

*Pejczem dotknął jej włosów łonowych.*

Mój Boże, czy naprawdę chce ją tam uderzyć?

Nie ma mowy. To szaleństwo.

-Arthur...

- Daj mi skończyć. Teraz czas na grę. Dotykam cię w różne miejsca, tak jak przed chwilą. Potem mówię nazwę jakiejś broni. Powiesz mi, jaki to *kaliber*. Jeśli zgadniesz, nic się nie wydarzy. Kompletnie nic. Jeśli lekko się pomylisz, ja też uderzę lekko. Jeśli nie zgadniesz, użyję pejcza trochę mocniej.

- Nie, Arthur. Nie. Nie zgadzam się.

- Nie możesz odmówić, Liddy.

- Arthur, to nie jest zabawne.

- Liddy, nie możesz odmówić.

- Chcesz się przekonać? Zacznę krzyczeć. Zaśmiał się.

- Jeśli to zrobisz, wiesz, co się stanie. Obudzisz Roberta. I jak mu to wytłumaczysz? Możemy mieć z tym problem, prawda?

- Arthur, ty sukinsynu. Była wściekła. Jak on *śmiał!*

I jak mogłam do tego dopuścić?

- Jeśli to zrobisz, Arthur, jeśli to zrobisz, przysięgam, że koniec z nami - powiedziała. - Mówię ci. Rozwiode się z tobą. Nie żartuję.

- Lydia, to tylko *gra*. To tylko zabawa. Przestań traktować to wszystko tak bardzo *serio*. Nie wiem, o co ci w ogóle chodzi. Zaczniemy od miejsca, o które tak cholernie się martwisz. Tutaj...

Ponownie przejechał pejczem po jej włosach łonowych. Drgnęła.

- Magnum - powiedział. -Co?

- Magnum.

Znowu ją pogłaskał biczykiem. -Kaliber 357.

- No i? - powiedział. - Widzisz! Trafiłaś! A więc przyłączyłaś się do zabawy! I wygrałaś, prawda? Nic ci nie zrobiłem.

Super, pomyślała.

Nie wiem nic o twoich cholernych pistoletach. Nie widziałam nawet połowy z nich.

Poczuła dotyk pejcza po wewnętrznej, miękkiej stronie prawego uda.

- Walther PPK.

Wiedziała, że zaczyna się od „trójki”. No, to było łatwe.

Potem przyszła kolej na rewolwer ladysmith .38, który, jak twierdził, kupił właśnie dla niej, do obrony własnej. Ale nigdy nawet z niego nie strzelała.

Miał też dubeltówkę.

Udało jej się oszczędzić prawe ramię i brzuch.

Ale nie pośladki, uderzył ją mocno przez tyłek. Czowała ukłucie bólu jeszcze długo po tym, jak przesunął biczyk na miękką skórę jej lewego uda, a potem na lewe ramię.

Za to dostało się piersiom.

I chociaż włożył w to mniej siły niż w pozostałe uderzenia, z uwagi na czułość, na wrażliwość tego miejsca, niemal krzyknęła z bólu, jedynie myśl o Robercie trzymała ją w ryzach. Nie chciała, by się obudził, nie chciała, by dowiedział się, co też dzieje się u mamy i taty, za zamkniętymi drzwiami ich sypialni.

Kiedy skończył, miała łzy w oczach.

Rozpiął kajdanki. Zwyczywała go, poszła pod prysznic i położyła się spać w innym pokoju.

Znowu przeziębienie, zarazki. Tym razem to mama się rozchorowała.

- To była tylko zabawa - powiedział, gdy wychodziła z pokoju. - Daj spokój, przecież nic się nie stało.

Ślady na jej ciele zniknęły po godzinie.

Ale zostały te w jej pamięci. Ukryła je tak skrzętnie, jak wiewiórka orzechy na zimę.

Nigdy więcej nie zobaczyła już ani małego, czarnego pejcza, ani kajdanek. Uznała, że je wyrzucił. Pewnie był nią rozczarowany, zepsuła mu zabawę.

Miała to gdzieś.

Nawet drogi, czarny, jedwabny szal znalazł się w koszu.

Tygodniami nie uprawiali seksu, ba, nawet nie pocałowali się w policzek. W sumie nawet tego nie odnotowała, nie miała nic przeciwko takiemu stanowi rzeczy.

Arthur stał się jeszcze bardziej oschły. Spędzał coraz więcej czasu poza domem. W The Caves, w trasie. Z rodzicami.

Czasem zastanawiała się nawet, czy przypadkiem nie znalazł sobie kochanki.

Była ciekawa, czy wszystko odbędzie się tak samo jak w przypadku Jima.

Ale wątpiła.

Bywały noce, kiedy po przyjściu do domu zionął alkoholem, wtedy schodziła mu z drogi. Miewał częstsze napady wściekłości, denerwował się o byle co. Nigdy nie uderzył jej w gniewie, ale nie oznaczało to, że nie był do tego zdolny. Miewał straszliwe humory. Kiedy był zły i kłótlivy, niemal ją *prześladował*, cały czas trzymał się blisko niej, chodził za nią wszędzie, krok w krok, a potem darł się jej prosto w twarz.

W chwilach wyjątkowej słabości rozważała zostawienie go.

Mogła to zrobić. Nie miała wiele oszczędności, ale zawsze mogła wrócić do pracy. Być może byłoby jej ciężko, ale da sobie radę.

Kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia w 1993 roku, zmarła jej matka. Kobieta odśnieżała łopatą podjazd, nie chcąc czekać na wynajęty pług. Atak serca był szybki, nagły, niespodziewany.

Pojechali we trójkę do Wolfeboro.

Kiedy dotarli na miejsce, była w rozsypce, podobnie jej siostra, Barbara, która mieszkała teraz w Hanover. Nawet nie *rozważały* śmierci matki, nie była jeszcze taka stara, ledwo sześćdziesiąt dwa lata. A żadna kobieta w tym wieku nie była tak żywa i tak żwawa jak Kerry McCloud. Po śmierci ich ojca sama zmieniła plac na tyłach domu w ogród, hodowała tam warzywa, zioła i jeżyny. Potem pakowała je do słoików i obdarowywała znajomych. Pracowała jako wolontariusz w dwóch organizacjach charytatywnych, bibliotece publicznej i lokalnej partii demokratycznej. Miała również pracę, której nie potrzebowała, na część etatu w księgarni. Trzymała się tej posady, by być na bieżąco z nowościami wydawniczymi. Chodziła na wieczorki brydżowe i na spotkania samotnych wdów. Jedyne, czego nie robiła, to chodzenie na randki.

I wszyscy wiedzieli dlaczego.

Wszyscy wiedzieli też, że Kerry McCloud przed snem wypijała drinka albo i dwa i kładła się nie w małżeńskim łóżu, ale na kanapie w salonie.

Lydia i Barbara były wstrząśnięte stratą. Lydia gapiała się tępo w ścianę i rozpamiętywała minione rozmowy i wydarzenia, jakby rozgrywały się one tuż przed jej oczyma, jakby mury były ekranem, na którym wyświetlano opowieść o matce. Zakładka włożona w niedoczytaną książkę, imię jej matki na śmieciowej poczcie, która nadal przychodziła, kurczak w zamrażarce

- każda najmniejsza rzecz potrafiła wyprowadzić ją z równowagi, poruszyć do łez, sprawić, że nagle wybuchała płaczem.

Robert, który miał niemal siedem lat, również uwielbiał swoją babcię i nawet te wszystkie zabawki, książki i gry, które ze sobą przywiózł, nie ratowały go przed okrutnym wpływem świata dorosłych i nie mogły wyrwać ze szponów straszliwego smutku. Wątpiła, czy to dobry znak. Ale trudno było jej powiedzieć, by poszedł się bawić, ciężko jej było zdobyć się na to, by wysłać go do innego pokoju, kiedy czynili przygotowania do pogrzebu, czy też podczas rozmowy telefonicznej prowadzonej z przyjaciółmi i krewnymi. Łatwiej było zaakceptować jego obecność, bo on sam był ciągle na granicy rozpacz

- szczególnie gdy ona i Barb wybuchały płaczem. Prawdziwą niespodzianką był Arthur.

Nie chodziło o to, że wziął wszystko na siebie - praktycznie nie spodziewała się, że będzie wszystkim kierował - ale nie podejrzewała, że wykaże się takim zrozumieniem, taktem, że z godnością odniesie się do tego, co się zdarzyło. Najczęściej to właśnie on odbierał telefony, radził sobie z tuzinami napływających zewsząd, kłopotliwych kondolencji, powtarzał ciągle

te same słowa, w kółko i w kółko - o tym, jak sanitariusze robili, co mogli, ale nie udało im się przywrócić akcji serca. *Tak, zareagowali szybko*, nie, nie miała wcześniej żadnych ataków serca i nie, w rodzinie również nikt z tego powodu nie cierpiał.

Radząc sobie z tymi i innymi telefonami, ale także i z całą tą sytuacją, przecież śmierć w rodzinie nie była dla nikogo łatwa, Arthur sprawił, że w domu zapanowała, nieprzesiąknięta sentymentalizmem powagi, atmosfera spokoju, która uwolniła obie siostry od ciężaru. Nie będzie otwartej trumny, uznały, że byłoby to barbarzyństwo. Barbara rozwiodła się - a więc Lydia miała w tym wypadku rację, ślub faktycznie *był* najszczęśliwszym dniem w jej małżeńskim życiu - i Arthur był jedynym mężczyzną w domu. Aż do pogrzebu zachowywał się delikatnie, czule i szczerze. Nie odmawiał wsparcia, pomocnej dłoni, ramienia do wypłakania się i swojego czasu; cierpliwości i pocieszenia nie szczędził nie tylko jej, ale i Barb.

Dzień przed pogrzebem kochali się, po raz pierwszy od tygodni. Arthur nigdy nie był tak czuły i kochający, nawet przed ślubem. Ją samą zdziwiło pragnienie, jakie odczuwała, potem przyrównywała męża do twardej ziemi, do której przywarła, szarpana przez silny wiatr.

Na pogrzebie stała przy grobie obok trzydziestu pięciu wujków, cioć, kuzynów i przyjaciół z całej Nowej Anglii. Robert stał po jej lewej, Barb po prawej ręce, a Arthur pomiędzy kobietami, z dłońmi na ich ramionach. Była mu wdzięczna, że zwraca uwagę także na jej siostrę, która czuła się wybitnie osamotniona.

Ostatnimi gośćmi, którzy wyszli ze stypy, byli rodzice Arthura. Ruth wyglądała na jeszcze bardziej kościstą i nieustępliwą niż zwykle, ale Harry stawał się cieniem. Czuł się niezręcznie

w przydużym garniturze. Stracił wiele kilogramów. Jeszcze bardziej niezręcznie było mu z myślą, że jest na pogrzebie osoby, którą ledwo znał. Za to jego żona była wulkanem energii, zajmowała się kuchnią, odciążając tym samym Lydię i Barb, a przy okazji sprawiając, że czuły się obco w domu, w którym dorastały. Lydia doceniała tę pomoc, ale ulżyło jej, kiedy wyjechali.

Przykrą niespodzianką była wiadomość, że jej matka wzięła kolejny kredyt pod hipotekę zaraz po tym, jak zmarł jej mąż. Najwyraźniej nie zostawił po sobie wystarczających środków do życia, które spodziewała się otrzymać. Arthur zarządził sprzedaż domu i skontaktował się z agentem do spraw nieruchomości. Ten powiedział, że ona i Barb otrzymają po jakieś piętnaście tysięcy dolarów. Nie było to wiele, ale Barbara była samotną, bezdzietną nauczycielką i nie gardziła żadnymi pieniędzmi.

Gdy dwa dni później wracali do Plymouth, słuchali stacji radiowej z Concord, która nadawała talk show. Do radia dzwonili słuchacze, a tematem rozmowy była świeża sprawa seryjnych morderstw, których fala przetaczała się po stanie. Większość ofiar stanowiły młode dziewczyny, niektóre z nich były jeszcze dziećmi poniżej dziesiątego roku życia. Ludzie narzekali na bierność policji, nalegali na działanie. Ekspert w psychologii kryminalnej dywagował nad profilem tej osoby, zastanawiał się, kim ona mogłaby być, spekulował na temat motywu, osobowości, dzieciństwa.

Z początku ledwo go słuchała. Potem drugi gość programu, porucznik z lokalnego komisariatu, skupił się na osobistej stro-



nie tych wydarzeń, mówił o tym, co rodzice i dzieci powinni robić, by zapobiec ewentualnemu niebezpieczeństwu.

- Nienawidzę takiego pieprzenia - powiedział Arthur.

- Co masz na myśli? Dlaczego?

- Próbują ci wmówić, że jeśli zrobisz to czy tamto, to jesteś bezpieczna, trzymaj się tych wskazówek, to nic ci się nie stanie. Ale nie jesteś bezpieczna. Nigdy nie jesteś bezpieczna. Nie ukryjesz się przed niektórymi ludźmi.

Słuchała audycji jeszcze przez chwilę, a potem zmieniła stację. Dopiero za jakiś czas zorientowała się, co miał na myśli i dlaczego.

Dziewięć

ROBERT

*Jesień, 1994*

Robert śnił, że stał nad krawędzią basenu, a beton pod jego stopami był nagrany, parzył go w stopy, więc zamiast ześlizgnąć się albo zejść po drabince, wskoczył bezpośrednio do wody tak szybko, jak tylko mógł, choć wiedział, że to wbrew zasadom.

Ale z jakiegoś powodu dzisiaj nie było ratownika, który mógłby się do niego przyczepić.

Wynurzył się i zobaczył, że nie ma tutaj nie tylko ratownika, ale także żadnych innych dzieci. Ani żadnych dorosłych. Miał cały basen tylko dla siebie. Zastanawiał się, gdzie wszyscy poszli, może trwała jakaś parada albo coś innego. Poczuł się dziwnie, bowiem nikt nawet nie siedział *obok* basenu, jak to zazwyczaj bywało, a przecież świeciło letnie słońce. Kiedy jednak zaczął pływać, przestał się tym przejmować, tak mu było przyjemnie.

Najlepiej szło mu pływanie pod wodą, więc przebył w ten sposób niemal całą szerokość basenu, zanim wynurzył się i zaczerpnął powietrza. Chciał spróbować, jak długo może płynąć

na jednym wdechu. Musiał coś źle wyliczyć, może nabrał za mało powietrza, bo musiał wystawić głowę nad powierzchnię wody szybciej, niż sądził. Gdy rozejrzył się wokół, spostrzegł, że nie jest już w basenie, ale na środku jeziora, a wokół rosły krzaki i drzewa. I wtedy zobaczył węże.

Trzy, czarne, zaraz za nim, płynące wprost na niego. Widział ich główki nad powierzchnią wody, skierowane w jego stronę. Widział szybkie, wijące się ciała, przecinające brudną, czarną toń jeziora. Niespodziewanie zaczął zapadać zmrok.

- Pomocy! - zawołał, ale w pobliżu nikogo nie było.

Przypomniawszy sobie, że przecież ratownik dzisiaj nie pracuje. Odwrócił się, zaczął kopać i uderzać ramionami w wodę, próbując płynąć jak najszybciej w stronę brzegu, ale węże wcale nie zwalniały. Wiedział o tym, *czuł* to. Poruszały się szybciej niż jakakolwiek żywa istota, były jak torpedy, nie mógł przestać o nich myśleć, chciał, by *odeszły, odeszły, odeszły*, modlił się, by zniknęły, żeby to nie była prawda, żeby nie płynęły właśnie po *niego*, tylko nie po niego, że może się pomylił, że może płyną gdzie indziej, że nie zwykły podgryzać chłopców w jego wieku i tylko *wydaje* mu się to wszystko. Odwrócił się, by sprawdzić, czy nadal go gonią, z nadzieją w sercu. A wtedy zobaczył, że są już tylko kilka cali od jego stóp, gotowe gryźć. Ich śnieżnobiałe pyski otwarte były na całą szerokość, a z ostrych jak igły kłów ściekał jad, tłuste krople błyszcząły w słońcu. Krzyczał. Obudził się w odpowiedniej chwili. Krzyczał nawet wtedy, gdy jego matka weszła do pokoju i przytuliła go, krzyczał wprost w wilgotną, oskarżycielską ciemność. I wtedy, macając łóżko, poczuł, że znowu to zrobił.

Coś się działo z Robertem.

Nie tylko ona to zauważyła, jego nauczycielka, pani Young-john, również. Arthur też, nawet Ruth coś mruczała pod nosem.

Zaczął się jąkać.

Stała obok niego i bezsilnie patrzyła, jak jej syn próbuje wydukać choćby jedno słowo. Brzmiało to, jakby odpowiedni dźwięk został złapany w pułapkę, zanim zdążył się w pełni wykształcić. A kiedy już udało mu się go z siebie wypuścić, sylaby wychodziły niekontrolowane, jedna po drugiej. Mrugał cały czas powiekami, drżały mu z wysiłku wszystkie zaangażowane w mowę mięśnie.

Dwa albo trzy razy w tygodniu budziły go koszmary.

I nagle stał się nieuważny, niezdarny. Robert miał bardziej pokaleczone kolana i łokcie niż jakiegokolwiek inne dziecko, jakie widziała. Gdy biegł, zaraz się potykał o własne nogi. Spadał z rowerka. Rzeczy leciały mu z rąk. Wpadał na barierki i poręcze. W lecie tak bardzo przejmowała się jego siniakami, że nie cierpiała, kiedy chodził w szortach, obawiając się, że jeśli ktoś spojrzy na niego, może pomyśleć, że ona i Arthur znęcają się nad dzieckiem. Zresztą, podobna sytuacja miała już miejsce.

Raz oparzył się, wchodząc pod gorący prysznic. Była wtedy na dole, prasowała. Usłyszała jego krzyk, pobiegła po schodach na piętro i zobaczyła, jak Robert stoi na łazienkowej macie, ociekając wodą, a jego prawa goleń, udo i pośladek były czerwone niczym homar. Sięgnęła do apteczki po spray anty-septyczny i opatrzyła mu ranę.

- Będzie dobrze - powtarzała, przytulając go do piersi.

Robert wciąż płakał.

Wreszcie uspokoił się, kiedy aerozol przestał szczypać. Złapała go za rękę i zaprowadziła do pokoju. Położyła synka na łóżku, na lewym boku, na chłodnej, świeżej pościeli.

- Poleż tak chwilę - powiedziała. - Nie ubieraj się jeszcze. Przeszukała szuflady, chcąc znaleźć dla niego coś dużego,

obszernego, by mógł to bezpiecznie założyć, może jakąś pidżamę. Wszystko wyglądało na zbyt przylegające, poszła więc do swojej sypialni i wzięła ubrania Arthura. Spojrzał na nią i zaczął się śmiać, kiedy zobaczył, co niosła.

- Ale to *taty* - powiedział.

- O to chodzi - wyjaśniła. - Będzie ci w tym wygodnie.

- Spadną ze mnie! - Nie szkodzi.

Zaśmiał się ponownie i nagle spoważniał.

- Tatuś mówił, że ból istnieje tylko w umyśle - powiedział.

- Nieprawda.

- Prawda. Tak mi powiedział.

Zastanowiła się nad tym. Zgadywała, że Arthur rozmawiał z nim na temat hinduskich fakirów leżących na gwoździach, chodzących po rozgrzanych węglach, o tego typu rzeczach. Ale Robertowi nie chodziło wcale o tajemnice neurologii. Wszystko mu się pomieszało. Chodziło mu o to, że czuł wstyd i obawę przed *wyrażaniem* bólu, nie chciał płakać. Mówił jak jakiś żalosny macho. Gdyby teraz zaczęła opowiadać mu o fakirach, pewnie tylko jeszcze bardziej by go zafrasowała.

Ale zamierzała wyjaśnić tę kwestię raz na zawsze, tu i teraz.

- Tatuś się myli - powiedziała. - Gdy czujesz ból, to go po prostu czujesz. I już. Kropka. A kiedy chcesz, to krzyczysz i płaczesz tak mocno, jak sobie tego życzysz. Nie musisz znosić tego bez słowa tylko dlatego, że jesteś chłopcem. Okej?

Pokiwał głową. -Okej.

Ale potem jeszcze wielokrotnie upadał i obijał się o rzeczy, a i tak ronił niewiele łez. Nawet po koszmarach sennych.

Jednak najgorszą rzeczą, z perspektywy jej i Roberta, było to, że w wieku niemal ośmiu lat zaczął się moczyć.

I nie tylko moczyć. Wypróżniał się we śnie.

Nie zdarzało się to każdej nocy, ale często - trzy, może cztery razy w tygodniu.

Nie robił tego, od kiedy przestał nosić pieluchy. A teraz znowu musiał je zakładać i było to cholernie ponizające. W tym wieku dzieci chodziły na noc do swoich kolegów albo koledzy przychodzili do nich, a on nie mógł w tym uczestniczyć. Zapraszano go, ale musiał kłamać, że nie może, bo jego mama jest bardzo surowa i mu nie pozwala.

Bliscy przyjaciele, jak Cindy, znali prawdę. Innym powtarzała kłamstwo, niech sobie myślą o niej, co chcą. Nie miała zamiaru zwierzać się ze swojego sekretu, nie ufała im na tyle.

Nie powiedziała nawet nauczycielce, choć pani Youngjohn była bardzo pomocna przy kilku innych problemach. Lydia wiedziała, że Robert i tak był zakłopotany jak diabli, a jeśli dowiedzieliby się inni rodzice albo dzieci, byłoby okropnie.

Zaczął robić też inne, dziwne rzeczy i widziała między nimi jakiś związek.

Po raz pierwszy pomyślała, że to takie dziecięce zachowania, przecież nawet mali chłopcy odkrywali swoją seksualność.

Ale potem zaczęła się zastanawiać, czy aby na pewno o to chodzi.

Weszła kiedyś do jego pokoju, chłopiec siedział na łóżku i bawił się swoimi żołnierzami, jednym walił w drugiego. Jakieś bitwy super bohaterów.

- Masz, załóż to - powiedziała do niego i podała mu pieluchę. - Czas iść spać.

Do tej pory zaakceptował już spanie w pieluchach. Ale nie lubił tego. Nie musiał.

- Jeszcze chwilkę, dobrze? Minutka - powiedział, nie przestając się bawić.

- *W tej chwili* - odparła.

Westchnął i zrobił tę swoją minę, udając oburzenie i gniew, ale zdjął ubranie i położył się na łóżku.

I wtedy zrobił to, co wydało-jej się kompletnie dziwaczne.

*Uklęknął na łóżku całkowicie nagi i przycisnął kolana do swojej chudej klatki piersiowej.*

Czołem dotknął materaca.

Wyciągnął ramiona do tyłu, koniuszkami palców dotknął stóp. Jego białe, białe tyłek był wypięty wprost w jej stronę. Było to tak niespodziewane, że wybuchnęła śmiechem.

- Robert, co ty robisz? W jaki sposób mam założyć ci pieluchę w takiej pozycji?

Oczywiście nie mogła, nie było to możliwe. Nie odpowiedział.

- Robert? Nawet nie drgnął.

*Protestuje*, pomyślała. Nie chciał jeszcze iść do łóżka i nie miał zamiaru zakładać pieluchy, więc znalazł sposób na to, by wszystko odwlec. *Dzieciaki.*

- Hej, Robert, to nie jest śmieszne. Przewróć się teraz na plecy, bym mogła ci założyć pieluchę, w porządku?

Zrobił to, co mu kazała.

Patrzył na nią w milczeniu, jego twarz była pozbawiona wyrazu.

Biedny, mały chłopiec, pomyślała. Bromberg, dziecięcy psycholog, do którego z nim chodziła, nie zrobił jeszcze nic dobrego dla tego dziecka. Mówił tylko, że potrzeba czasu. Ale minęło już *cholernie* dużo czasu. Każdego dnia widziała, jak cząstka jego dzieciństwa, szczęścia, zostaje wymyta z jego życia przez fale wyobcowania i poniżenia, niczym ziarnka piasku na plaży.

Musiał uważać, że jest inny od wszystkich dzieci.

*Jąkam się i sram pod siebie, jestem niegrzeczny.*

I jak mu wytłumaczyć, że *nie* jest niegrzeczny bez wzbudzania w nim poczucia winy i nie poniżając go, jak mu to powiedzieć? Jak przyznać, że każde inne dziecko, które w tym wieku robiło to, co robił on, miało *światny* powód, by czuć się innym, wręcz popieprzonym?

Był jedynym dzieckiem w klasie, które chodziło do psychologa.

I zdawał sobie z tego sprawę.

Bała się mu cokolwiek powiedzieć, nie chciała, żeby jeszcze bardziej martwił się swoimi problemami. Obawiała się, że zrzuci na niego zbędny ciężar, którego nie potrafiłby unieść.

Podąła mu tylko piżamę i zapytała, co to miało znaczyć.

Uśmiechnęła się.

- O co ci chodziło?

- Z czym?

- No, wypiąłeś swoją piękną dupkę. Po co?

Myślała, że się roześmieje, ale nie, milczał. Jedynie wzruszył ramionami.

- Cóż, o wiele łatwiej jest mi to zrobić, kiedy leżysz na plecach, nie uważasz?



Przytaknął.

Przykryła go kołdrą, pochyliła się nad nim i pocałowała w czoło.

- Dobranoc, kochanie - powiedziała. - Śpij dobrze.

- Dobranoc, mamó.

Jego głos brzmiał słabo, niepewnie. Jak głos o wiele młodszego dziecka.

Wyłączyła światło, zeszła na dół i kilka godzin później zapadła w sen na kanapie, zastanawiając się, co mogłaby zrobić dla swojego dziecka i czy w ogóle jest w stanie coś zrobić.

Sądziła, że tamtego wieczoru po raz pierwszy i ostatni widziała swojego synka w tej pozycji, z wypiętym do góry tyłkiem. Myliła się.

Zdarzało mu się to coraz częściej, nie miało to sensu ani celu. Wchodziła do jego pokoju z pieluchą, a on już tak klęczał.

Jakby było to jakieś kompulsywne działanie.

Próbowała namówić go, by wytłumaczył jej, o co w tym chodzi. Rozmawiali o wielu rzeczach, ale o tej jednej - nigdy.

Za każdym razem odpowiadało jej niezręczne milczenie.

Zaczynała się martwić, że jej mały chłopiec odchodził od zmysłów.

Że chciał coś przekazać, coś, co w sobie dusił, że wychodziło z niego coś, na co była wcześniej ślepa. Może popełniła jakiś prosty błąd, może coś przeoczyła - co oznaczałoby, że zawiodła jako matka pod każdym względem - a może wpływały na niego ich małżeńskie problemy, rezonowały, zbierały swoje żniwo.

Powiedziała o tym Brombergowi, a ten starał się coś wyciągnąć od Roberta, dowiedzieć się, *dłaczego* to robi, ale chłopiec

nie chciał z nim o tym rozmawiać. Tylko wzruszał ramionami, jakby nic się nie działo.

A ją z kolei ta obawa przeżerała od środka.

To przecież nie było *normalne*.

Wiedziała, że nie może przejść nad tym do porządku dziennego. Ona się *bała*). A strach doprowadził ją do nieracjonalnej wściekłości. Bała się swojego dziecka.

Kilkakrotnie straciła cierpliwość, zaczęła na niego krzyczeć

- *co jest z tobą nie tak? Wiesz, że nie mogę ci tego założyć, kiedy tak robisz! Gdzie ty masz głowę, Robert?* - i słyszała swój własny głos mówiący te same słowa, które kierował do niej ojciec tak dawno temu, czuła się winna, płakała.

Czasami myślała, że sama zaczyna wariować. Cała ta sytuacja nadwyręzała jej poczucie pewności, że ma nad tym kontrolę, że jest w stanie sama zadbać o własne życie.

- Dzieciaki robią mnóstwo dziwnych rzeczy - mówił Arthur.

- Przejdzie mu, zobaczysz. Pewnie ma taki okres. Próbował być przekonujący, ale irytował ją tym jeszcze bardziej.

Nie chodziło o żaden okres.

Jej syn miał problem i to przez duże „p”.

A to jego kompulsywne zachowanie coś oznaczało.

Dziesięć

GADKA SZMATKA

10 listopada, 1994

- Okej - powiedział, kiedy zdjęli płaszcze i zapłacili opiekunke, która wyszła w zimną, ciemną noc. - Co ty sobie do cholery myślałaś? *Kim ty, do cholery, myślisz, że jesteś, Lydia?*

Odezwał się do niej po raz pierwszy, odkąd wyszli z imprezy. Odkąd powiedziała mu, co zrobiła.

- Cindy to moja przyjaciółka - odparła. - Myślę, że ma prawo wiedzieć, że ten człowiek ją okłamuje.

Chciała napić się zimnej wody. Smak wina w jej ustach stawał się coraz bardziej kwaśny. Ruszyła w stronę kuchni, a on podążył za nią.

- Skąd wiesz, że on kłamie? Czemu jesteś taka pewna?

- Powiedział ci, że nie ma szans, by zostawił swoją żonę, a potem idzie do Cindy i mówi jej, że jest w niej szaleńczo zakochany. To nie jest według ciebie kłamstwo?

- Może nie jest zdecydowany, na razie gra na dwa fronty. Nie możesz tego wiedzieć. No i nie jest to twój cholerny interes.

Nalała sobie wody i wypila duszkiem. Czuła zmęczenie. Nie potrzebowała tej kłótni. Było już późno, chciała położyć się spać.

- Słuchaj, Arthur, nie szerzę plotek. Dużo o tym myślałam. Nie wyskoczyłam z tym ot tak sobie. Myślisz, że *chciałam* powiedzieć coś takiego? Sądzisz, że sprawiło mi radość przekazanie jej tych wieści, że w ogóle chciałam się w to mieszać? Nie, nie chciałam. Wiem zresztą, że on jest twoim przyjacielem, chociaż nie jakimś tam bliskim...

- Kto tak twierdzi? Kto mówi, że nie jesteśmy bliskimi przyjaciółmi?

Westchnęła.

- Arthur, widujecie się dwa, trzy razy w miesiącu. Przychodzi do twojej restauracji, rozmawiacie, stawiasz mu drinka i to wszystko. Nie rób z tego afery, jakby oddał ci swoją nerkę, proszę.

- Tak się składa, że lubię tego gościa. Jezu, Lyd, on jest prezesem rady w *Groton Chemical*

- A co to ma do rzeczy? Cindy jest moją najlepszą przyjaciółką. Rozumiesz? I nie zasługuje na to, by ten facet wystawił ją do wiatru! Dość już przeszła, kiedy rozwodziła się z Edem.

Zdażył dopić jedno piwo i już otwierał drugie. Odkręciła wodę w zlewie i zaczęła zmywać naczynia. Mogła po prostu wstawić je do zmywarki albo nawet zostawić na jutro, ale chciała się czymś zająć, a wtedy on może sobie pójdzie i da jej spokój.

- *Skompromitowałaś* mnie, Lydia. Podkopałaś moją pewność siebie. Nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś mi coś takiego! Czy zdajesz sobie sprawę, ile mogę osiągnąć dzięki temu człowiekowi?

- Nie *dbam* o to, bo wcale go nie potrzebujesz. A na pewno nie potrzebujesz go tak bardzo, jak Cindy normalnego życia z porządnym człowiekiem, który nie będzie jej okłamywał, jak robił to wcześniej jej przeklęty mąż.

- Może ma dobre zamiary, ale jest po prostu skołowany.
- Przecież to śmieszne, Arthurze.
- Spójrz na to w ten sposób: każdy kłamie. Ty też kłamiesz, by dostać to, czego chcesz.
- Nie kłamię.
- Nie. *Ty* nie kłamiesz. Bo jesteś pierdolonym ideałem.
- Nie powiedziałam, że jestem.
- Ale na pewno tak myślisz. Odwróciła się do niego.
- Ja nie kłamię, Arthur. A *ty!*

Nie spodziewała się tego, co nastąpiło. W jednej chwili jego ręka powędrowała do góry i uderzyła ją w twarz.

Zatoczyła się i wpadła na zlew, zauważając mimowolnie, że woda nadal jest odkręcona. Odruchowo podniosła ręce do twarzy, by się osłonić. Odstawił piwo na szafkę i zaczął bić ją dwiema rękami. Mocne, twarde ciosy trafiały za każdym razem, chociaż próbowała się bronić. Walił w nią na odlew, wierzchem dłoni, raz po raz, chcąc ją zranić. Celował w głowę, policzki i szczękę. Czują piwo w jego oddechu. Nie mogła zdecydować, czy była tym atakiem zszokowana, czy przerażona.

Słyszała, jakby z oddali, swój własny głos wykrzykujący jego imię, kiedy ześlizgiwała się po ścianie i szafkach na podłogę. Darł się na nią. *Kurwo, myślisz, że możesz ze mną pogrywać?* Złapał za kołnierz jej bluzki i szarpnął do góry, rozrywając materiał. Klęczała więc przed nim, a on trzymał ją jedną ręką, drugą wymierzając ciosy. Płakała, łkała, wyciągała przed siebie ręce, zasłaniała się, ale nic to nie dało, bowiem teraz uderzał zaciśniętą pięścią, brał szybkie, krótkie wymachy - nos, oko. Karał ją. *Słyszała* swój własny ból, który krzyczał gdzieś ze środka jej

ciała. Cała twarz paliła ją żywym ogniem. W nozdrzach czuła zapach krwi, która mieszała się ze śliną. Zamierzał ją zabić.

Widziała, jak ojciec bije jej matkę w pijackim gniewie.

*Był od niej większy i zamierzał ją zabić.*

Niespodziewanie rzucił ją z powrotem na szafki i puścił. Patrzyła na niego błędnym wzrokiem i myślała o tym, jak bardzo jest szalony, że zwariował. Nawet na nią nie spojrzał, stał po prostu obok i wpatrywał się w zawieszoną powyżej fluorescencyjną neonówkę. Wyglądał obco, jak w transie. Dyszał, miał rozdartą koszulę - *czy ona to zrobiła?* Wyglądał jak prymitywny wojownik, który jakimś cudem wbił się we współczesne ciuchy i stał, pławiąc się w glorii i chwale, nad swoją zdobyczą.

Ty draniu, myślała.

Ty tchórze.

Wyszedł z kuchni czterema sprężystymi krokami. *Kierował się na schody.* Nie! Jego nie tkniesz!

Kiedy próbowała wstać, poślizgnęła się w kałuży własnej krwi, ale po chwili była już na nogach, biegła za nim. Jego własna, do połowy pełna butelka piwa zmaterializowała się nagle w jej ręce. Była w połowie schodów na górę, kiedy zobaczyła, że skręca korytarzem i idzie w kierunku pokoju Roberta. Źle nadepnęła na stopień, potknęła się, zawodziło ją opuchnięte, na wpół zamknięte oko. Podciągnęła się, trzymając poręcz, rozlała piwo na drewniane schody, ale mocno trzymała butelkę, zdecydowana, że jeśli znowu spróbuje podnieść na nią rękę albo zrobi coś Robertowi, uderzy go bez wahania. *Zrobi to.*

Nie było go w ciemnym korytarzu, ale widziała poświatę nocnej lampki zapalanej w pokoju syna. Rzuciła się biegiem w tamtym kierunku, niemal wpadła do pokoju.

I wtedy się zatrzymała. *Robert spał.*

*A Arthur siedział obok niego na łóżku i trzymał go w ramionach, kołysał. Miał zamknięte oczy. Delikatnie kołysał syna. Mieszkam z szaleńcem, pomyślała. Dobry Boże. Mieszkałam z szaleńcem przez cały ten czas.*

- Odejdź od niego - syknęła.

Arthur otworzył oczy i spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy tego wieczoru i zaskoczyła go jej obecność w tym miejscu.

*Szaleniec.*

Zrobiła krok w przód i podniosła butelkę do góry. Wyraz jego twarzy zmienił się, zaskoczenie przeobraziło się w coś, co przypominało smutek, szczery i głęboki. Chciała, by stamtąd wyszedł.

- Idź stąd - powiedziała.

Z początku wydawało się, że nie zrozumiał.

Potem delikatnie położył chłopca na łóżku, wstał i gapił się na nią przez krótką chwilę, zanim ruszył powoli w jej stronę. Odsunęła się na bok, świadoma, że być może będzie musiała użyć trzymanej w zaciśniętej dłoni butelki. Nawet na nią nie spojrzał, kiedy mijał ją w progu.

Chwilę później usłyszała dźwięk zatraskiwanych drzwi wejściowych i silnik samochodu.

Powietrze stało się nagle ciężkie od ozonu.

Upadła na podłogę.

Płakała po cichu, wszystko wokół pulsowało, trzęsło się, ledwo widziała na prawe oko. Jakoś będzie musiała doprowadzić się do porządku i wyciągnąć stąd Roberta. Miała zamiar wymyślić dla niego jakąś historyjkę, która wyjaśni jej stan,

by nie przerazić go swoim wyglądem. Spakuje teraz kilka rzeczy, zadzwoni do Cindy, włoży bagaże do jej samochodu, pojedą razem do niej do domu i jakoś się wszystko ułoży.

Miała nadzieję, że Cindy ma aparat.

Bo jej następnym przystankiem będzie biuro szeryfa.

Nie pozwoli, by uszło mu to na sucho.

Nie wróci już do niego.

Teraz była tylko ona i Robert.



Jedenaście

DUGGAN

Było już późno, prawie czwarta nad ranem. Chuj owa pora, by budzić chłopaków, mógł się przecież mylić. Ale był pewien, że miał rację. Z jej opowieści wywnioskował, że istnieje tylko jedno miejsce, w które facet mógł się teraz udać.

- Funkcjonariusz Welch spisze pani zeznanie, pani Danse, potem będzie pani mogła pójść spać.

Skinęła głową.

Kobieta była jednym, wielkim, chodzącym siniakiem. Zastanawiał się, co powie swojemu synowi, jak mu to wyjaśni. Kiedy przyjechali po nią do domu jej przyjaciółki i zawieźli do lekarza, wyglądała jeszcze gorzej. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, by ocenić, że potrzebuje pomocy medycznej. Gdy chodzi o obrażenia głowy, nigdy nie ma żartów.

Fotografie, które zrobili, były przerażające.

Jeśli zdecyduje się wytoczyć mu sprawę, same zdjęcia wystarczą, by facet wylądował na jakiś czas za kratami.

Gdyby ktoś go zapytał, odpowiedziałby, że nie może wyobrazić sobie lepszego losu dla Arthura Danse'a.

Wstał z krzesła. Bolały go plecy. Cały był obolały. Dla ludzi takich jak on komenda powinna zakupić wygodniejsze siedziska. Zestarzał się.

- Zorientuję się, czy uda mi się porozmawiać z Arthurem - powiedział. - Upewnię się, że on wie, że *my* wiemy, zanim dostanie do rąk zakaz zbliżania się. Okej?

Wziął od niej woreczek z lodem, który przykładła sobie do twarzy. Ponownie skinęła głową.

- Dziękuję.

*Cichy, słaby głosik.* Słyszał już takie wcześniej. Przeważnie wtedy, gdy przeszła pierwsza fala złości, kiedy w kobietach osiadła już myśl, przez co przeszły, przed czym udało im się uciec.

Funkcjonariusz Welch - *Martha* Welch, za którą należą się podziękowania; cieszył się i z jej urody, i z tego, że wiedziała, po co się nosi odznakę - zatrzymała go w progu, kiedy wychodził z pokoju.

- Żadnego wsparcia, Ralph?

- Nie, znam tego gościa.

- Na pewno?

- To śmieć, który bije kobiety. I pewnie też psy i koty.

- Psy i koty?

- Mówię ci, że znam tego faceta z dawnych czasów.

Ulice o tej godzinie zionęły pustką. Śnieg już dawno poddał się pod naporem pługów i silnego, południowego słońca. Ale i tak prowadził ostrożnie i nie przekraczał dozwolonej prędkości, zdając sobie sprawę z własnego zmęczenia.

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, poczekałby do jutra, ale nie teraz, skoro na świeczniku jest Arthur Danse. Tej sprawy nie odda nikomu innemu, żadnemu świeżakowi.

Danse musi otrzymać wieści do rąk własnych od niego.

W jego ocenie, Danse był klasycznym przykładem zła wcielonego. Urodził się zły, dojrzewał zły i nadal ma w sobie zło. Z wiekiem stał się sprytniejszy i nikt nie miał wątpliwości co

do jego inteligencji, ale z ludzką osobowością jest jak z księgowością - gównem zawsze wypłynie na powierzchnię.

Nie był zaskoczony tym, co się dzisiaj wydarzyło. Czekał na coś takiego, wiedział, że wreszcie Arthur wybuchnie.

Szkoda, że wyładował swą złość na tej kobiecie.

Mówiła, że jest pielęgniarzką. Wyglądała na porządną osobę. Nie była stąd.

Czasem zadziwiało go, na ile rzeczy ludzie potrafią być ślepi, jak wielu rzeczy nie zauważają w drugiej osobie. Nieraz wychodziło to na dobre. Weźmy na przykład jego córkę, Ginny.

Kiedy Ginny patrzyła na swoją córkę - a jego wnuczkę, Stephanie - wydawała się widzieć jedynie szczęśliwe, nieskomplikowane, kochające, małe dziecko, które, niestety, było bardzo osamotnione wśród rówieśników. Duggan widział w niej to, co większość ludzi. Zespół Downa. Chciało mu się płakać, pragnął cierpieć za nie obie, za cały ten ból, który spotkał je w życiu.

Ale Ginny potrafiła spojrzeć na córkę w sposób, który pozwalał jej nie myśleć o tym, co stanie się w przyszłości, mogła skoncentrować się na tym, co czeka je tu i teraz, na tym, co miała przed oczyma - na szczęśliwej, kochającej, małej dziewczynce. Nie zwracała uwagi na całą resztę.

W tym przypadku przynosiło to tylko obopólne korzyści.

W przypadku Lydii Danse mogło zakończyć się śmiercią.

Miała szczęście, że udało jej się uciec.

A on miał zamiar jej pomóc, by nie musiała znowu przez coś takiego przechodzić.

Zatrzymał się na wąskim, zwirowanym fragmencie drogi, prowadzącym do domu Ruth i Harry'ego. Był pewien, że właśnie tutaj znajdzie Arthura Danse'a.

Czego by o nim nie mówić, stary Artie z pewnością kochał swoją drogą mamusię.

Przednie reflektory radiowozu omiotły dużego, czarnego lincolna zaparkowanego przed domem.

Zgasił silnik i wysiadł z samochodu wprost w ciemną, bezgwiazdną noc. Wiał mroźny wiatr. Zapiął kurtkę pod szyję.

Dom był cichy, nie paliło się żadne światło.

Wszedł po schodach na ganek i zobaczył, że w środku zapłonęła pojedyncza żarówka i zatrzepotała zasłona w oknie salonu.

Nie musiał nawet pukać.

Ruth pojawiła się w drzwiach.

- Dzień dobry, Ruth.

- Dobry, Ralph.

Koszula nocna, którą miała na sobie, wyglądała, jakby została kupiona w latach pięćdziesiątych i od tego czasu była noszona dosłownie każdego dnia.

Ponury wyraz jej niemal pozbawionej warg twarzy podpowiedział mu, że kobieta wie, po co przyjechał. Ale i tak ją o tym poinformował.

- Muszę pogadać z Arthurem, Ruth. - Nie ma go tutaj.

- Tam stoi jego samochód. Zaraz za mną. Wzruszyła ramionami.

- Pojechał na przejażdżkę z Harrym.

- Z Harrym? O czwartej rano?

- Dokładnie tak.

- A wiesz może, dokąd pojechali?

- Nie wiem. Popatrzył na nią.

Nie ma sensu nazywać jej kłamcą.

Mógł jednak założyć się o swoją odznakę, że auto Harry'ego stało zaparkowane na tyłach domu.

- Będiesz miała coś przeciwko, jeśli wejdę do środka, Ruth? Moglibyśmy sobie chwilę porozmawiać, tylko ty i ja. Straszna dzisiaj zimnica.

-Nie mam nic przeciwko. To znaczy, nie mam nic przeciwko, jeśli masz nakaz. Jeśli nie, no cóż, jest tak, jak powiedziałaś. Czwarta nad ranem. Wyciągnęłaś mnie z łóżka. Możemy pogadać jutro. W sumie mogę pogadać z tobą, kiedy tylko zechcesz.

Cholera, stare rury zawsze znały swoje prawa.

- Ruth, chciałbym cię zapytać, czy wiesz może, co zaszło dzisiaj w nocy w domu Arthura?

-Arthur powiedział, że się pokłócili, wołał przespać się u nas i to wszystko.

Pokręcił głową. Było oczywiste, że Ruth doskonale wiedziała, co się wydarzyło, ale nie była nawet w połowie tak sprawnym kłamcą, jak jej synalek. Właściwie to plasowała się gdzieś na końcu rankingu. Można się było spodziewać, że będzie go kryła.

- Stało się o wiele więcej, Ruth. Arthur dotkliwie pobił swoją żonę.

- To ona tak twierdzi.

- Słucham?

- Powiedziałam, że to ona tak twierdzi.

- Tak jest. I ma na potwierdzenie swojej wersji raport z wynikami obdukcji oraz fotografie.

- Ma zamiar iść z tym do sądu?

- Nie wiem jeszcze, jak to się potoczy. Ale nie będę jej zniechęcał.

Odczekał chwilę. Ruth nie mrugnęła, nawet nie drgała jej powieka.

- Upewnij się, proszę, że Arthur jest świadomy tego, że otrzyma zakaz zbliżania się z samego rana. Nie będzie mógł widywać się z żoną i synem pod żadnym pozorem, dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy. Uprzedzam, że byłoby lepiej, gdyby znalazł się tutaj, byśmy nie musieli go zgarnąć w restauracji. Obędzie się bez szopki. Niech nigdzie nie wyjeżdża. Żadnego ułatwiania interesów poza miastem, żadnego *ukrywania się*. Gdziekolwiek. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Ruth?

-Aha.

- Dobrze. Miłego dnia życzę. Przepraszam, że musiałem cię obudzić.

Kiedy był już na schodach, słyszał, jak zamyka cicho drzwi. Wrócił do samochodu i ruszył z powrotem żwirowaną dróżką, aż uznał, że znalazł się w odpowiedniej odległości od domu, by nie było go słychać. Wszedł z auta i zgasił światła.

Pobiegł w stronę domu.

Światła na parterze były zgaszone, ale lampka paliła się w jednej z sypialni na piętrze. Domyślił się, że narada jest w toku. Przebiegł, kryjąc się w cieniu żywopłotu, na tył domu. Ciężko było mu oddychać przez mocny, chłodny wiatr.

Szary ford, którym jeździł Harry, stał za budynkiem. Jego pickup również.

A więc spodziewali się jego wizyty.

Drań był w środku, a Duggan nie mógł go dopaść. Jeszcze nie. A znając tych ludzi, na pewno nie będą mu tego ułatwiać. Ale pewnego dnia dostanie go w swoje ręce. A wtedy się nim *porządnie* zajmie.

Dwanaście

## BEZ PRZEBACZENIA

- Znam tego faceta - powiedziała Cindy. - We wrześnie zajmował się rozwodem Jeannie Tartell. A ten jej mąż to był dopiero oszołom. Wiesz, że on pozwalał swojemu sześcioltniemu synowi ganiać po domu z jego pistoletem? Niby nic się nie stało, ale co by było, gdyby dzieciak znalazł naboje? W każdym razie mówiła, że ten prawnik jest w porządku, ponoć bardzo dobry. No i wywalczyła swoje w sądzie, zgodzili się na wszystkie jej warunki. No i ten prawnik jest całkiem przystojny, o ile lubisz takich moli książkowych.

- Naprawdę mam gdzieś, jak wygląda, jeśli wie, co robi.

- Poczekaj, zadzwonię do niej.

Cindy odstawiła piwo, podeszła do wiszącego na ścianie telefonu i wybrała numer.

Było zaledwie południe i Lydia zwróciła uwagę na to, że Cindy piła o tak wczesnej porze, ale nic nie powiedziała, bo jej przyjaciółka przez cały ten czas była taka kochana. Przygotowywała posiłki dla Roberta i swojej Gail, potem odwoziła oboje do szkoły, a Lydia mogła dłużej pospać. Powiedziała też, że mogą zostać u niej tak długo, jak tylko będą chcieli. Wiedziała jednak, że lepiej będzie wrócić do własnego domu jak najszyb-

ciej. Może nawet jeszcze tego wieczoru. Takie doświadczenie wyniosła z pierwszego rozwodu.

*Musisz wyrzucić faceta za drzwi i tam go trzymać. Zmienić zamki i umówić się z nim na spotkanie w sprawie odbioru rzeczy. A kiedy przyjedzie, upewnij się, że ktoś będzie obok ciebie, by patrzeć mu na ręce.*

Skurwysyn.

Opuchlizna zaczęła powoli schodzić jej z twarzy, a tylenol i kodeina trzymały ból na wodzy - chociaż powodowały zawroty głowy. Pomyślała jednak, że nic nie szkodzi, raczej nie będzie obsługiwała ciężkiej maszynarii. Nadal ledwo widziała na prawe oko.

Sączyła kawę i skubała drożdżówkę z serem, przysłuchując się rozmowie Cindy z Jean Tartell. Szczęśliwie Cindy - co było dla niej dość nietypowe - zachowywała się bardzo dyskretnie, nie rzucała nazwiskami, powiedziała jedynie, że jej przyjaciółka potrzebuje prawnika. Dobra z niej dziewczyna.

Nie chciała, by cały świat się o tym dowiedział.

Jaka głupia się okazała.

Czuła się jak kompletna idiotka, że nie dostrzegła w Arthurze tego, co w nim siedziało już od dawna, przez miesiące, a może i lata, bo przecież przez cały ten czas otrzymywała sygnały ostrzegawcze.

Była zła na siebie. Prawie tak samo, jak wściekła była na niego. Cindy odwiesiła słuchawkę, uśmiechnęła się i pomachała do niej kawałkiem papieru.

- W porządku, mamy numer. Jeannie ręczy za tego faceta. Chcesz, bym to ja do niego zadzwoniła?

- Nie, ja to zrobię.

- Naprawdę, nie ma problemu, mogę zadzwonić. Siedź sobie i skończ bułkę. Napij się jeszcze kawy.



Właściwie to czuła ulgę. Adwokat mógł zacząć zadawać pytania, a ona nie była pewna, czy jest już w stanie udzielić na nie odpowiedzi.

Cindy wybrała numer.

- Jak on się nazywa?

- Sansom. Owen Sansom.

Biuro Owena Deana Sansoma z kancelarii Seymour, Sansom i Winter mieściło się w małym, dość nowym biurowcu na cichej, porośniętej drzewami ulicy, kilka przecznic od centralnego placu miejskiego.

Cindy podwiozła ją tam, wysadziła pod budynkiem i powiedziała, że wróci za jakąś godzinę, zrobi tylko zakupy, ale żeby się nie śpieszyła, jak będzie trzeba, to poczeka.

*Godzinę?* - pomyślała. *Zajmie mi to ponad godzinę?*

No cóż, jasne, że zajmie.

Musi o wszystkim opowiedzieć. Nie tylko o ostatniej nocy, ale o wszystkim. Całym ich małżeństwie. O tym bałaganie, jakim stało się życie jej i Roberta.

Bała się. Trzęsła się ze strachu.

Zebrała się w sobie, otworzyła drzwi i weszła do środka.

Dwie godziny później nareszcie udało jej się zrelaksować w jego obecności, a rozmowa miała się ku końcowi. Nie chodziło o to, że był nieuprzejmy.

Właściwie to podobał jej się ten prawnik, Owen Sansom, lubiła jego spokój w obliczu jej wstydu i złości. Cindy miała rację - *wyglądał* faktycznie jak mól książkowy, ale pomyślała, że może to i lepiej. Nie przypominał kogoś, kto łatwo się podda pod naporem

innego adwokata. Ale też nie był jak wynajęta, szeregową papugą. Być może za tymi drucianymi oprawkami okularów kryła się uczciwość, a pod rzednącymi włosami zdrowy rozsądek.

- Podstawowe pytanie brzmi - powiedział - czy będzie wszystkiemu zaprzeczał, spierał się? Jak pani myśli?

- Sądzę, że jednak nie. On jest człowiekiem... dbającym o pozory. Ludzie go znają, kojarzą. Nie sądzą, by chciał, żeby wszyscy dowiedzieli się o tym... o tym, co zrobił.

- A co z prawem do opieki? Czy będzie walczył?

- Na pewno będzie chciał *widywać* się z Robertem. Ale nie, wątpię, by walczył. Z tych samych powodów, które podałam przez chwilę. A jeśli dobrze się nad tym zastanowi, dojdzie do wniosku, że nie ma czasu dla Roberta. Zapewne będzie chciał jedynie spotykać się z nim raz na jakiś czas, może jakieś wakacje. Ale wątpię, że zażąda opieki.

- I jak się z tym pani czuje?

- Co ma pan na myśli?

- Pozwolenie Arthurowi na to. Po tym, co pani zrobił.

- Nigdy nie podniósł ręki na Roberta, jeśli o to panu chodzi. Właściwie to... był całkiem niezłym ojcem.

Te słowa z trudem przeszły jej przez gardło. Zastanawiała się, *jakim cudem ten sam człowiek może być zdolny do dwóch tak różnych rzeczy? Jak to możliwe?*

- Myśli więc pani, że jest całkowicie niezdolny do przemocy fizycznej względem pani syna?

Mocno ją cisnął z tą sprawą. Nachylił się w jej stronę. Znowu zaczęła robić się nerwowa.

- Myślę, że nie jest. Sądzę, że nienawidzi tylko kobiet. Wpatrywał się w nią jeszcze przez chwilę, potem znowu oparł się na krześle.

- W porządku - powiedział. - Oto, co chciałbym, by pani zrobiła. Proszę pojechać do domu i...

- ...zmienić zamki. Uśmiechnął się.

- Dokładnie. Zmienić zamki. Zadzwonię do niego i zorientuję się, z usług jakiego prawnika korzysta, wtedy ustalimy też termin odbioru rzeczy z domu, najlepiej zrobić to, gdy Roberta nie będzie na miejscu, może gdy pójdzie do szkoły. Nie chciałbym, by spotkał pani syna już teraz. I zapewne pani też nie. Proszę zrobić duplikaty, kserokopie wszystkich dokumentów bankowych. Musimy zobaczyć, ile ma pieniędzy i o co gramy. Dobrze?

Kiwnęła głową. Spojrzał na nią. Ponownie czuła bijącą od niego energię.

- Pani Danse, czy chce go pani pozwać również za pobicie? Możemy to zrobić, to przestępstwo. Niech mi pani wierzy, będę szczęśliwy, mogąc wsadzić go za kratki, jeśli tylko zdecyduje się pani na takie rozwiązanie.

Już wcześniej poświęciła tej myśli wiele godzin, rozmawiała z Cindy i podjęła decyzję. Nie była pewna, czy jest ona dobra, ale wolała się jej trzymać.

- Nie - odpowiedziała. - Myślę, że by go to zrujnowało. Na pewno w przemyśle restauracyjnym. Anie chcę tego, z powodu Roberta. Nie chciałabym, by miał za ojca skazańca i każdego dnia po szkole pogrążał się z tego powodu w smutku. Pewnego dnia chcę go posłać do college'u i spodziewam się, że Arthur pomoże mi w tym finansowo. Choć tyle jest mi winny. A nie robi tego, jeśli nie ma w tym interesu, więc chcę *dać* temu draniowi jakiś powód, dla Roberta.

Pokiwał głową.

- Praktyczne. I rozumiem, jak się pani czuje. Ale, proszę mi wybaczyć, on panią *pobił*, pani Danse. A więc mamy kolejnego damskiego boksera na wolności. Na pewno tego pani chce?

Pomyślała, że to zagranie nie fair. Nagle zachciało jej się płakać. Nie, oczywiście, że tego *nie* chciała. Cholera, oczywiście, że nie! Chciała, by został ukarany, wsadzony do pierdła na tak długo, na ile pozwoli prawo.

Ale nie mogła mieć wszystkiego. Walczyła o dobrą przyszłość dla Roberta, pewną przyszłość - i może o jego zdrowie psychiczne, z którym i tak nie było najlepiej - a jednocześnie chciałyby ukarać Arthura. Te dwa rozwiązania nie mogły współistnieć w prawdziwym świecie, w którym przyszło jej żyć i wiedziała, że musi wybierać.

I właśnie ten *przymus* sprawił, że zebrało się jej na płacz. Kurwa, to nieuczciwe.

- Przepraszam - powiedziała. - Tak zdecydowałam. Robert musi być na pierwszym miejscu.

Znowu pokiwał głową.

- Jak już mówiłem, rozumiem. Naprawdę.

- Ponadto - ciągnęła, nie dbając o to, że jej głos brzmiał gorzko - Arthur na pewno będzie skruszony, o ile ma to jakiegokolwiek znaczenie. Pewnie *nie* ma. Zawsze, kiedy tracił panowanie nad sobą, szczerze tego żałował.

Popatrzył na nią.

- Nie będę na panią naciskał, pani Danse, proszę mi wierzyć. Ale właśnie o tym mówię.

- O czym?

- Chodzi o jedno słowo, którego pani użyła. Oparł się na krzesło.

- *Zawsze* - powiedział.

Trzynaście

ODWIEDZINY

*Styczeń, 1995*

Dopiero dwa tygodnie po świętach rozwód miał się ku końcowi. I to nie dlatego, że Arthur z czymkolwiek się spierał, lecz po prostu o tej porze roku tryby mechanizmu sprawiedliwości obracały się bardziej niemrawo niż zwykle.

Warunki rozwodu, o ile się orientowała, były całkiem niezłe. Nie prosiła o alimenty na siebie, miała dostawać pieniądze tylko do czasu, aż wróci do pracy, podobnie zrobiła po pierwszym małżeństwie. Ale wyznaczone alimenty na dziecko były nad wyraz hojne i nie spodziewała się, by Arthur miał jakiegokolwiek obiekcje.

Jeśli jej były mąż o kogoś w ogóle dbał, to byli to jego rodzice i syn.

W święta Arthur zawsze jechał po bandzie, gdy chodziło o prezenty, ale w tym roku przegiął kompletnie. Nowy rower z przerzutkami. Zestaw do koszykówki. Rolki. Sega Genesis, Game-Gear i sześć kartridży z grami, każdy po jakieś czterdzieści dolarów. No i telewizor z głośnikami do pokoju Roberta, by mógł tam poświęcić się grze.

Skoro chciał kupić sobie synowskie uczucie, miał zamiar osiągnąć to w widowiskowy sposób. Nie mogła pogodzić się z myślą, że musiała posłać Roberta do niego w pierwszy dzień świąt, by mógł zabrać swoje prezenty. To przecież był ich dzień, matki i syna, w jedynym domu, jaki znał, w którym spędził całe swoje życie. A Arthur wchodził w jej życie z buciarami.

Ale ugoda sądowa oczywiście przewidywała odwiedziny -jeden dzień i jedna noc na tydzień i cały weekend raz w miesiącu oraz jakiś czas w wakacje. A więc Robert zasiadł przy choince w jego świeżo wynajętym mieszkaniu i popołudnie spędził na rozpakowywaniu prezentów z Ruth i Harrym. No i co z tego, Lydia miała go na wigilii i w świąteczny poranek. Przecież to ważne dni. Jakoś będzie musiała tak żyć. Nie ma innego wyjścia.

Zatrzymała dom, meble i wystarczającą sumę pieniędzy na samochód. I tak od dawna zamierzała kupić sobie auto w lepszym stanie niż jej stare.

- A to, co tutaj mamy - mówiła do Barb przez telefon kilka tygodni później - to dziwaczna sytuacja.

- Co masz na myśli?

- No wiesz, przeważnie Robert nie ma ochoty jeździć do Arthura. Święta to był wyjątek.

-Robert?

-No właśnie. Zawsze szalał za ojcem. Ale nie sądzę, że nadal tak jest. Na pewno nie ostatnio. Wiesz, co do mnie powiedział, kiedy przyszły papiery? Uśmiechnął się i powiedział: „Mamo? *Czy jesteśmy teraz z nim rozwiedzeni?*”. Wyobrażasz sobie?

- I co masz zamiar zrobić?

- Jeśli zależałoby to ode mnie, mógłby zrobić to, na co miałby ochotę. Jeśli chciałby zostać w domu, niech zostanie. Ale

znasz Arthura, będzie nalegał, bronił tego, co uważa, że mu się \_ należy.

- Czy Robert dalej robi tę swoją dziwną pozę? Westchnęła.

- Tak, czasami. Niestety, zdarza mu się. -A... to drugie?

- Też. No i dalej się jąka, miewa koszmary i całą resztę. Nic się nie zmieniło.

- Może to przez rozwód. Może jest wściekły na Arthura za rozbicie rodziny. Wiem, że dzieje się tak z wieloma dziećmi. A może nie ma z kim się bawić, kiedy jest u niego.

- Narzeka na to, bo wszystkie dzieci mieszkające w okolicy są sporo starsze.

- No to może na tym polega problem.

- Może, sama nie wiem. Czuję się okropnie z tym, że muszę go tam posyłać, kiedy on autentycznie nie ma na to ochoty, ale nakazuje mi to sąd, a więc muszę. Uważam, że Robert też powinien mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

- Dzieci nigdy nie mają głosu. Traktowane są, jakby były czyjąś własnością, sama wiesz.

- Ano wiem. Ale za każdym razem i tak czuję się, jakbym kopała psa albo coś. Czuję się jak gówno.

Usłyszała samochód wjeżdżający na podjazd.

- Barb, jedzie Arthur, muszę kończyć.

- Pewnie. Zadzwoń potem.

- Dobra.

Odwiesiła słuchawkę i zawołała:

- Robert! Twój ojciec przyjechał.

Arthur wszedł do środka w kamizelce z owczej skóry, którą dała mu w prezencie rok temu. Może chciał w ten sposób

poskarżyć się na swój los, przypomnieć jej o tym, że nie dali sobie prezentów od jakiegoś roku i nigdy już tego nie zrobią. Ale wołała się nad tym nie zastanawiać.

Strzepał śnieg z butów, kopiąc w próg, a kiedy skończył, odwrócił się i Lydia spostrzegła, że u pasa, w zdobionej, skórzanej kaburze, wisi mu pistolet. Jakby był jakimś kowbojem.

- Do cholery, po co ci to, Arthur? -Co?

- Przychodzisz po swojego syna z bronią u boku?

- Mam przy sobie pieniądze z restauracji, leżą w samochodzie. Mam pozwolenie na broń, Liddy.

- Wiem, że masz, ale nie rób tego więcej, Arthur. Nigdy.

- Daj spokój, Jezu.

- Mówię poważnie.

Ponownie zawołała Roberta. Ciężko jej było wyzbyć się złości w głosie, ale próbowała.

Tym razem zszedł po schodach. Niósł małe pudełko z plastikowymi figurkami i kilkoma egzemplarzami *Cracked* i *Mad*. Miał już na sobie kurtkę i buty, był gotowy do wyjazdu. Ulżyło jej. Dzisiaj nie wyglądał na specjalnie opornego, co oznaczało, że nie będzie musiała czuć się winna, że go z nim puszcza.

- Kiedy wrócicie?

- Przywiozę do przed obiadem. -Okej.

Pochyliła się, by pocałować i przytulić Roberta. Wkrótce nie będzie musiała się schylać, pomyślała. Jak urośnie, będzie stawała na palcach, by dosięgnąć jego czoła.

- Na razie, kochanie. Baw się dobrze.

- Cześć, mamó - powiedział i pocałował ją.

Jego usta nadal były wilgotne i gładkie, jak u niemowlaka.



-Arthur?

Odwrócił się do niej.

- Zdejmij broń, proszę.

Kiwnął głową, zawołał syna i wyszli prosto w prószący lekko śnieg.

### *Ellsworth, New Hampshire*

Często przychodził tu, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Miejsce leżało zaraz obok posiadłości jego rodziców. Trzeba było iść na wzgórze, potem zejść obok wijącego się, samotnego strumyka, gdzie można było łapać raki w lecie i który nawet teraz, w zimie, przecinał teren jak otwarta rana, pokonując lodowe okowy, pragnące zamknąć się nad niespokojną tonią.

Jeśli przeszło się przez strumyk i wdrapało po brzegu, wychodziło się na pole porośnięte wysoką, brunatną trawą i niskimi, porozrzucanymi tu i ówdzie kępami roślin. Polował tutaj wielokrotnie na przepiórki i, czasem, króliki. W zasadzie nie powinien tego robić. Staruszek Wingerter co prawda nie chadzał tędy zbyt często, gdy jeszcze żył. Ale teraz leżał w grobie, a o jego ziemię wykłócały się córeczki. Nikogo nie obchodziło, co się tutaj dzieje.

- Bądź teraz cicho - powiedział do chłopca.

Obaj z trudem łapali oddech po wspinaczce wzdłuż brzegów strumyka, a chłopcu było zimno, trząsał się. Ale Arthur widział po nim, że również jest podekscytowany. W końcu jaki dzieciak by nie był? Wspólne wyjście z ojcem i nowiutkim AK-47 na ramieniu. Jak kowboje i Indianie. Tylko że lepiej. Bo karabin był namacalnie prawdziwy, chłodny i nawet ciche dzieci, takie jak Robert, czuły w rękach jego moc. Cholera, chyba każdy chłopak oglądał „Rambo”, prawda?

Zajęło im godzinę, zanim dotarli na miejsce, szli powoli i ostrożnie przez trawę i krzaki. I do tego czasu było jasne, że Robert zdążył się znudzić tą zabawą. Arthur pomyślał, że dzisiejsze dzieciaki nie potrafią się skupić na niczym przez dłuższą chwilę. Kiedy on był mały, potrafił biegać cały dzień z małą, żalną dwudziestką dwójką w łapach. Miała moc komara, ale ją kochał. By polować, musisz mieć cierpliwość. Cierpliwość i chęci.

Oczywistym było, że jego syn nie miał ani jednego, ani drugiego.

Słyszał, jak Robert wzdychał za jego plecami. Jakby Arthur zmuszał go do czegoś. Dzieciak był niewdzięczny.

Ale chociaż trzymał gębę na kłódkę. Nie nawijał bez potrzeby i nie spieprzył mu łowów, jak dzieciaki mają w zwyczaju.

Chociaż tyle dobrego można o nim powiedzieć.

Kiedy królik wyskoczył z zarośli niecałe cztery stopy od nich, Arthur był gotowy. Automatyczna broń zasypała ziemię krótką serią, która uderzyła w suchy, bezlistny krzak i zmieniła go w proch. Królik wręcz eksplodował - wilgotna, kosmata, brązowo-czerwona papka leżała na śniegu.

Oderwało mu jedno ucho.

Noga wisiała na kawałku skóry.

- Jezu! Jezu! - mówił Robert, stojąc zaraz za ojcem. Chłopaka zamurowało. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Arthur wydał z siebie okrzyk radości i zaśmiał się. Podniósł resztki królika, by dokonać oględzin. Robert nie uważał już, że polowania były nudne. Nie ma szans. Nie po tym.

- Widziałeś to? Prawie na niego wdepnęliśmy! A czasem bez psów nie masz szans złapać ani jednego. Mamy szczęście!

*Jezu, Boże, powtarzał Robert.*

Kręcił głową z szeroko otwartymi oczyma, jakby zobaczył ducha.

I wtedy Arthur uzmysłowił sobie, że to nie zaskoczenie gości na twarzy jego syna, choć i ono było obecne w grymasie, który zobaczył.

Była tam jeszcze niewysłowiona groza. *Plymouth, New Hampshire*

O szóstej czterdzieści pięć była już dostatecznie wściekła. Pora obiadowa przypadała przeważnie na godzinę szóstą, może szóstą trzydzieści i Arthur doskonale o tym wiedział. I choć smażony kurczak może jeszcze posiedzieć w brytfannie, nadal musiała jeszcze przygotować ryż dla Roberta oraz ugotować warzywa na parze. Chodziło o to, że jego obowiązkiem jest przywiezienie syna na czas, a nie wtedy, kiedy mu się to, kurwa, podoba.

Kilka minut przed siódmą usłyszała podjeżdżający pod dom samochód, potem walnięcie drzwiami i znowu ryk silnika. Arthur szybko odjechał, co jej wcale nie zmartwiło. Miała już wyjść przed dom i zrobić mu karczemną awanturę, której Robert nie musiał widzieć.

Chłopiec wszedł do domu, walnął drzwiami i pobiegł po schodach na górę.

- Robert?

Od razu to wyczuła.

*Znowu zrobił kupę w spodnie.*

*Ale nigdy to mu się nie zdarzało w ciągu dnia.*

- Robert?

Odłożyła rondel z warzywami i poszła za nim.

Drzwi do łazienki były zamknięte. Jego kurtka leżała na podłodze.

- Robert? Wszystko w porządku?

Słyszała, jak płacze. *Pieprzyć prywatność*, pomyślała. Nawet jeśli cały czas starała się mu ją zapewnić i nie podważała jego prawa do niej.

Otworzyła drzwi.

Brudne majtki i spodnie leżały na podłodze. Robert siedział na sedesie. *Nie. Niezupelnie siedział.*

Raczej kucał nad muszlą, podtrzymując się rękoma, by nie dotykać deski pośladkami. Spojrzała na niego, łzy leciały mu po policzkach.

- *Boli!* - powiedział.

*...jakby nie mógł znieść swojego własnego ciężaru...*

Poczuła, że całe pomieszczenie zaczęło nagle wirować. Uklękła przed nim, wyciągnęła ręce, chciała przytulić jego ramiona, jego nogi, które przypominały jej skrzydła jakiegoś uwięzionego ptaka - nie wiedziała, czy może go w ogóle dotknąć.

*... nie mogła go przytulić w tej pozycji. Widziała, jak kał spływał po jego chudych udach i spadał na podłogę. Był zbyt ciemny, pachniał okropnie, wręcz nienormalnie, było w nim coś złego, okropnego...*

Oderwała trochę papieru toaletowego i zaczęła go wycierać, jego nogi i uda, a on płakał jeszcze mocniej, zawstydzony tym, co zrobił. Stał przed nią na rozstawionych nogach i trząsł się od płaczu. Powtarzała mu, że nic się nie stało, żeby się nie martwił, że tylko go wytrze. Wzięła ze zlewu wilgotną ściereczkę i dalej go wycierała, podmywała, potem znowu wycierała. Odwróciła go, by wyczyścić mu pośladki, całe czerwone, śmierdzące od

gówna. Myślała o tym, że jeszcze nigdy nie czuła czegoś takiego, jakby ktoś go czymś otruł.

Kiedy dotknęła go pomiędzy pośladkami, krzyknął.

Odskoczył, odganiając się od ręki, w której trzymała ściereczkę. Odwrócił się i wybiegł z łazienki w kierunku sypialni. Słyszała, jak kładzie się na łóżku i szlocha w poduszkę.

Osunęła się na kolana, tak otumaniona, że musiała złapać się brzegu zlewu, by nie upaść na wyłożoną kafelkami podłogę.

Pomieszczenie wydało jej się nagle odklejone od reszty wszechświata.

Nagle poczuła się, jakby dryfowała pośrodku mroźnej burzy, doszła do niespodziewanego wniosku, tak przerażająco prawdziwego. Wiedza była jak rak pożerający jej myśli od środka.

*Jakby ktoś go otruł.*

Tak. O to właśnie chodziło.

A ona wiedziała.

W tym momencie wszystko wydało jej się jasne i klarowne. Przejrzała wszystko, całe to oszustwo. Zobaczyła zło, zobaczyła chorobę tak straszliwą, że nie była w stanie jej pojąć.

Te nerwowe zachowania, jąkanie się.

Niekontrolowane wypróżnianie.

Koszmary. Jeden wielki koszmar.

*A on w nim żył.*

Jej własny syn.

Nawet ta przeklęta pozycja, w której zamierał, nabrała teraz sensu.

Chciał jej coś przez to przekazać. Cały czas jej o tym mówił.

Jak mogła być tak głupia i tak ślepa, by to przegapić? Nie słyszała tego wołania o pomoc, powtarzającego się przecież raz po raz, noc w noc, przekazywanego cichym językiem ciała.

Przecież było nie do pomyślenia, by Arthur mógł to zrobić. Aż do teraz. Bo teraz wszystko stało się możliwe.

*Tylek w górze. Głowa na poduszce.*

Sama tkwiła w takiej pozycji tyle razy, że nawet nie skojarzyła.

Do licha, przecież właśnie tak Arthur lubił to robić.

*Ty chory, tchórzliwy, zły skurwysynu,* pomyślała.

Dostanie ci się za to.

Znajdę cię i zatłukę.

Przysięgam na Boga, że tak zrobię.

Wstała z podłogi. Słyszała, że Robert dalej płacze. Odnalazła w sobie siłę, żeby wstać, dowlec się do pokoju i pocieszyć swojego synka.

Nie było go w domu. Nie było go u rodziców. A więc została restauracja.

Mogła zadzwonić, ale chciała - nie, *potrzebowała* - zobaczyć jego twarz, kiedy mu to powie. Chciała patrzeć wprost na niego, kiedy będzie zaprzeczał. Chciała patrzeć, jak się zwija.

Lincoln stał zaparkowany przed lokalem. Arthur kochał ten samochód, więc przez chwilę zastanawiała się, czy w niego nie przywalić. Ale zatrzymała się tuż za nim.

Zawiozła Roberta do Cindy, jak tylko się uspokoiła. Było dość wcześnie, a córka Cindy, Gail, jeszcze spała. Wydawało się, że Robertowi podobał się pomysł pojechania tam, gdzie jest jeszcze inne dziecko. Najpewniej potrzebował o wszystkim zapomnieć. Puścić w niepamięć. Było jasne, że Cindy chciała dowiedzieć się, co się dzieje, ale nie nalegała, a Lydia powiedziała jej jedynie, że musi natychmiast porozmawiać

z Arthurem. Wyjaśnienia - jeśli w ogóle zdecyduje się ich udzielić, nawet Cindy - mogą poczekać.

Martwiło ją, że Robert nie powiedział jej od razu o tym, co Arthur mu zrobił. Podejrzewała, że się wstydził. Ale wiedziała też, że byłoby o wiele lepiej, gdyby zdobył się na odwagę i porozmawiał z nią.

- Czy tatuś cię dotykał? - zapytała. - Czy dotykał cię tam, z tyłu?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Powiedz mi prawdę, kochanie. Cokolwiek się stało, to nie twoja wina i nie masz się czego wstydzić. Ale myślę, że tatuś robił coś, czego nie powinien robić i sądzę, że powinniśmy o tym porozmawiać.

Usiadł na łóżku i popatrzył na nią. Dała mu chwilę, żeby zebrał myśli.

- Myślisz, że możesz mi powiedzieć? Chciałbyś porozmawiać? -Aha.

- Nie? -Aha.

- A może nabierzesz sił później i wtedy pogadamy? Nie chciała go naciskać. Jeszcze na to za wcześnie. -Nie wiem.

- Spróbujesz?

- Pewnie tak.

Zostawiła więc sprawę na tym etapie.

Musiała rozmówić się z Arthurem, póki rana była świeża.

Jego bar był zatłoczony. Szafa grała jakąś melodię country - coś o zmierzającym ku końcowi dwudziestym wieku. *Niemal się skończył. Niemal się skończył.* Zobaczyła, że Arthur stoi na

końcu baru i rozmawia z Jakem, swoim barmanem. Jake, którego znała i lubiła, był z nim od początku, jak tylko otworzyli to miejsce. Wiedziała też, że był nią zainteresowany nie tylko na koleżeńskim stopniu. Wiele razy złapała na sobie jego spojrzenie, przy różnych okazjach.

A więc i to powinno go zainteresować.

Podeszła.

- Chcę z tobą porozmawiać - powiedziała. - Wolisz załatwić to tutaj czy w biurze?

Zdawała sobie sprawę z tego, jak wyglądała. Kiedy stała z nim twarzą w twarz, ledwo mogła utrzymać nerwy na wodzy. Wyglądał na szczerze poirytowanego.

- Boże, Lydia. Co znowu?

- A więc załatwimy to tutaj? W porządku.

Była świadoma obecności klientów i Jake'a, ale nie obchodziło jej, co usłyszą.

- Słuchaj, wiem, że się spóźniłem. Straciłem poczucie czasu. Przepraszam, okej? To się więcej nie powtórzy.

- A, to dobrze, że wiesz, że straciłeś poczucie czasu! Co takiego robiłeś, Arthur, że nie mogłeś nawet spojrzeć na zegarek? Co robiłeś z *moim synem!*

Spojrzał na nią. Nareszcie na nią spojrział. I ujrzał w jej twarzy to, co chciała, by w niej zobaczył. Olśniło go.

- Do mojego biura - wymamrotał.

- Nie, nie sądzę. Zmieniłam zdanie. Wolę załatwić to tutaj. *A może Jake jest zbyt wrażliwy, by dowiedzieć się, że pierdolisz naszego syna!*

Przez chwilę patrzył na nią, jakby walnęła go w twarz. Zobaczyła, że Jake odsunął się za bar. Dawał im trochę miejsca, prywatności. Ale mężczyźni przy ladzie nagle ucichli.



- Jesteś pojebana! Przewidziała to. Zaprzeczenie.

Nie było to aż tak satysfakcjonujące, jak powinno być. Nie potrafiła odczytać z jego twarzy poczucia winy, które powinno tam zagościć. Jedynie wściekłość i gniew.

Był cholernie dobrym aktorem.

Nigdy tak naprawdę go nie poznała.

I to, co zobaczyła, nie usatysfakcjonowało jej.

- Nie jestem pojebana, Arthur. Ale ty jesteś, jeśli sądzisz, że jeszcze kiedykolwiek zobaczysz tego chłopca bez nadzoru. Mówię ci, nigdy, *przenigdy* nie dotkniesz go, ty zboczony skurwysynu! *Chcesz wpaść w odwiedziny?* Chcesz pierdolonych odwiedzin? Możesz dostać odwiedziny. Możesz wpaść do domu, a ja będę tam na ciebie czekała, w tym samym pokoju, by upewnić się, że nie położysz na nim swoich paskudnych łap, ty draniu. Co, nie będzie już fajnej zabawy, jeśli będziemy we trójkę?

- Nie możesz tego zrobić.

- Nie mogę? To się przekonasz.

- Słuchaj, nigdy nic nie zrobiłem temu chłopcu. Co on ci nagadał?

Znał odpowiedź na to pytanie. Nie wiedziała, w jaki sposób, ale znał.

- Nie musiał nic mówić.

- Pierdoły. Nie powiedział ci ani słowa, co? Wszystko sobie wymyśliłaś, całą tę aferę, bo jesteś wkurwiona przez rozwód. Chcesz więcej pieniędzy, to *powiedz*, że chcesz więcej pieniędzy. Czemu stąd nie wyjdiesz i nie zostawisz mnie w spokoju, do kurwy nędzy?

- Chciałabym, Arthur. Ale pamiętaj, co powiedziałam. Nigdy. Ani razu. *Nigdy więcej.*

- Pozwę cię do pierdolonego sądu, durna dziwko!

- Nie, jeśli ja zrobię to pierwsza. Jesteś chory, Arthurze. Potrzebujesz pomocy i mam nadzieję, że ją uzyskasz. Przez wzgląd na Roberta.

Odwróciła się, przeszła przez bar i opuściła pomieszczenie. Nareszcie chłodne powietrze. Poczowała się lepiej. Wściekła czy nie, niespodziewanie zachciało jej się płakać.

Robert leżał na łóżku i myślał: *obiecał mi, że już nigdy więcej, ale i tak to zrobił, a za każdym razem tak bardzo boli, jakby wcale o mnie nie dbał, tata wcale o mnie nie dba, jakby tylko tego ode mnie chciał, myślę, że jest z nim coś nie tak, że jest wariatem, bo o mnie nie dba, nie obchodzi go, że mnie boli, ale kiedy mu o tym mówię, wtedy odpowiada, że zrobi mojej mamie to, co zrobił temu królikowi i chociaż się uśmiecha, wiem, że mówi poważnie, wiem, że mówi poważnie. Jestem tego pewien.*

*Nie mogę powiedzieć, nie mogę nic zrobić, by przestał.*

*Nic nie mogę zrobić.*

*Nie wiem, co mu zrobiłem.*

*Nie wiem, co zrobiłem.*

Czternaście

## PIERWSZE SYMPTOMY

Bromberg może i miał renomę najlepszego psychologa w okolicy, ale nie oznaczało to, że musiała go lubić. Ani nawet poważać.

Usiadł za biurkiem w zawałonym zabawkami pokoju. Miał na sobie tanią, wymiętą, niebieską marynarkę, w której wyglądał raczej na łysiejącego urzędnika bankowego w średnim wieku, a nie na dziecięcego psychologa. Jego biała koszula była niedokładnie wyprasowana, a do tego miał niedopięty kołnierzyk. Kępkę gęstych, kasztanowych włosów porastały jego kark, sprawiając, że wyglądał dziwacznie. Nosił dwuogniskowe okulary.

Plymouth wydało jej się nagle niezwykłym zadupiem. Cholerna dziura, USA. Kurwa mać, ona potrzebowała *specjalisty*

Ale Owen Sansom powiedział, że muszą to załatwić tu i teraz. A więc najlepszy psycholog w okolicy musiał jej wystarczyć.

- Twój prawnik o tym wie?

- To on kazał mi umówić wizytę. U ciebie i u proktologa. Chcę, byś porozmawiał z Robertem i ustalił, czego dokładnie dopuścił się Arthur i czy to na pewno on. Proktolog musi go obejrzeć z oczywistych powodów.

- A z tobą o tym nie chce rozmawiać? -Nie.

Zasmucił się, westchnął i nachylił w jej stronę, opierając się o biurko.

- Wiesz, ze mną też niezbyt chce rozmawiać. Korzystamy tutaj z rodzaju terapii przez zabawę i przeważnie zajmuje sporo czasu, zanim dziecko się otworzy. Kiedy się zrelaksuje, wtedy zaczyna mówić. Ale Robert na razie jedynie się bawi. Jeszcze nie przeszedł tej fazy. Zachęciłem go, by opowiedział mi o swoim jękaniu i zwierzył się z kilku koszmarów, choć szczerze mówiąc, myślę, że je ubarwia, wiesz, wymyśla niektóre rzeczy, coś wydaje mu się interesujące, więc wplata to w opowieść. Jakieś fantazje. W dodatku to wcale nie pomaga. Niestety, nie mówi nic o brudzeniu bielizny ani pieluchach.

Wstał i zaczął chodzić po gabinecie. Palcami uderzał w podbródek, wyrażając w ten sposób pełne profesjonalizmu zadumanie. Teraz czekała na kolejną mowę. Znała to zachowanie i nie lubiła go.

-Ale wszystkie elementy wydają się pasować - powiedział. - Nieprawdaż? Te wszystkie koszmary, nerwowość, niezdarność, nieśmiałość. To tłumaczy, dlaczego chłopiec brudzi łóżko, a także wyjaśnia, skąd się bierze ta dziwna pozycja, którą przybiera, kiedy chcesz założyć mu pieluchę. Nie słyszałem o przypadku jękania, które było następstwem molestowania, ale podejrzewam, że tego rodzaju trauma mogła być naprawdę silna. Szczególnie ta jego niezdarność jest interesująca, może to być jakaś forma kary dla samego siebie.

Odwrócił się do niej.

- Jeśli mam być szczerzy, to spodziewałem się tego. -Co?

- Rozwazałem, że to może być powodem, nie wykluczałem takiego rozwiązania.

- Nie wykluczałeś tego, że Robert może być molestowany? Uśmiechnął się.

- Obawiam się, że miałem takie podejrzenia.

- I nic mi nie *powiedziałaś!* Trzymałeś to... *prawdopodobieństwo* w tajemnicy?

Mogła go teraz udusić. Z łatwością.

Ponownie westchnął. Wydawał się zniecierpliwiony jej zachowaniem.

- Molestowanie dzieci nie jest tematem, o którym dyskutuje się łatwo. Szczególnie z, przepraszam, że muszę to powiedzieć, jednym z potencjalnych dręczycieli.

- Czekał, czekał - powiedziała. - Pozwól mi to wyjaśnić. Przyprawiam do ciebie mojego syna, opowiadam ci o wszystkim, pytam o przyczyny jego zachowania, a ty myślisz, że *ja* mogę być odpowiedzialna za znęcanie się nad nim?

Wzruszył ramionami.

- Miałem i takie przypadki. Rodzic wie, że dziecko nic nie powie, przeważnie mu grozi. A potem, obawiając się, że sprawa może się wydać, przyprawia je na terapię, robi zasłonę dymną. Przeważnie używa tego samego argumentu, co ty teraz - *naprawdę sądzisz, że zrobiłabym to, jeśli byłabym winna?* Taki rodzic może też nosić w sobie ukryte *pragnienie*, by dziecko powiedziało prawdę, chce ponieść karę, a nie czuje się na siłach, by przyznać się osobiście i ma nadzieję, że dziecko zrobi to za niego. Musisz przyznać, że nawet teraz mam tylko jedną wersję wydarzeń, znam relację jednej strony. Nadal *ty* możesz być dręczycielem. Oczywiście nie jest to wielce prawdopodobne, wiem o tym. Ale kluczem jest, rzecz jasna, Robert

i tylko on. Jedynie dziecko może dać mi wiarygodną relację.

Ten człowiek był niesamowity. Wyniosły, mały drań. Było jasne, że czerpie przyjemność ze słuchania własnego głosu. Bardzo chciała wyjść z gabinetu i nigdy więcej nie musieć go oglądać.

Ale potrzebowała jego pomocy.

Nie mogła się od niego odciąć.

To musiało poczekać.

- Kiedy chcesz się spotkać z Robertem?

Sprawdził swój terminarz, lustrując kolejne strony przez szkła okularów.

- Może jutro? O trzeciej trzydzieści?

- Koniecznie dzisiaj, to nie może czekać. Mój prawnik każe to załatwić dzisiaj.

Niezaprzeczalnie był nią poirytowany. *Dobrze*, pomyślała. Bądź wkurzony, ale po prostu to zrób.

- Mogę go wcisnąć na czwartą trzydzieści - powiedział. Pokręcił głową i znowu westchnął.

- Ale nie spodziewałbym się wiele na twoim miejscu.

- Nie spodziewam się - powiedziała bez cienia ironii.

Po wizycie u proktologa, jechali w milczeniu. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, a Robert wydawał się pogrążony w myślach.

Doktor Hessler był przyjemnym, miłym mężczyzną i na pewno dobrze obchodził się z Robertem, zapewniając go, że nie zrobi nic, co mogłoby go zboleć, a potem szybko zmienił temat na film „Park Jurajski II”, pytając, czy już go widział. Według doktora był tak samo dobry jak pierwsza część, pod każdym względem.

Ale oni jeszcze nie byli na tym filmie w kinie. Właściwie to próbowali już dwukrotnie, ale nie dostali biletów, tak były załadowane sale. Hessler mądrze wybrał film, bo od kiedy wszedł na ekrany, dzieciaki nie gadały o niczym innym. Robert słuchał z zaciekawieniem, kiedy doktor opisywał bardzo szczegółowo niektóre sceny, z zadziwiająco chłopięcym entuzjazmem jak na mężczyznę po sześćdziesiątce. Potem wprowadził chłopca do gabinetu, gdzie miało odbyć się badanie, i zamknął za nimi drzwi.

W raporcie lekarskim nie było niczego niespodziewanego.

Ale nadal bolało ją serce, kiedy o tym słuchała.

Poszerzony zwieracz, ból i obrzęk tkanki odbytniczej.

*Spowodowany penetracją analną.*

Penetracja analna. W wieku ośmiu lat. Boże.

Doktor Hessler zapewnił, że pójdzie do sądu i opowie o badaniu pod przysięgą.

Musieli być tego pewni. Owen Sansom przedstawił jej pokrótce w swoim biurze, jak będzie wyglądał proces.

- Już wypełniłem podanie do Sądu Najwyższego z prośbą o kasację wszystkich odwiedzin, które gwarantowała mu uroda rozwodowa, na podstawie znęcania się nad dzieckiem - powiedział. - Dziś wieczorem przyjdzie do was do domu ktoś, kto zajmie się sprawą. Przygotuj więc Roberta na kolejną porcję pytań. Trzyma się jakoś?

- Płakał trochę, kiedy powiedziałam mu, iloma rzeczami będziemy musieli się dzisiaj zająć. Zdecydowanie nie mogę winić go za taką reakcję, to spadło na niego niespodziewanie. Ale, biorąc pod uwagę okoliczności, radzi sobie całkiem nieźle.

Sansom był lekko rozczochrany, jakby palcami przeczesywał sobie swoje rzednące włosy przez cały ranek. Szkła okularów miał zaplamione. Klapy jego marynarki lekko

zagięły się do wewnątrz, jakby powiesił ją wczoraj na krześle, a nie w szafie. Zastanawiała się, jak wyglądało jego życie prywatne. Jedynie obrączka na palcu dawała jej mgliste wyobrażenie. No i nie była to w żadnym razie jej sprawa.

- Bazując na dzisiejszej wizycie u proktologa, sąd wyśle do Arthura wezwanie. Do ciebie i Roberta także. Będzie to wezwanie na pierwsze przesłuchanie, na którym ustalone zostaną wszelkie przesłanki i powody dla kasacji jego prawa do odwiedzin. Jeśli takowe znajdą...

- *Jeśli?*

Uśmiechnął się.

- Przepraszam. Prawnicza gadka. Nie martw się, na pewno znajdą. Dlatego potrzebne nam są opinie psychologa i proktologa, myślę więc, że jesteście całkowicie kryci. W każdym razie, statut mówi, że takie przesłuchanie musi nastąpić nie później niż w ciągu siedmiu dni od otrzymania wezwania przez strony. A więc wszystko pójdzie całkiem szybko.

- A co z tym prawem do odwiedzin? Między rozprawami? Bo, o ile dobrze to rozumiem, złamię postanowienia ugody rozwodowej, jeśli nie pozwolę mu widywać się z Robertem minimum raz w tygodniu. Mój Boże. Czy to właśnie tak wygląda? Czy mam się tego spodziewać?

- Może zażądać widzenia z Robertem, to na pewno, o ile będzie tego chciał. Ale nasza skarga na pewno ograniczy jego prawo do wizyt, dopóki sąd się nie wypowie w tej sprawie. Będzie mógł się z nim spotykać tylko pod okiem osoby trzeciej.

- Ale ja nie chcę, by w ogóle się z nim widywał, na Boga!

- Przepraszam, ale nic nie możemy zrobić.

- Dlaczego nie?



- Lydia, dopóki mu czegoś nie udowodnimy, nadal zachowuje swoje prawa rodzicielskie.

- Jezu. Kurwa mać!

- Domyślam się, jak się czujesz.

Mężczyzna wyglądał na wymiętego. Nie zaznał wiele snu ostatniej nocy, była tego pewna. Zastanawiała się, jaki był tego powód. Na pewno coś go gryzło. Wątpiła, by jej sprawa wpływała jakkolwiek na jego sen - przecież *był* prawnikiem. Nie, chodziło o coś innego. Coś osobistego.

I znowu musiała się upomnieć, że to nie jej sprawa.

- Okej, kontynuuj.

- W porządku. W ciągu trzydziestu dni od przesłuchania musimy iść na kolejne, tym razem przed obliczem sędziego, w Sądzie Najwyższym. Niestety, nie będzie to Ciarkę, czyli ta, która udzielała wam rozwodu, poszła na zwolnienie z powodu kłopotów z sercem. Obojętnie, z kim będziemy rozmawiać, postaramy się o wyłączne prawa rodzicielskie dla ciebie. Wtedy będziemy mogli przedstawić wszystkie dowody i wezwać świadków. Lekarzy, ciebie. Ralpa Duggana, który opowie o pobiciu, twoją przyjaciółkę, Cindy. Może nauczycielkę Roberta, no i, mam nadzieję, jego samego. Wysłałem już petycję do sądu, by przydzielili Robertowi opiekuna *ad litem*. Prawnika na potrzeby tej sprawy, który oceni sytuację i będzie dbał, albo dbała, by wynik rozprawy był jak najlepszy dla Roberta. Właśnie z tą osobą się dzisiaj spotkacie.

- *Robert* ma mieć prawnika?

- Tak. Miejmy nadzieję, że będzie to ktoś, z kim da się normalnie pracować, ktoś, kto będzie po naszej stronie.

- A jeśli nie?

- Jeśli Robert nie zacznie mówić, nasza sprawa będzie poszlakowa. Ale nadal wygląda to dość klarownie. Mogą się spie-

rać, że zrobił to sam sobie - użył czegoś, no nie wiem. No, ale oczywiście jest to mało prawdopodobne. Mogą też przyjąć linię obrony, że zrobił to ktoś inny, bez wiedzy Arthura. Wtedy będą musieli znaleźć sobie innego podejrzanego. Kogoś, kto miał podobną okazję i ją wykorzystał.

- Kogoś takiego jak ja? -Ty?

Zaśmiał się.

- Bromberg powiedział mi, że to rozważał.

Sansom pomyślał nad tym przez chwilę, uderzając w biurko ołówkiem.

- Może zmieni się to, gdy zobaczy Roberta. Jeśli nie, będziemy musieli z nim porozmawiać. Ocenic, na ile będzie chciał z nami współpracować. Może zasięgnąć innej opinii. Ale miejmy nadzieję, że chłopak opowie, co się stało, choć może to być dla niego niezwykle trudne. Musisz nad tym popracować, poważnie.

Popracuję, ale jeszcze nie teraz. Robert nadal musi spotkać się z Brombergiem. A potem, wieczorem, z prawnikiem. Co za dzień dla niego, pomyślała. Co za kurewski dzień.

Spojrzała na syna. Gapił się w pokryte szronem okno. Siedział w fotelu, przypięty pasem bezpieczeństwa. Wyglądał kompletnie bezbronne, taki ściśnięty. Jechali przez pokryte śniegiem ulice.

Odwrócił się do niej, z niespodziewanie radosną twarzą.

- Mamo? Czy jutro wieczorem będziemy mogli pójść na film? Uśmiechnęła się.

-,„Park Jurajski II"”? -Tak!

- Pewnie - powiedziała i poklepała go po ręce.

- Wyjdziemy z domu wcześniej, będziemy pierwsi i na pewno dostaniemy bilety, prawda?

- Prawda.

- *Świetnie. Wspaniale* - powiedział i znowu zwrócił się w stronę okna.

Pomyślała, że albo skutecznie blokuje w sobie myśli o tym, co się stało, albo jest niesamowicie odważny. To pierwsze mogło być kłopotliwe. Drugie, pomyślała, niezbędne, by mógł przetrwać te wszystkie dni, które go czekają.

Mogła przecież pielęgnować w sobie nadzieję.

Usiadł na podłodze, zwrócony plecami do telewizora, który jego matka wyłączyła, zanim opuściła pokój. Słuchał pani Stone. Pani Stone była chyba młodsza niż mama i bardzo ładna, pomyślał. Chociaż mama była jeszcze ładniejsza. Pani Stone miała miękkie, lśniące blond włosy, takie jak Chrissy od niego ze szkoły. Włosy tej pani również były długie i proste.

Chrissy była fajna, ale on tak naprawdę wołał Laureę.

Trudno było mu się skoncentrować na tym, co mówiła pani Stone. Zadawała pytania. Cały dzień różni ludzie pytali go o coś. Wołałby już położyć się do łóżka.

No i to wszystko było takie dziwne.

- Robert, czy ktoś cię kiedyś skrzywdził? Czy ktoś dotykał cię tam, gdzie ci się nie podobało?

Nie mógł się powstrzymać, zaczął wiercić się w miejscu. Jakby to pytanie było niczym wciśnięcie przycisku w jego Nintendo, a on był postacią, której ruch uaktywniano.

*Jak wiele mógł jej powiedzieć?*

Wiedział, że musi coś odpowiedzieć, coś, co mu pomoże wybrnąć z sytuacji. Wiedział, że wszystko robią to dla niego, dla jego

dobra, by tata przestał *to* robić. Chciał, by tata już nigdy więcej tego nie robił, pragnął tego bardziej niż czegokolwiek w świecie - ale nie chciał, by tata skrzywdził mamę, a wiedział, że zrobiłby to. Znał go najlepiej ze wszystkich. Zraniłby ją bardzo boleśnie.

A on był jedyną osobą, która mogła ją obronić.

Może uda mu się jej coś powiedzieć bez mówienia tego wprost, pomyślał. Coś takiego próbował zrobić wcześniej u doktora Bromberga.

- Może - powiedział.

- Ktoś dotykał cię tam, gdzie nie chciałeś być dotykany?

- Może.

- A gdzie na przykład?

No, teraz zaczęło robić się niebezpiecznie.

- No... może w tych miejscach - powiedział.

- Ktoś dotykał cię w tych miejscach, Robercie?

- Może.

- A *kto* cię dotykał, Robercie?

Tego nie powie, choćby nie wiem co. Nie mógł. Chociaż tak bardzo, bardzo chciał. Jeśli tylko zdobyłby się na to, by powiedzieć, że to tata, że tata mu to robił. Ale cały czas miał przed oczami tamtego królika.

Poczekaj. Prędzej czy później przestaną pytać i będzie mógł sobie pójść.

Tak robili tamci.

Patrzył, jak zapisuje coś w notesie. Wydawała się dobra i miła. Miała ładny głos, podobał mu się. Czekał i gapił się w dywanik.

- Nie powiesz mi? Pokręcił głową.

- Dlaczego?

Odczekał jeszcze chwilę. Swędziała go skóra. Jakby po pływaniu wyszedł na plażę i nadal kleił się od oceanicznej soli. Podrapał się w tyłek o dywanik. Pomogło, ale nie do końca.

- Kiedy to się dzieje, czy cię boli? Był bezpieczniejszy. Dobrze. -Tak.

- Bardzo? Pokiwał głową.

- A gdzie boli?

- No tam.

- Z przodu czy z tyłu? A może i tu i tam? -Z tyłu.

- I nie powiesz mi, kto ci to robi? Pokręcił głową.

- A czy to się dzieje często?

- Może.

- A czy zdarzyło się to kiedyś w tym domu? *Ostrożnie.*

Bo się zdarzyło. Nie teraz, ale wcześniej. *Ostrożnie.* Pani Stone była mądra, mógł się przez to wygadać. *Nie odpowiadaj.*

Nachyliła się w jego stronę, jakby z jakiegoś powodu chciała być bliżej niego, ale nie mogła wstać z kanapy i usiąść obok na podłodze.

- Robert, muszę cię o coś zapytać, to bardzo ważne. Być może będzie to najważniejsze pytanie, jakie ci dzisiaj zadam. I naprawdę, ale to naprawdę potrzebuję twojej odpowiedzi, dobrze?

Wzruszył ramionami.

Ale przestraszył się nie na żarty, czekał na to. Czekał na to pytanie.

Skłamię, jeśli będzie musiał. I tego również się bał.

- Robert, czy to twoja mama cię zraniła? - zapytała. -Nie!  
Nie!

Podskoczył na dywaniku.

Jak mogła w ogóle o tym *pomyśleć!* Czuł się, jakby uderzyła go w głowę.

Ludzie czasem mieli *szalone* pomysły.

Uśmiechnęła się. Prawie się zaśmiała. Może poczuła ulgę albo coś podobnego, a może po prostu wyglądał zabawnie, kiedy tak wystrzelił w górę. Widział to w jej twarzy.

Potem znowu spoważniała i wiedział, że nadejdzie kolejne pytanie.

- Czy to był twój tata, Robercie?

Zobaczył oczyma wyobraźni królika z odstrzeloną nogą, którego ojciec trzymał w ręce. Widział, jak podnosił nóż, kiedy wrócili do domu, jak oddzielał skórę i rdzawe futro od reszty ciała. Potem wbił w królika nóż i rozciął. Włożył rękę w otwór i rozdarł skórę, potem obdarł zwierzę ze skóry, aż do łap, jakby zdejmował skarpetkę. I wtedy odciął mu nogi. Zrobił to samo z górną połową jego ciała, ale tym razem odciął nie łapy, a głowę. Następnie zrobił nacięcie w różowej, obnażonej klatce piersiowej królika, włożył tam rękę i wyciągnął ze środka wnętrzności.

*To samo można zrobić z człowiekiem, powiedział.*

*Dokładnie to samo.*

*Wiedziałaś o tym?*

- Czy robił to twój ojciec, Robercie?

Nie. Nie rozplacę się znowu, do cholery! I nie powiem jej. *Zrób coś, by przestała, pomyślał. Zrób coś.* I wtedy po policzku pociekła mu łza. Wytarł ją i nie odezwał się ani słowem.

## Piętnaście

### LAS

Duggan dreptał w miejscu, by odgonić od siebie chłód w gryzający mu się w buty. Zapalił papierosa marki Newport Lite od Winstona Ala Whoorly'ego. Nienawidził tych szlugów bardziej niż jakichkolwiek innych, których miał okazję próbować. I tak chciał to rzucić w cholerę, uznał więc, że dobrze mu zrobi takie paskudztwo.

Lata temu wybuchł pożar lasu, właśnie w tym miejscu udało im się go zatrzymać. Po lewej widać było nowsze drzewa i krzewy, po prawej rosły starsze brzozy i klony.

Dziewczyna była przybita do jednego z nich.

Lekarz właśnie skończył oględziny ciała, zrobiono fotografie. Wydział Kryminalny będzie mógł teraz zdjąć ją z drzewa i wsadzić do czarnego worka. Pojedzie z Whoorlym i policją stanową do laboratorium w Concord.

- Czegoś tutaj nie ogarniam - powiedział Whoorly. - Po kiego grzmota zostawił nam dowody? Po co nam ułatwiać sprawę?

- Jaki troskliwy - odparł Duggan. - Facet ma serce.

- Wiesz, niektórzy z tych popaprańców faktycznie chcą zostać nakryci. Może już się zmęczył takimi podchodami.

- Nie sądzę, by to czegoś dowodziło.

Nazywała się Laura Banks - studentka z Plymouth. Jej legitymacja uczelniana i prawo jazdy włożone były do brązowego, skórzanego portfela, który tkwił w torebce. Ta z kolei leżała na kupce starannie poskładanych ciuchów, złożonych na kamieniu jakieś cztery, może pięć stóp od drzewa - płaszcz, jeansy, koszula, skarpetki, biustonosz i majtki. Dziewczyna była praktyczna. Koszulę zrobiono z grubego sztruksu, a skarpety z porządnej, czerwonej wełny.

Pomyślał, jak bardzo musiało jej być zimno. Niesłychanie zimno.

Zanim nie zaczął jej po trosze rozgrzewać.

Ciężki całun ciemności opadł na jeszcze suche, poranne powietrze. Stali tam razem, sześciu dorosłych facetów, ale żaden nie odzywał się ani słowem. Podejrzewał, że to wszystko nieźle ich zaskoczyło, każdego, bez wyjątku. Nastolatek, którego cholerny, duży, czarny labrador wywąchał dziewczynę i pobiegł w las, kiedy chłopak wyszedł z nim na poranny spacer, był na komisariacie i składał zeznania. Dzieciak miał wiele do powiedzenia, ale powtarzał wciąż to samo i to samo. Ze strachu, bał się. W pewnym sensie i oni się wystraszyli.

Podszedł do nich Lavore, a Duggan wytrząsnął dla niego jednego Newporta. Lavore, podobnie jak Duggan, chciał rzucić palenie, ale w nieco odmiennym stylu.

- W porządku, jest wasza - powiedział.

- Przyczyna śmierci?

- Chyba żartujesz.

- Dla formalności.

- Zaostrzona gałąź, przebite serce. *Precyzyjnie* wbito jej kij w serce. Praktycznie w sam środek. Patrzycie teraz na ofiarę jakiegoś maniaka tortur, zabójcę w stylu pogromcy wampirów, który



jest całkiem niezły z anatomii. I wiecie co? Nie wepchnął tego kija ot tak, po prostu. Włożył go w nią i przebił mocno i *powoli*.

- Czas zgonu?

- Na moje oko jakoś około czwartej rano. Pięć, sześć godzin temu.

- Gwałt?

- I to jeszcze jaki, jakby miał inny sposób na każdy dzień tygodnia. Wagina, odbył. Nie zdziwię się, jeśli znajdziemy też spermę w jej ustach.

Duggan wskazał palcem na kamień, jakieś sześć stóp po ich lewej.

- Widzicie to?

- Co? Knebel?

Dwie bawełniane ściereczki do naczyń leżały na poszyciu. Jedna zamrożona, pokryta śliną. Wkładali je do plastikowych woreczków.

- Nie. Trociny. Gość siedział tam i strugał kijek, chciał go zaostrzyć. Założysz się, że musiała na to patrzeć?

- To chore - powiedział Whoorly.

- A co z resztą?

- Wszystko wydarzyło się, o ile dobrze rozumiem, zanim zmarła. Choć nie jest wykluczone, że część obrażeń zostało zadanych już post mortem. Będę mógł powiedzieć ci z całą pewnością, kiedy damy ją na stół.

Popatrzył na nią. A więc Lavore twierdził, że przez cały ten czas była świadoma...

Ten facet zrobił coś niewyobrażalnego i tylko Bóg wiedział, ile czasu na to poświęcił. Może całą noc. Może dłużej.

Jej ciało wisiało niczym płat mięsa w chłodni. Musiał polewać ją wodą. *By ją obudzić? Czy aby patrzeć, jak trzęsie się*

z zimna? W jej długich kasztanowych włosach tkwiły grudki lodu i szron, tak samo na rzęsach, brwiach i między nogami. Małe igielki zwisały jej z palców i prawie - ale tylko prawie - dotykały pnia drzewa.

Ramiona miała rozpostarte jakieś trzy stopy nad głową. Każdy nadgarstek przybito do drzewa długim gwoździem.

Wisiała.

Jej ciało nabrało niebieskawego koloru tam, gdzie nie było rdzawo-brązowe. Ale dominowała czerwień. Bił ją suchą gałęzią.

Już schowali do torby to narzędzie tortur. Kij miał trzy stopy długości. Nie oderwał od niego zbyt wielu gałązek, widać było na nim zaschniętą krew i kawałki skóry, które weszły w sęki i pąki.

Przypalał ją zapalnikami.

Duggan nigdy nie był tym typem gliniarza, który myślał, że widział już wszystko. Zdawał sobie sprawę z tego, że ludzie potrafią zaskakiwać, że trafiają się tacy pojebańcy, że głowa mała. Widział, jak domowe sprzeczki kończyły się rozlewem krwi, widział, jak kierowcy jeździli po pijaku, widział rabunki z bronią w ręku i inne przejawy głupoty grożącej czyjąś śmiercią, ale nigdy wcześniej nie był świadkiem czegoś takiego i miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie mu dane oglądać niczego podobnego.

Przydeptał swojego Newporta, podniósł niedopałek i włożył do kieszeni.

Będzie śmierdział jak popielniczka.

Kolejny powód, by rzucić palenie.

Musiał teraz dowiedzieć się wszystkiego, co było w jego mocy o tej dziewczynie, o jej życiu i śmierci, i jeśli nie będzie

miął szczęścia, jeśli ktoś nie widział jej wsiadającej do samochodu, z kimś, kogo ta osoba znała, jeśli nie dorwie kogoś, kto będzie zachowywał się dziwnie podczas przesłuchania, jeśli nie wyobrazi sobie szczegółowo jej cierpienia, a potem nie wymyśli, kto byłby na tyle zwichrowany, by ją tak urządzić, to nigdy się tego nie dowie. Będzie musiał znowu obejrzeć jej obrażenia, przestudiować zdjęcia, i to niejednym razem.

Bo jak wyobrazić sobie długie gwoździe wbite w jej nadgarstki?

Przypalone ciało?

Pobicie kogoś do żywego mięsa?

Jak można wyobrazić sobie takie okrucieństwo?

Pogrążeni w rozmowie, wyszli z Whoorlym z polany. Przepisnęli się przez gęste zarośla do samochodów. Domysły Whoorly'ego były tymi z gatunku depresyjnych. Mówił, że mordercą mógł być ktoś zupełnie przypadkowy, kto akurat przejeżdżał i zabrał ją na stopa albo coś takiego. A może wycelował w nią pistolet i przyprowadził tutaj pod przymusem, a akurat to miejsce wydało mu się wystarczająco wyludnione.

Co oznaczało, że nigdy go nie znajdą.

- Tak robią seryjni - powiedział. - Jeżdżą od miejsca do miejsca, wiesz? Podróżują.

- Ale wybrał naprawdę dobre miejsce na swoje harce - odparł Duggan.

- Co masz na myśli?

- No, ten gąszcz. Nikt tutaj nie przychodzi w zimie. Zaraz obok są Lasy Narodowe i to tam ludzie przeważnie spacerują, jeśli chcą się przejść po śniegu. Gdyby ten pies jej nie wywęszył, mogłaby tutaj wisieć całe tygodnie. Może nawet i miesiące.

- Sądzisz, że znał to miejsce?

- Niewykluczone.

Dom należący do Ruth i Harry'ego leżał niedaleko, zaraz za **wzniesieniem**, niecałą milę stąd. Przypomniawszy sobie, że szukał w tej okolicy Arthura, kiedy wybuchł pamiętny pożar, ale nie znalazł go. Tej samej nocy dzieciak sam się zjawił, niespodziewanie, bez niczyjej pomocy dotarł do domu i tłumaczył się, że zemdlął gdzieś przy drodze na Rumney.

Duggan nigdy mu w to nie uwierzył.

Ale możliwe, że Ruth i Harry coś widzieli albo słyszeli. Po drodze były też domy Hurleyów i Wingerterów. Musiał się tym zająć.

- Wiesz co, George? - zapytał Duggan - Tak?

- Myślę, że gość jest stąd. Oczywiście i tak musimy sprawdzić wszystkie opcje, ale to jest, według mnie, najbardziej prawdopodobne. Raczej nie jest to chłopak z miasta, zbyt dużo wie o drewnie i tych sprawach.

- Skąd ten pomysł?

- Wiedział, jakie gwoździe przywlec ze sobą. Wybrał naprawdę mocne, brzoźowe drewno, by ją wychłostać. No i ten kołek.

- Twardy i ostry.

- Aha. Chłopak wie, jak strugać.

Szesnaście

## PRZESŁUCHANIE WSTĘPNE

Tego samego popołudnia otrzymał telefon z Concord, od Whoorly'ego.

- Komputer wypluł z siebie dwie podobne sprawy, w miarę świeże, obie z ostatnich dwudziestu czterech miesięcy. Przeróżające. No i dwa kolejne, być może powiązane zabójstwa.

- Gdzie?

- Te przypadki zbliżone do naszego to Franklin i Conway. Pozostałe to Munsomdlle i Tuftonboro.

- Cholera, jaki rozrzut. -Ano.

- A tamte dwie podobne sprawy, jak bardzo są podobne?

- Jedna dziewczyna przybita do opuszczonej stodoły. Takie same gwoździe, takie samo ułożenie ciała. Ta druga była z kolei przywiązana do pnia, ale też wisiała nad ziemią. Obie pobite, poopalane, zgwałcone. Analnie, oralnie, w każdy możliwy sposób. Pierwszej wbił nóż prosto w serce, drugą przebił zaostrzonym kijem. I jak?

- Jezu.

- Chcesz, żebym wysłał ci kopie?

- Jasne, że tak. -A jak ci idzie?

- Nijak. Mamy garść informacji ze szkoły i od przyjaciół, których udało nam się znaleźć do tej pory. Wiemy, że była dobrą studentką, chociaż nie jakąś wybitną. Nierówną. Była na ostatnim roku, robiła dyplom z zarządzania, mieszkała na London Road, niedaleko Livermore Falls, z koleżanką, która mówi, że nie ma pojęcia, gdzie jej współlokatorka wyszła tamtej nocy. Nie miała żadnego chłopaka, o którym tamta by wiedziała. Lubiła się włóczyć z jakimiś typami, pewnie zbyt dużo piła od czasu do czasu, ale nikt nie nazwałby jej pijusem. Czasem zapaliła trawkę. Wiedziała, jak dysponować pieniędzmi, rzadko kupowała ciuchy, miała dwa kocury, Brudasa i Simpsona. Oboje rodzice to psychiatrzy, pracują w Hanover. Nie widzieli się od świąt.

- A co z sąsiadami?

- Nikt nic nie widział i nie słyszał.

- No dobra, wysyłam ci te papiery faksem.

- Dzięki.

Rozłączył się, myśląc o jednej rzeczy, o której jeszcze nie było sensu nikomu wspominać - Arthur Danse spędził ostatnią noc w domu swoich rodziców, nie u siebie. Od czasu do czasu tak robił, mówiła Ruth, szczególnie od kiedy się rozwiódł i dostał ten głupi „zakaz zbliżania się”.

Najwyraźniej sądziła, że jej syn zostanie oskarżony o bicie dzieciaka, a nie molestowanie seksualne. Ale Duggan nie miał zamiaru jej o tym mówić.

Prawdziwie interesujący był jednak fakt, że Arthur przyjechał do domu późno. Wszedł, nie budząc lokatorów, położył się w swoim łóżku, a potem, z samego rana, ponownie wyjechał. Ale, jak twierdzi Ruth, to też nie było znowu takie niezwykle. Może po prostu tęsknił za swoim łóżkiem, za swoim starym pokojem. Jakby to było całkowicie normalne u dorosłego faceta.

Niczego nie ukrywała, ale dała mu co nieco do myślenia.

Arthur Danse. Niegrzeczny dzieciak. Odnoszący sukcesy, szanowany człowiek interesu, który lubił od czasu do czasu gruchnąć żoną o ścianę i prawdopodobnie pieprzył swojego ośmioletniego syna. Gość, który był właścicielem baru, odwiedzanego najpewniej przez Laurę Banks. Facet, który podróżował dość często w sprawach zawodowych.

*Franklin i Conway, Munsonville i Tuftonboro.*

Będzie musiał to sprawdzić.

Duggan na pewno mu nie przepuści.

Nie da mu odetchnąć.

Przez ostatni tydzień Lydia z trudem brnęła przez coś, co określiłaby jako monotonną agonię ciągłej obawy i niepokoju, kiedy czekała na przesłuchanie. Nie spała, nie jadła. Traciła na wadze, pod jej oczami pojawiły się mało atrakcyjne, pogłębiające się, sine plamy. Wiotczała jej skóra, starzała się.

Owen Sansom powiedział, że niewiele może zrobić poza pomocą w rozmowach z Robertem, by chłopiec otworzył się przed nimi, ale to nadal wydawało się niemożliwością. Wiele zależało teraz od prawniczki Roberta, jego opiekunki *ad litem*, Andrei Stone. Lydia przyjęła więc ofertę pracy, została prywatną pielęgniarką. Potrzebowała i pieniędzy, i czegoś, co zajmie jej myśli.

Jej nowym pacjentem była Ellie Brest, siedemdziesięcioletnia, bezdzietna wdowa, wcale nie większa od Roberta, której problemy już dawno odstraszyłyby inną opiekunkę. Wysokie ciśnienie, krążenie krwi tak słabe, że jej ręce i nogi wisały bezwładnie całymi dniami. Budziła się w nocy, miała zaawansowaną osteoporozę. Rezultatem tej choroby były połamane

kości nadgarstka, lewej stopy, przedramienia. Na dodatek nie było szansy, by któraś z nich zrosła się kompletnie, pomimo zastrzyków z kalcytoniny i tabletek Oscar, które podawała jej codziennie Lydia.

Lydia uważała, że Ellie była odważna i waleczna.

Żyła z tym bólem, jakby był on starym, niepożądanym krewnym, takim, którego nie sposób pokochać, ale trzeba tolerować.

Chociaż nie było tej informacji w ofercie pracy, Lydia musiała też pomagać przy obowiązkach domowych, ponieważ Ellie nie miała pieniędzy na pokojówkę czy kucharkę, a sama nie była w stanie ich wykonywać. A więc Lydia nie tylko podawała leki, ale także zmieniała pościel, prowadziła kobietę do łazienki i przyprowadzała z powrotem do łóżka, przygotowywała posiłki, rozmasowywała kończyny, by poprawić leniwą cyrkulację krwi. Trzeciego dnia posprzątała łazienkę, umyła podłogę i wannę. Czwartego ogarnęła w kuchni. W szafkach stały puszki kupione jeszcze w latach pięćdziesiątych. Pudełko semoliny przyciągało małą, ale aktywną kolonię niedużych, latających insektów. Wszystko wyrzuciła do śmieci.

Ellie była zachwycona. Minęły lata, odkąd sama miała tyle sił i zdrowia, by się tym zająć.

Oferowała Lydii pieniądze, ale ta odmawiała. Dobrze się czuła, pomagając Ellie, czuła, że jest komuś potrzebna. Jak to mówili Żydzi? *Mitzvah* czyli błogosławieństwo. I choć wiedziała, że to głupie, nie mogła przestać myśleć, że może niesienie pomocy tej potrzebującej kobiecie było jak dzierganie materiału dobrej woli, jak wyłom w karmicznej ścianie, przez który może precyzyjnie się Robert - i pozostawić za sobą całą tę grozę.



„Sąd znajduje przestanki, by kontynuować przesłuchanie w trakcie kolejnej sesji. Do tej pory ojciec dziecka może widywać się z nim jedynie pod nadzorem. Sąd wysłucha stanowiska obu stron... i wtedy zadecyduje...”.

Sędzia Burke zajął do wyroku.

- Przesłuchanie odbędzie się dwudziestego trzeciego lutego. Zamykam posiedzenie sądu.

Wszystko stało się tak szybko, tak niespodziewanie.

Andrea Stone przychodziła do nich dwukrotnie, rozmawiała i z Brombergiem, i z doktorem Hesslerem. Dzisiaj zaprezentowała swoje wnioski wyniesione z tych spotkań. I faktycznie było jasne, że istnieją wiarygodne przesłanki, by podejrzewać agresywne zachowania ze strony ojca.

- *Nie* ze strony matki? - dopytywał sędzia.

- Nie, Wysoki Sądzie. Nie ze strony matki - powiedziała pani Stone.

- Jest pani pewna?

- Jestem moralnie pewna, Wysoki Sądzie.

- *Moralnie* pewna?

Owen Sansom ostrzegał ją przed czcigodnym Thomasem J. Burkiem. Był sędzią od tak dawna, że nikt nie pamiętał, kiedy nim został. Należał do zarządu Uniwersytetu Plymouth, piastował funkcję prezesa miejscowej Partii Republikańskiej i miał wpływy w praktycznie każdej liczącej się organizacji miejskiej i cywilnej. Nie chciał prowadzić przesłuchania w tej sprawie w sali sądowej. Arthur był biznesmenem. A nie spodobałoby mu się słuchanie w swojej własnej sali o biznesmenie wykorzystującym swoje dziecko.

- Nie możemy poprosić o innego sędziego? - zapytała.

- Cóż, nie mieliśmy szczęścia - odpowiedział Sansom.

Pani Stone nie miała jednak zamiaru oddać pola Burke'owi.

- Rozmawiałam z Robertem, Wysoki Sądzie - oświadczyła. - Pomysł, że jego matka mogłaby zrobić mu krzywdę, potraktował jak zły żart.

- Rozumiem - odpowiedział Burke. - W porządku. A więc dziecko może pozostać w domu. I tak preferowałem takie rozwiązanie. No i oczywiście pani będzie odpowiedzialna za monitorowanie obecnej sytuacji.

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Potem odczytał decyzję. I to tyle.

Stała w korytarzu, czekając, aż zakończy się prywatna rozmowa Sansoma i pani Stone.

Arthur przyszedł do sądu ze swoim prawnikiem, Edwardem Woodem.

Znała go. Często jadał w restauracji Arthura, a jeszcze częściej przesiadywał na swojej wysublimowanej dupie z tyłu, przy barze. Podejrzewała, że Arthur zatrudni właśnie jego. Pomyslała też, że, niestety dla niej, była to z jego strony dobra decyzja.

Wood znał wszystkich. Prawników. Ludzi z branży. Polityków. Stawiał im drinki, choć był pod tym względem bardzo dyskretny. Sekretarka płaciła jego ogromne rachunki regularnie, raz w miesiącu.

Był wygadany i inteligentny. Nigdy nie widziała go pijącego nawet o kapkę więcej, niż powinien, podczas gdy siedzącym obok niego mężczyznom plątały się języki i miękły nogi.

Lydia wiedziała, że postępując w ten sposób, można dowiedzieć się wielu rzeczy. Arthur często mawiał, że Wood wie, kto ma trupa w szafie.

Kiedy wychodzili na korytarz, uśmiechnął się do niej. Uśmiech pełen *wyrozumiałości*. Biedna Lydia. Biedna kobieta.

Pieprz się, pomyślała. Za dwa tygodnie przekonamy się, czy nadal będziesz mi współczuł. Zobaczymy. Arthur również ją zauważył.

W sali sądowej unikała patrzenia w jego stronę. Kątem oka dostrzegła nowy niebieski garnitur w delikatne paski - praktycznie taki sam, jaki miał Wood. Potem rzuciła spojrzenie na jego twarz - wychudzoną, zapadniętą, bladą.

Dobrze, pomyślała. Skoro ja nie śpię, ty też nie będziesz, kurwa, spał.

Zatrzymał się i wystraszyła się, że do niej podejdzie. Wyglądał na wyczerpanego i tak samo zdenerwowanego jak ona. Zaciskał szczęki do bólu, tak mocno. Ciemne oczy były utkwione w niej. Odruchowo cofnęła się o krok, po korytarzu rozniósł się stukot jej obcasów.

Jego spojrzenie złagodniało. Powiedział coś do niej i się odwrócił.

Zajęło jej chwilę, by zarejestrować to, co wydukał. I nagle ją oświeciło. Korytarz zawirował. *Mój*, powiedział.

Siedemnaście

## ZBRODNIA PRZECIWKO WSZYSTKIM

Podsumowanie w tygodniku „Union Leader” zajęło jedynie kilka linijek:

*Arthur W. Danse, restaurator z Plymouth, został oskarżony przez swoją byłą żonę, Lydię Danse, w Stanowym Sądzie Najwyższym we wtorek. Zarzutem było znęcanie się nad nieletnim. Przesłuchanie rozpocznie się dwudziestego trzeciego lutego.*

Mimo deszczu, w piątkowe popołudnie Caves było zawałone ludźmi. Gdziekolwiek nie spojrzał, wszędzie widział gazetę. Na stolikach z tyłu sali, leżące na neseserach, jedną zgiętą w pół, trzymaną pod pachą przez jakąś kobietę.

Prześladowała go myśl, że każdy z nich to czytał. Wszyscy czytali. Na pewno. I śmiali się z niego za plecami.

Dranie.

- Jakbyś mnie potrzebował, będę w biurze - powiedział do Jake'a.

Jake kiwnął głową i pomachał do niego. Drugi barman, Billy, jedynie rzucił mu spojrzenie. Jake był chociaż lojalny.

Nie tak, jak cała reszta.

Przecisnął się przez tłumek pracowników biurowych i dzieciaków z college'u na tyły baru. W normalnych okolicznościach nie śpieszyłby się, przywitał znajome twarze, zatrzymałby się, by zamienić z niektórymi kilka słów. Był w tym dobry. A teraz jedynie przemknął niepostrzeżenie, do diabła z nimi.

Tyle dobrego, że obroty nie spadły.

Zamknął za sobą drzwi i usiadł przy dużym, mahoniowym biurku. Błat był praktycznie pusty i w takim stanie miał zamiar go utrzymać. Czysto i porządnie.

Nasłuchiwał dźwięków z sali. Rozweselone głosy, dużo głosów, męskich i kobiecych. Śmiech. Muzyka. Szklany sopran kieliszków. Te dźwięki zawsze go uspokajały, oznaczały pieniądze i sukces, a także odpowiednią pozycję społeczną. Rzeczy, które zawsze chciał zdobyć. Rzeczy, których potrzebował i na które zasługiwał.

A teraz pojawiła się groźba, że mu je odbiorą.

*Dręczyciel.*

Jeśli przylepi mu tę łatkę, wszyscy go opuszczą.

*Chodźmy zjeść w tej knajpie, no wiesz, w tej, której właściciel ruchał swoje dziecko. No, wiesz gdzie.*

To byłby koniec. Zniszczyliby go. Nawet jeśli nie pójdzie do więzienia, a przecież nadal było to prawdopodobne, pomimo tego, co mówił mu Edward Wood, będzie musiał sprzedać Caves - miejsce, które zbudował z niczego, a przyjdzie mu je oddać za grosze - i zacząć od początku.

Znowu.

Pieprzyć ją, pomyślał. Pierdołę was wszystkich. Nalał sobie trochę Glenlivet i wychylił jednym haustem. Potem nalał kolejnego drinka, tym razem większego, i sącył powoli.

Rozsiadł się w masywnym, brązowym, skórzanym fotelu, nasłuchiwał i gapił się na ścianę. Wisiały na niej utrwalone chwile z jego życia. Oprawiony plakat z koncertu The Who w Boston Garden. Plakietka z brązu od Stanowej Izby Handlowej i kolejna, z Rotary Club. Pierwszy obraz, jaki kupił, zaraz po tym, jak Caves zaczęło przynosić dochód - malunek autorstwa nowojorskiego artysty o nazwisku McPheeters. Widniał na nim wycieńczony, niezdarny mężczyzna idący nocą po plaży, na tle krwistoczerwonego księżyca. Na jego barkach siedziała uśmiechnięta postać, w pewien sposób z nim połączona. Obok wisiała fotografia Ansel Adamsa, na której widać było ciemną drogę prowadzącą przez gęsty las, zrobiona o zmierzchu.

Nie mógł sobie wyobrazić, jak pakuje to wszystko.

Zostawi je tutaj, na tej ścianie.

*Nie. Rozpieprzy wszystko, nic jej nie zostawi. Nic.*

Ktoś zapukał do drzwi, a potem je otworzył.

Billy. Pierdolony Billy. Jake poczekałby, aż pozwoli mu wejść.

- Ktoś chce się z panem widzieć, panie Danse.

- Powiedz, że jestem zajęty.

- To Ralph Duggan, panie Danse. Jakby to było jakieś wielkie halo.

- Jezu Chryste. W porządku. Okej. Wprowadź go. Duggan. Zajebiste zwieńczenie zajebistego dnia. Facet deptał mu po piętach, odkąd był dzieciakiem, i nic nie wskazywało na to, że miał przestać. O co, kurwa, chodziło tym glinom? Całe to świętoszkowate gówno. Nawet stróż w sali sądowej patrzył na niego jak na robaka, który wypełznął spod jakiegoś kamienia.

Ale Duggan był najgorszy z nich, bo myślał, że jest taki przebiegły, taki mądry. Nie był, kurwa, nie był.

Jeśli miałyby trochę oleju w głowie, już dawno dowiedziałby się, jak jest naprawdę.

*Będzie ci się to podobało*, pomyślał Duggan.

- Arthur - przywitał się i usiadł. Danse skinął głową.

- Na służbie czy nalać ociupinkę whisky?

- Nie, dziękuję.

Nalał sobie szklaneczkę. Duggan dostrzegł, że nie była to jego pierwsza, miał aż nazbyt sztywne rączki.

- Zgaduję, że widziałeś gazety - powiedział.

- Nie, ale słyszałem, że trafiłeś do odpowiedniej sekcji - odparł Duggan.

- Masz - rzucił mu egzemplarz przez biurko. Duggan pozostał nieruchomy.

- Wiem, co tam napisali, Arthur. Poza tym nie jestem zwolennikiem „Union Leader”. A ty?

- I o tym przyszedłeś porozmawiać?

- O „Union Leader”?

- Nie. O tym zakazie zbliżania.

- Jak dla mnie, to jest w tym coś więcej niż zwykły zakaz, Art. Ale nie, nie po to przyszedłem. Wiesz, że byłem zobaczyć się z twoimi rodzicami, musiałem z nimi o czymś pogadać. Twój ojciec wygląda na cholernie zmęczonego. Dlaczego nie pójdzie na emeryturę?

- Chyba nadal lubi pracować. Mówili mi, że byłeś dowiedzieć się czegoś o tym, co stało się na posesji Wingerterów, tak?

- Aha. Przykra sprawa, Art. Makabra.

- Słyszałem.

- Co słyszałeś?

Duggan patrzył, jak Arthur pije swoją szkocką. Gra na czas? Możliwe.

- Ze doszło do zabójstwa. Dziewczyna z uniwerku w Plymouth.

- I tylko tyle?

- Słyszałem, że została zgwałcona.

- O tak, została zgwałcona. I o wiele więcej. Powiedziałbym ci, ale sam wiesz, jak to jest, musimy zostawić szczegóły dla siebie, nie puszczać pary z ust. Mogę zapalić?

- Jasne, śmiało.

Przypalił sobie Newport Lite. Arthur otworzył szufladę, wyciągnął z niej czystą, szklaną popielniczkę i postawił przed sobą na nieskazitelnym biurku.

- Ruth powiedziała mi, że byłeś tej nocy w domu. Że przyjechałeś stosunkowo późno i spałeś w domu. Tak było?

- Tak.

- Słyszałeś coś? Widziałeś?

- Wracalem z imprezy, z otwarcia tego nowego budynku na Prospect. Jeśli mam być szczery, to byłem trochę zalany. Wątpię, czy zobaczyłbym coś albo usłyszał, nawet jeśli to coś wyskoczyłoby prosto na mnie i ugryzło.

Duggan strzelił językiem.

- Jazda po pijanemu, Arthur? Wstyd.

- Przyznaję, nie powinienem był wsiadać za kółko.

- O której przyjechałeś?

- Jakoś około pierwszej trzydzieści. Może drugiej.

- Sam.

- Oczywiście, że sam.

- Słuchaj, Art. Powiedz mi coś. Dlaczego pojechałeś do rodziców, a nie do siebie? Nie rozumiem tego.



Danse odstawił drinka.

- To... to nieco kłopotliwe. Od rozwodu czuję się czasem... nieco samotny.

- Ty? Poważnie? Zaskakujesz mnie, Art. Z tymi wszystkimi ludźmi? Tymi *paniami* przy barze? Cholera! Na to bym nie wpadł.

Lekko się uśmiechnął.

- Tak myślałem, że się *zdziwisz*. Ale nie mieszam przyjemności i interesów. Nie umawiam się z klientkami.

-Nigdy?

- Rzadko. Bardzo rzadko.

- Szkoda, bo to musi być kuszące. Te młode laski z college'u. Ja nie wiem, czy bym się powstrzymał. Słuchaj, pamiętasz Laurę Banks? O ile wiem, często tutaj przychodziła.

- Nic mi nie mówi to nazwisko.

- Może pokażę ci fotkę.

Pogrzebał krótką chwilę w kieszeni za zdjęciem, które zabrał z jej mieszkania. Tym i jeszcze innym. Fotografiami *po*. Poprosił w laboratorium, by zmniejszyli format, by widać było jedynie twarz. I tak było wystarczająco okropne.

Nie patrzył na zdjęcia, kiedy podawał je Arthurowi.

Danse wzdrygnął się.

Nie wyglądał na winnego.

Wyglądał jak każdy inny obywatel zderzony z taką fotografią. *Czyżby się mylił co do niego?* Wziął od niego zdjęcie *po*.

- Przepraszam - powiedział. - Nie wiem, jakim cudem to się u mnie znalazło. Spójrz na to drugie, okej?

Danse przyglądał się fotografii.

- Może - odpowiedział. - Wygląda znajomo. Ale nie jest to

ktoś, kogo znam. Pytałeś Jake'a? Zapamiętuje twarze znacznie lepiej, niż ja. Duggan w to wątpił.

- Tak zrobię - powiedział. - Jeszcze coś, Art, i będziesz mógł wrócić do swoich spraw.

Odebrał od niego drugie zdjęcie, a potem zrobił przedstawienie z przetrząsaniem kieszeni od spodni w poszukiwaniu złożonej na pół, niewielkiej kartki papieru.

- Czy te miejsca coś ci mówią?

Odczytał nazwy prosto z kartki. Grał przed nim durnego glinę z prowincji, który nie potrafi nawet nic zapamiętać. -Franklin, Conway, Munsonville, Tuftonboro. Brzmi znajomo? Danse wyglądał na zakłopotanego. Wzruszył ramionami.

- Miasta. Miasta w New Hampshire. Nie rozumiem.

- Robisz tam interesy?

- Czasem, w okolicy. Rozprowadzam swoje produkty w Wolfeboro, a to niedaleko Tuftonboro. No i Keene, które leży zaraz obok Munsonville. No i jest też taki jeden sklep w Conway. Ale ja handluję w całym stanie, tam, gdzie mają turystów. Jeżdżę wszędzie. Nawet do Vermont. A o co chodzi?

- Nic istotnego - odwrócił się do drzwi. - Dzięki za pomoc, Art. -Nie ma za co.

Gdy wychodził z pokoju, zagadnął raz jeszcze.

- Jak sądzisz, Art, jak to wszystko się potoczy? Tak między nami. Myślisz, że wywiniesz się z tej sprawy z dzieciakiem?

I nareszcie zobaczył w nim ten chłód, na który czekał, kryjący się zaraz pod maską uczciwego, szczerego biznesmena.

- Wiem, że mnie nie znosisz, Ralph - odparł Danse. - I przykro mi z tego powodu. Ale nie zrobiłem tego... o co ona mnie oskarża. Moja żona to szalona kobieta. To jest przeklęta prawda.

- Pewnie była też szalona, kiedy ją wtedy obiteś, co? - zagadnął.

- Nie uwierzysz mi, ale tak właśnie było. Jeśli słyszałaśbyś, co do mnie powiedziała, gdybyś widział, co wtedy zrobiła, pewnie też straciłbyś panowanie i ją walnął.

Uśmiechnął się.

- Wątpię, Art - odpowiedział. - Ale pewnie nigdy się nie przekonam. Zawsze jest granica. I zawsze jest ktoś gotowy popchnąć cię za nią.

Szcześnie, wkrótce po wizycie Duggana, potrafił ochłonąć i potraktować ją jak niepotrzebny worek gówna, który wyrzuca się za okno, i wrócić do pracy.

Kiedy był gotowy do wyjścia, minęła już jedenasta, a ludzi w knajpie nie ubywało. Nie chciał znowu przebijać się przez tłum. Nadal myślał o artykule w gazecie. Mógł wyjść przez drugie, prywatne drzwi, ale to byłoby niczym przyznanie się do winy.

A pieprzyć to. Podniesie rękawicę.

Kiedy był w połowie drogi przez bar, ucieszył się, że tak zrobił.

Edward Wood stał przy ladzie i popijał swoje zwyczajowe martini z jakimś starszym gościem, którego Arthur nie potrafił z początku rozpoznać. Ale kiedy stanął przy nich, zaskoczyło go, że był to Tom Modine, inny prawnik. Kiedy ostatni raz go tutaj widział, Modine ważył dobre dwieście pięćdziesiąt funtów. Musiał zrzucić z setkę. Wyglądał na wyczerpanego, żałosne. *Rak*, pomyślał. Nie było innej możliwości.

Ale uścisk jego dłoni nadal był mocny.

- Dobrze cię widzieć, Arthur - powiedział. - Edward wprowadził mnie w twoją sprawę, podobno masz problemy w są-

dzie. Mam nadzieję, że nie pomyślisz, że cię pouczam, ale musisz zaufać prawnikowi.

- Jasne, ufam.

- Świetnie - mruknął, wychylił resztkę czegoś, co wyglądało na whisky z wodą sodową i postawił szklankę na barze. - Naprawdę sędzę, że to wszystko może obrócić się na twoją korzyść. Poważnie.

- Oby tak się stało, Tom, oby tak się stało. Zaśmiał się.

-Nie pękaj, masz najlepszego adwokata w tym stanie. Dzięki za drinka, Edward. Muszę jutro wcześniej wstać, inaczej zostałbym na jeszcze jednego, przekonałbyś mnie.

- Następnym razem - odparł Wood.

- Następnym razem. - Modine poklepał Arthura po ramieniu. - Nic się nie bój, Arthur. Będzie dobrze. Do zobaczenia wkrótce.

- Na razie, Tom. Patrzyli, jak odchodzi.

- Smutne - powiedział Wood. -Rak?

- Tak. Niby jest remisja, ale patrz, jak skubaniec go urządził.

- Szkoda. Tom to fajny facet.

- Najlepszy. - Zamówił kolejnego drinka. - Ale nie podobało ci się, że z nim rozmawiam o tobie, co nie?

Wood miał świetny zmysł obserwacji.

- Słuchaj, *dziwnie* mi z tym, że ktokolwiek o tym wie. Jezu! Koszmarna plotka. A teraz ten syf w gazecie...

Wood uniósł do góry rękę, uśmiechając się

- Zgadnij, z kim Tom jutro gra w brydża.

- Z kim?

- Szacownym Thomasem J. Burkem, właśnie z nim. Cały czas razem grają. Ten sam klub, starzy kumple. Chodzili razem do szkoły prawniczej. A Tom wydatnie pomaga Burke'owi w jego kampaniach. Nadal myślisz, że źle zrobiłem, rozmawiając o twojej sprawie?

- Masz na myśli, że on porozmawia z Burkem?

- Ja to wiem.

- Ale jak? Nie łapię. Gdzie w tym nasza korzyść?

- Modine nie może wpłynąć na niego bezpośrednio, jeśli to masz na myśli. Jest urzędnikiem sądowym, to nielegalne i nieetyczne. Ale może zasiać ziarno wątpliwości.

- Jakie ziarno?

Wood ponownie się zaśmiał. Arthur wiedział, jak musiał wyglądać.

Podeksytowany jak dzieciak przez randką w ciemno.

- Możesz mi zaufać, Arthur. Znamy się z Tomem tak długo, jak on z Burkem. A jeśli mówię, że w tej sprawie jest za dużo *ale* i nie wierzę, abyś był winny temu, o co oskarża cię żona, złośliwa histeryczka, która ostrzy sobie na ciebie pazury, to Tom uwierzy mi w to bez gadania.

Upił łyk martini.

- *Takie* ziarno - powiedział. - Tak duże, że może je jutro zasadzić na polu golfowym. Zobaczysz, on nam coś nakręci, a my pójdziemy za ciosem. Cholera, miałem już tyle spraw z Burkem, że nie masz się o co martwić, mówię ci. Połowa drogi za nami.

Arthur zrozumiał, o czym mowa. Siatka powiązań sięgała daleko. A te chłopaki stały za połową rzeczy, które działy się w New Hampshire.

Podobała mu się ta myśl. Nawet bardzo. Po raz pierwszy od tygodnia pomyślał, że może położyć na to lachę.

Pomyślał, że dobrym pomysłem będzie przyłączenie się do Wooda na jedną kolejkę, na drogę. Stanie we własnym barze, razem ze swoim patronem, z Bogiem, ze wszystkimi obecnymi.

Nareszcie poczuł się dobrze tego dnia.

- Jake, nalej mi proszę Glenlivet - powiedział.

Osiemnaście

## ODWIEDZINY CZĘŚĆ DRUGA

Andrea Stone nie po to skończyła prawo w Atlancie z najlepszym wynikiem na roku, by przyjechać na północ i niańczyć jakiegoś bachora. Normalnie przekazałaby tę sprawę komuś z asystentów, ale w tym konkretnym przypadku uznała, że zrobi wyjątek.

Pojawiła się bowiem okazja, by przekonać się, jaki naprawdę był Arthur Danse i jak reagował na niego jego syn.

I okazało się, że Robert nie sprawia żadnego problemu. Odkąd matka przywiozła go jakieś dwadzieścia minut temu do jej biura, porozmawiali chwilę, a potem chłopiec usiadł cicho ze swoim Gameboyem, a ona wypełniała od dawna zalegające na biurku papiery. Rzuciła okiem na wiszący nad jej głową zegar.

Arthur spóźniał się już piętnaście minut.

*Forma protestu z jego strony?* - zastanawiała się.

Oczywiście wystąpił z prośbą, by spotkanie mogło odbyć się u niego albo u jego rodziców. Pewnie wolałby, żeby spotkali się u niego. O ile jednak miała w tej sprawie coś do powiedzenia, nie było takiej możliwości. Nawet nie przedstawiała tego pomysłu Lydii Danse albo jej prawnikowi, bo oboje z pewnością by odrzucili taką propozycję. Ona odmówiła ze względów moralnych i praktycznych.

O ile jej było wiadomo, Arthur Danse faktycznie znęcał się nad synem, był zbrojcem. Być może Robert nie miał zamiaru tego przyznać, ale postawiłaby na to swoją pracę. Dlaczego więc miałyby się choćby przez chwilę zastanawiać nad możliwością odwiedzin w domu?

Po co naginać się do żądań kogoś takiego, jak ten człowiek?

I, na Boga, jaki on ma tupet, żeby w ogóle o to pytać, jest tak zuchwały, by sądzić, że na to zasłużył?

Nie. Edward Wood mógł sobie narzekać, ile wlezie, chyba że sędzia zadecyduje inaczej, ale dopóki tak się nie stanie, odwiedziny będą miały miejsce w jej biurze. Albo nigdzie.

Podpisywała akurat papiery zwalniające materiał dowodowy z jakiejś sprawy, w której wyrok zapadł już ze dwa miesiące temu, kiedy asystent powiadomił ją o przyjściu Arthura. Kazała mu chwilę poczekać, tak dla zasady. Robert nie wydawał się tym oburzony. Potem wpuściła go do biura.

- Chciałbym, by pani wiedziała - zaczął - iż uważam, że to śmierdzi.

Odezwał się od razu do niej, ignorując Roberta.

- Odnotowałam - odparła.

- Jak leci, Robby?

- Dobrze.

Ledwo co spojrzał znad swojego Gameboya. -A jak w szkole?

- W porządku.

- Tylko tyle?

- Dostałem kolejną piątkę z angielskiego.

- Dobrze. Bardzo dobrze.

Usiadł obok niego na kanapie, ale niezbyt blisko. Założył nogę na nogę i splótł ręce.



- Ciężko, co nie? -Co?

- No nie widzimy się zbyt często, co nie? Nie tak często, jak kiedyś.

-Aha.

Robert skrzywił się i westchnął, próbując się skupić. Najwyraźniej nie szło mu najlepiej w Super Mario Brothers.

- Robert, odłóż na chwilę Nintendo, okej?

Wyłączył grę, ale nadal ścisnął konsolkę obiema rękami. Pomyślała, że za chwilę ją zgniecie. Bał się go. Bał się ojca.

- Wiesz, że mi na tobie zależy, prawda? - powiedział Arthur. Chłopiec kiwnął głową.

-I wiesz, że chcę jak najlepiej dla nas obu.

Robert ponownie pokiwał głową, tym razem wolniej, jakby nie wiedział dokładnie, do czego dąży jego ojciec. Arthur popatrzył na niego przez chwilę, chyba sam zastanawiał się, dokąd zmierza z tym wywodem. Potem ciągnął dalej:

- Zdajesz sobie sprawę, że to dlatego, że mamy tę małą kłótnię z twoją mamą... no i jest tak, bo... *na miłość boską!*

Odwrócił się do Andrei i zaczął gestykulować. *Szybko osiąga punkt krytyczny*, pomyślała. Niby twardy, ale łatwo traci głowę.

- Niech pani popatrzy - zaczął. - Przecież to niemożliwe! Jak mogę prowadzić osobistą rozmowę z synem, kiedy pani tutaj siedzi? Czy potrafiłaby pani mówić do *swojego* dziecka, jeśli *ja* siedziałbym pani na plecach? Jest pani obcą osobą, na Boga.

- Nie mam dzieci, panie Danse. I nie jestem kimś obcym dla Roberta.

- Wie pani, co mam na myśli. W *teorii*. Niech pani posłucha, nie widziałem syna od *tygodni*. Czy mogłaby pani wykazać choć odrobinę przyzwoitości i zostawić nas na moment samych? Na parę minut?

- Obawiam się, że nie mogę. Nakaz sądu.

- Na *pięć minut!*

- Przykro mi.

- Pięć jebanych *minut!*

Zauważyła, że na dźwięk wiadomego słowa, Robert wyraźnie się wzdrygnął. Zastanawiała się, nie po raz pierwszy, czy Danse kiedykolwiek go uderzył. Albo czy mu groził. Wyjaśniałoby to, dlaczego nie chciał mówić. Pytała go o to już wcześniej, i to nie raz, ale w odpowiedzi otrzymała jedynie milczące zaprzeczenia.

- Panie Danse, wyjaśnijmy sobie co nieco. Musi pan zapamiętać, że do czasu zakończenia sprawy to ja jestem prawnym opiekunem Roberta. Do moich obowiązków należy wypełnianie poleceń sądu i upewnienie się, że prawa Roberta są przestrzegane przez każdą ze stron. A pan *nie ma prawa do widzeń z Robertem bez nadzoru*. Sąd zabrał panu to prawo. Czy jest to dla pana jasne? Przykro mi, ale takie jest prawo.

- *Pierdolenie w podniebienie.*

Wstał i wyciągnął rękę do swojego syna.

- Chodź - powiedział. - Idziemy stąd. No już. Jestem twoim ojcem i mówię, że *wychodzimy*.

Robert najpierw spojrział na nią, potem na niego. Nie wiedział, co ma zrobić.

Ale na pewno nie chciał złapać ojca za rękę.

Czemu aż tak nalegał? Co tak bardzo chciał mu powiedzieć na osobności?

- Panie Danse.

- Jestem jego ojcem!

- Panie Danse, czy moglibyśmy porozmawiać za drzwiami?

- *Nie, nie moglibyśmy porozmawiać za drzwiami, do cholery!* I jeśli ja nie mogę pomówić z moim synem, to pani też nie może!

- W takim razie proszę mnie posłuchać. Jeśli wyjdzie pan z tego biura w towarzystwie Roberta, jeśli choćby da pan krok za próg, sprawię, że znajdzie się pan w więzieniu tak szybko, że grozi panu zawrót głowy. Przepraszam, że mówię o tym w obecności Roberta, ale nie pozostawia mi pan żadnego wyboru i muszę pana prosić, by nie zmuszał mnie pan do tego. Proszę pana bardzo, bardzo mocno.

Widziała, jak uchodzi z niego powietrze. Ale nie żywiła w stosunku do niego żadnego współczucia.

- Do zobaczenia, Robert - powiedział cicho. - Przepraszam, że nie mogliśmy...

- W porządku, tato. Naprawdę. I znowu włączył Gameboya.

Danse popatrzył na nią i wyszedł z pokoju. Poszła za nim, zatraskując za sobą drzwi.

- Panie Danse.

Mówiła cicho, by Robert nie mógł jej usłyszeć. Ściany były cieniutkie. Odwrócił się.

- Panie Danse. Jeśli użyje pan raz jeszcze jakiegoś wulgaryzmu w obecności Roberta, gwarantuję, że oskarżę pana osobiście o werbalne znęcanie się nad nim, wytoczę panu kolejną, niezależną od poprzedniej sprawę, tym razem wciągnę w to odpowiednie organa. I wtedy wyląduje pan w sądzie, bez względu na to, jak zakończy się ten proces. Czy się dobrze rozumiemy?

Uśmiechnął się.

- Nie słyszy nas teraz, prawda? - powiedział.

Jego głos również złagodniał. -Nie.

-A więc chuj pani w dupę, pani Stone. Ty pierdolona kurwo. Wyklarował jej się pełny obraz tego człowieka.

Kiedy zadzwonił telefon, Lydia spała jak zabita. Spojrzała na zegarek. 4:45.

- Halo?

- Nigdy tego nie udowodnisz - powiedział. Od razu się rozbudziła.

- On nic nie powie - poinformował ją. -I jak masz zamiar to udowodnić, skoro on nie piśnie ani słówka, co? Nie ma takiej możliwości.

- A skąd to przekonanie, że nie powie?

- Bo znam swojego syna. Znam swoje dziecko. Jest lojalne względem mnie.

- Tak myślisz?

- Ja to wiem.

- Zobaczymy.

- Nigdy mi niczego nie udowodnisz, głupia cipo.

- *Cipo*, co? A może wolałbyś, żebym była małym chłopcem? Poczula się lepiej, mówiąc to. Chciała go pogiębić, poniżyć.

- Pierdol się! - krzyknął i walnął o widełki.

Trzęsła się, kiedy odkładała słuchawkę, ale nie mogła powiedzieć, by ten telefon nie był na swój sposób satysfakcjonujący. Spojrzała na zegar. Niemal piąta.

Wyglądało na to, że Arthurowi odbijało.

O, jaka szkoda.

Przez chwilę myślała o tym, a potem zasnęła.

Dziewiętnaście

## NAJWAŻNIEJSZA RZECZ

Dwa dni do przesłuchania. Kończyła zmywać naczynia po lunchu w domu Ellie Brest i lekko denerwowała się, że Owen do niej nie oddzwonił, a chciała opowiedzieć mu o tym nocnym telefonie. Była to pora drzemki, więc zdziwiła się, kiedy Ellie zawołała ją do salonu.

Przeważnie Ellie była kompletnie przewidywalna. Zasypiała w trakcie jednej z ulubionych oper mydlanych, a potem zastanawiała się przez pół popołudnia, co też straciła. Jeśli Lydia, podczas wykonywania swoich obowiązków, wyłapała jednym uchem, co działo się w telenoweli, nie omieszkała streścić kobiecie ostatnich wydarzeń.

Zakręciła kran, wytarła ręce i weszła do ciemnego pokoju. Ellie włączała światło tylko wtedy, kiedy Lydia brała się za sprzątanie. Mówiła, że udaje się w ten sposób zaoszczędzić dolara, a może i dwa. Wydawała się nie zauważać, że telewizor chodził u niej całe dnie, a nieraz i noce.

A teraz chciała, by go wyłączyć.

- Teraz, Ellie? A twoje seriale?

- Teraz.

Podeszła do odbiornika i wcisnęła przycisk, myśląc o tym, jak to prosta i łatwa czynność dla niej, a przecież dla Ellie wstanie z fotela i zrobienie tego samego to bolesny, męczący wyczyn.

- Liddy, usiądź proszę.

Usiadła naprzeciwko niej w dużym, wypchanym fotelu, którego nikt już nie używał po śmierci jej męża.

- Wiem, że nie będzie cię kilka dni - powiedziała. - I chciałabym, byś wiedziała, póki jeszcze mam siłę wtykać nos w nieswoje sprawy, że podziwiam cię za to, co robisz, Liddy.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby Ellie nagle wstała i zaczęła tańczyć.

Jeszcze nie tak dawno wydawała się zakłopotana tą... sprawą. Od czasu do czasu rzuciła jakieś pytanie, ale zawsze jakby wstydziła się, kiedy słuchała odpowiedzi. Nigdy wcześniej nie wyrażała swojego poparcia dla niej - ani jego braku, jeśli o tym mowa - jedynie okazjonalną, powściągliwą ciekawość.

- Dziękuję, Ellie - powiedziała. - To wiele dla mnie znaczy.

- Wiem, że wiele kobiet pozwoliłoby mu na to, nie zareagowałyby wcale i ciągnęłoby się to latami, przymykałyby oko. Nie chciałyby, żeby ktoś się dowiedział albo za bardzo by się bały czy coś.

Ociągała się z dalszymi słowami. Na pewno nie przyszły jej łatwo.

- Willie i ja nie mieliśmy dzieci i przy wielu okazjach tego żałowałam. Ale żale nie przyniosą ci w życiu wiele dobrego, prawda? Chodzi mi o to, że chciałabym, byś wiedziała, że myślę, iż wypełniasz swoje obowiązki względem chłopca. On jest tutaj ważny. Nikt nie może go krzywdzić. Dziecko i zapewnienie mu przyzwoitego życia jest najważniejszą rzeczą na tym świecie. Mnie to ominęło, pewnie coś utraciłam. Ale jestem szczęśliwa, że tak dobra kobieta jak ty, Liddy Danse, niczego nie traci. Mogę się o ciebie tylko pomodlić, nic więcej. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że to dla ciebie zrobię.

Widziała łzy w oczach starej kobiety. Trzęsła się, próbując je powstrzymać. I wtedy również Lydii zebrało się na płacz. Wstała, podeszła do Ellie i przytuliła ją najdelikatniej, jak tylko potrafiła. Jej ciało wydawało się takie kruche, gdy obejmowała je ramionami, przytulając swój policzek do jej policzka. Wciągnęła nosem przyjemny, czysty zapach tej staruszki, poczuła ciepłe łzy na ich przyciśniętych do siebie twarzach i pomyślała, że ją kocha, że kocha tę kobietę. Nie wiedziała, jakim cudem stało się to tak prędko, ale tak właśnie było.

Tylko popatrz. Tylko popatrz, co może dać ci drugi człowiek.

Dwadzieścia

## ODWIEDZINY CZĘŚĆ TRZECIA

Kiedy odebrała Roberta ze szkoły i zajechała pod dom, lincoln stał zaparkowany nieopodal.

- Idź do domu - powiedziała do syna. Nie kazał sobie powtarzać.

Podeszła do samochodu. Arthur niemal leżał w fotelu. Jeśli chciał się ukryć, siedząc w ten sposób, to nie bardzo mu to wychodziło. Nie wtedy, gdy przyjechał dużym, czarnym lincolnem.

Opuścił szybę.

- Arthur, co ty tutaj robisz?

- Nic. Czeka.

- Wiesz, że przyjeżdżając tutaj, naruszasz sądowy zakaz.

- Chcę go zobaczyć.

- Dlaczego? Widzieliście się wczoraj.

- Wczoraj to bzdura, a nie spotkanie.

Było zimne, wilgotne popołudnie. Czują gorąc bijący od auta. Nie miała zamiaru tak stać i się z nim wyklócać.

- No więc zobaczyłeś go - powiedziała. - Do widzenia. Możesz już jechać.

- Lydia?



- Czego?

- Kiedy zaczęłaś zachowywać się jak suka?

Szczerzył zęby, ale ona nie widziała w tym nic zabawnego.

- Kiedy odkryłam, kim naprawdę jesteś, Arthur. Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

- Lydia?

- Czego?

Na jego twarzy nadal gościł uśmiech. W jednej ręce, wystawionej przez szybę, trzymał swoje magnum, tak nisko, że tylko ona mogła je widzieć.

- Pif paf - powiedział.

- Idź do diabła.

- Pif paf - powtórzył.

- Idź w chuj razem ze swoimi chorymi gierkami.

Miała nadzieję, że nie usłyszał w jej głosie strachu, który odczuwała. Kto wiedział, do czego jest zdolny? Po tym, co zrobił? Był wystarczająco szalony, rewolwer mógł faktycznie być naładowany.

Obróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Cała się trzęsła.

- *Pif paf*- usłyszała za sobą.

Kiedy była już w domu, wyjrzała przez okno i zobaczyła, że lincolna nie było już przed jej domem. Przypomniała sobie, że w bagażniku ma zakupy na cały tydzień. Wyszła po nie jak żołnierz kryjący się przed snajperem i zastanawiała się, czyjej świat wróci wreszcie do normalności.

Dwadzieścia jeden

## PRZESŁUCHANIE: DZIEŃ PIERWSZY

Pokój był stary i ciemny, ponury jak dzień widoczny za trzema długimi rzędami okien - i niemal pusty, nie licząc prawników, sędziego, pomocnika szeryfa, stenografa, Lydii i Arthura. Rozprawy dotyczące dzieci były zamknięte dla publiczności i prasy, co ją cieszyło. Coraz bardziej, im więcej dnia mijało.

Zaczął się źle. Po krótkich mowach wstępnych obu prawników, sędzia Burkę, na prośbę Edwarda Wooda, odrzucił zeznania i dowody w sprawie pobicia Lydii przez Arthura, które miało miejsce zeszłego grudnia, uznając je za niezwiązane z toczącym się postępowaniem, choć Owen próbował przeforsować argument, że miało to pokazać skłonność Arthura do przemocy. Nie mogli więc wezwać na świadka Ralpa Dug-gana albo policjanta, który przyjmował wtedy zgłoszenie. Nie mogli użyć zdjęć i szpitalnych raportów.

Było to dla nich ogromne rozczarowanie. Czy właśnie nie o przemoc tutaj chodziło?

Najwyraźniej Burkę uważał, że nie.

Na szczęście sytuacja poprawiła się nieco za sprawą Andrei Stone.

Jej rola była niecodzienna, gdyż jednocześnie pełniła funkcję prawnika reprezentującego interesy Roberta, ale także każda

ze stron mogła wezwać ją na świadka, jako osobę prowadzącą śledztwo.

Powiedziała Owenowi Sansomowi o swoich rozmowach z Lydią Danse, z Hesslerem i Brombergiem, a także o trzech wizytach u Roberta w domu. Odniosła wrażenie, że jest tam spokojny i szczęśliwy, otwierał się przed nią, choć czasem z rezerwą, mówił do niej, jak ona to nazywała, na specjalnych warunkach, nie chciał przekazywać niczego wprost odnośnie tego, co zaszło. Ale gdy zapytała go, kto mu robił te rzeczy, nic nie odpowiedział. Nie odezwał się też ani słowem na temat ojca.

- Do jakich konkluzji to panią doprowadziło, pani Stone? - zapytał Sansom.

- Sprzeciw.

- Pani Stone jest tutaj po to, by podzielić się z nami swoimi wnioskami, Wysoki Sądzie. Pan Wood jest tego świadomy.

- Oddalam. Świadek może odpowiedzieć na pytanie.

- Rozmowy z chłopcem doprowadziły mnie do wniosku, że jego ojciec i dręczyciel to jedna i ta sama osoba.

- A czy chłopiec mówił bez oporów o innych mężczyznach? Na przykład o dziadku? Albo o mnie?

-Tak.

- Czyli nie chciał mówić jedynie o ojcu? -Tak.

Poganiany przez ciągłe sprzeciwy Wooda, Sansom wreszcie nakierował rozmowę na incydent w biurze.

- A czy pamięta pani, jakimi słowami posłużył się dokładnie, kiedy stracił nad sobą panowanie?

- Zapytał, czy może zobaczyć się z Robertem na osobności, odpowiedziałam więc, że nie, bo ma sądowy zakaz. Wtedy powiedział, a właściwie wykrzyczał: „Nawet pięciu jebanych minut?”.

- W obecności Roberta? -Tak.
  - Widziała pani reakcję Roberta?
  - Wzdrygnął się.
  - Wzdrygnął?
  - Właściwie to odskoczył. Jakby ktoś miał go uderzyć. - I co pani o tym sądzi?
  - Że to słowo go zdenerwowało. Słowo „jebanych”.
  - A czy pan Danse użył tego słowa ponownie w pani obecności?
  - Sprzeciw, nie ma to nic wspólnego ze sprawą.
  - Oddalam.
  - Tak, na korytarzu, przed moim biurem. Nazwał mnie pierdoloną kurwą.
  - Dokładnie takich słów użył? -Tak.
- Sansom bez słowa podszedł do stołu i zaczął szperać w papierach. Znalazł to, czego szukał, i podał dokumenty Andrei Stone.
- Pani Stone, czy to jest pani raport, który napisała pani na zlecenie sądu? Czy to pani podpis?
  - Tak.
  - Czy może nam go pani streścić?
  - Oczywiście. Sugerowałam oddanie dziecka pod wyłączną opiekę matki, Lydii Danse. Postulowałam również kompletny zakaz odwiedzin ojca, Arthura Danse'a.
  - Na jakiej podstawie?
  - Uważam, że Arthur Danse wykorzystywał seksualnie swojego syna. Sądzę, że dopuszczał się tego od dłuższego czasu.
  - Dziękuję, pani Stone. Był to nasz Dowód A, Wysoki Sądzie.

Nie mam więcej pytań do świadka.

- Panie Wood?

Wood wstał powoli i podszedł do niej. Uśmiechał się, jakby byli starymi, a do tego bliskimi przyjaciółmi i przez chwilę Lydia pomyślała, że może faktycznie tak było, choć przecież wiedziała, że nie. Wood był niezły. Zajrzał do swoich notatek.

- Pani Stone, pani zeznanie mówi, że zapytała pani Roberta, czy ktoś robił mu rzeczy, które mu się nie podobały, których nie lubił, a on odpowiedział: „Może”. Czy tak było?

- Tak.

- Zapytała też pani, czy ktoś dotykał jego miejsc intymnych i ponownie odpowiedział: „Może”. Czy tak było?

- Tak.

-Ale nie odpowiedział ani „tak”, ani „nie” na żadne z pytań, prawda?

- Czuję, że unikał bezpośredniej odpowiedzi, chciał przekazać mi informację, ale nie bezpośrednio.

- Skąd pani wie, czy po prostu się z panią nie droczył?

- Słucham?

-Nie jest tajemnicą, że czasem dziecko, złe najednego rodzica, złe na jakiegoś dorosłego, korzysta właśnie z takiego oskarżenia, często zresztą fałszywego i niesłusznego. Skąd pani wie, że Robert po prostu nie eksperymentował z taką zabawą? A potem się z niej wycofał?

- Pracuję w tym zawodzie już od kilku lat, panie Wood, wiedziałabym. On chciał przekazać, że ktoś go molestuje.

- Mówiła pani, że rozmawiała z Lydią Danse, a ona opowiedziała pani o nocy, w której... poczyniła odpowiednie obserwacje i zbadała Roberta. Czy to prawda?

-Tak.

- A czy rozmawiała pani z Arthurem Dansem?  
- Tylko raz, w moim biurze.  
- Czemu tylko wtedy?  
- Odmawiał rozmów ze mną. Zapewne podążając za pańską radą.

- A więc nigdy nie wysłuchała pani jego argumentów. Co oznacza, że dopiero teraz wysłucha go pani po raz *pierwszy*, czy tak?

- Myślę, że tak. Tak.

- Ale i tak przedstawiła pani sądowi swoją opinię. Interesujące. Pozwoli pani, że o coś zapytam. Mówiła pani, że Robert odpowiadał na pytania dotyczące innych mężczyzn, ale nie na te dotyczące jego ojca, czy to prawda?

-Tak.

- A czy pytała pani o konkretnych mężczyzn? -Tak.

- Dlaczego?

- Chciałam wykluczyć możliwość, że jest niechętny rozmowom o mężczyznach w ogóle. Jakichkolwiek. W sprawach dotyczących molestowania i znęcania się, nieważne jakiej płci jest dręczyciel, zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że dziecko nie będzie chciało rozmawiać o którejs.

- A o jakich mężczyzn konkretnie pani pytała?

- O jego dziadka, Harry'ego Danse'a. Eda, byłego męża Cindy Fortunato, doktora Bromberga. Owena Sansoma.

- Czy pytała pani może o sąsiada? Nazywa się bodajże Collins.

- Być może, nie pamiętam. Poprosiłam panią Danse o podrzucenie mi kilku nazwisk, które Robert może znać. Nie pamiętam wszystkich.

- Poprosiła pani panią *Danse* o sugestie?

-Tak.

- A więc była to... lista podejrzanych?

- Sprzeciw!

- Panie Wood, proszę przeformułować pytanie.

- O wielu mężczyzn *nie* zapytała pani Roberta, nieprawdaż? O mężczyzn, których nie było na liście otrzymanej od pani Danse. Na przykład wielu mężczyzn z sąsiedztwa. Może nauczycieli ze szkoły? Czyż nie?

- Tak sądzę.

-A więc skąd pani wie, że nie chciałby rozmawiać także o którymś z mężczyzn, o którego pani nie zapytała? Skąd pani wie, że nie chciał mówić tylko o swoim ojcu?

- Jeśli o to panu chodzi, to moim zamiarem nie była gonitwa za dręczycielem. Nie szukałam podejrzanych. Jedynie eliminowałam rozmaite możliwości. Myślę, że podjęte przeze mnie kroki były właściwe i słuszne.

- Mówi pani, że nie goniła za dręczycielem. Zapewne była już pani przekonana, że jest nim Arthur Danse, prawda?

- Można tak powiedzieć. Dowody mówią same za siebie.

- Czy to jest prywatne *śledztwo*!

- Sprzeciw.

- Oddalam. Panie Wood, proszę dalej. Wood ponownie zajrzał do notatek.

Podszedł do ich stolika i stanął dokładnie za plecami Arthura Danse'a.

- Mój klient nazwał panią... jak to szło?

- Pierdolona kurwa, panie Wood. Głos jej stężał.

Wood uśmiechnął się.

-Nie darzy pani sympatią mojego klienta, prawda, pani Stone?

- Nie, nie darzę.

- Właściwie, to go pani nie lubi, prawda?

- Dobrze pan wie, że mój osobisty stosunek do pana Danse'a nie ma tutaj nic do rzeczy.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Pomyślała, że Cindy poradziła sobie wyśmienicie. Woodowi nie udało się jej zbić z tropu ani na chwilę, a i jakoś specjalnie nie próbował tego zrobić. Przyszła do sądu jako świadek moralności - tak jak Olive Youngjohn, nauczycielka Roberta - ale także po to, by poświadczyć o zachowaniu Lydii w tamtą noc. Miała na sobie garsonkę od krawca, długie blond włosy spięła z tyłu w ciasny kok, skromny, ale zapleciony z wyczuciem. Bił od niej spokój i rozwaga. Zachowywała się, jakby uczestniczyła w przesłuchaniach każdego dnia. Lydia była z niej dumna.

- Pani Danse z pewnością była wściekła, kiedy przyjechała do pani tamtej nocy, prawda, pani Fortunato? - zapytał Wood.

- Tak, była wściekła, ale powiedziałabym raczej, że do głębi wstrząśnięta.

- Powiedziałyby pani, że trzymała nerwy na wodzy czy kierowały nią emocje?

- Sprzeciw, to pytanie o subiektywną opinię - powiedział Sansom.

- Oddalam.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, trzymała się nieźle.

- Ale wtedy nie znała pani tych okoliczności, prawda?

- Nie, nie znałam.

- Wiedziała pani, dokąd udaje się pani Danse, kiedy wyszła z pani domu?

- Powiedziała, że musi natychmiast porozmawiać z Arthurem.



-Ale nie powiedziała pani, jaki był powód tej rozmowy?

- Nie pytałam.

- Są panie najlepszymi przyjaciółkami, a pani nie zapytała?

- zapytał z niedowierzaniem. Cindy uśmiechnęła się.

- Najlepsze przyjaciółki wiedzą, kiedy *nie* pytać, panie Wood, dlatego pozostają przyjaciółkami. Ale na pewno pan o tym wie.

Pani Youngjohn była bardziej chwiejna. *Wyglądała idealnie*

- kobieta w średnim wieku, trochę przy kości, w okularach, długiej sukience z paskiem. Mówiła z pewnością siebie w głosie i determinacją, kiedy opowiadała o bliskim kontakcie, który utrzymywała z nią Lydia ze względu na dobro syna, o jej rozmowach z innymi nauczycielami na temat problemów Roberta. I właśnie te problemy Wood wykorzystał przeciwko niej.

- Mówiła pani o jękaniu się?

- Tak. Miał kłopot z wykrztuszeniem słowa. -A czy to leczy się w jakiś sposób?

- Tak, mamy w szkole logopedę, który pracuje z nim na miejscu.

- Jest pani świadoma, że Robert widuje psychoterapeutę, doktora Bromberga?

-Tak.

-I że jest nieśmiały? -Tak.

- Ale dobrze sobie radzi w szkole? -Tak.

- A czy inne dzieci go lubią, pani Youngjohn?

- O tak, Robert jest bardzo miłym chłopcem.

- Nie wątpię, ale nie o to pytałem. Jest pani nauczycielką od... ile to lat? Dwadzieścia dwa? Na pewno zdaje sobie pani sprawę z tego, jak okrutne potrafią być dzieciaki. Mam na myśli to, że

Robert się jąka, jest nieśmiały, chodzi od jednego terapeuty do drugiego. Jest inny, jest outsiderem. Czy nie o to tutaj chodzi?

- Robert ma przyjaciół.

- Ale pewnie potrafią mu dopiec, prawda?

- No tak, z pewnością drocą się z nim.

- A czy dokuczają mu dlatego, że nosi pieluchy? Sansom wstał na równe nogi.

- Sprzeciw! To nie ma związku ze sprawą! Pytanie do niczego nie prowadzi.

- Wysoki Sądzie, jeśli sąd da mi choć chwilę na rozwinięcie myśli, zobaczy, do czego dążę.

- Uchylam sprzeciw, ale tylko na moment. Świadek może odpowiedzieć.

- Ja... ja nie wiedziałam, że on nosi pieluchy, panie Wood.

- Zakłada ją co wieczór, pani Youngjohn. Jestem zdziwiony, że pani nie wiedziała. Szczególnie, że pracuje pani z panią Danse nad rozwiązaniem problemów Roberta.

- Sprzeciw! To nie pytanie, a przemowa!

- Podtrzymuję.

- Czy istnieje jakikolwiek powód, wyjaśniający, dlaczego pani Danse *nie* powiedziała pani o tym, że Robert nosi pieluchy?

- Nie sędzę, chyba nie. Chyba po prostu była zbyt zażenowana tym faktem.

-A czy przyniosłaby coś ta wiedza? Poza oczywistym zakłopotaniem? Czy pomogłaby zrozumieć pani problemy chłopca?

- Może... ja nie wiem.

Lydia ujrzała na jej twarzy oburzenie, jakiego nigdy nie była świadkiem u tej kobiety. Na swój sposób *była* faktycznie urażona, że Lydia nie powierzyła jej tej informacji, nie zaufała jej. Następne pytanie dowiodło, że Wood również to zauważył.

- A co myśli pani o tym, że pani Danse ukryła to przed panią? Co pani osobiście sądzi o wiarygodności pani Danse, jej chęci współpracy? Czy zmieniła pani swoje zdanie o niej?

Youngjohn widziała, do czego zmierza i w porę się opamiętała, dzięki Bogu. Ale Lydia obawiała się, że szkoda już została wyrządzona. Świadek moralności musi bowiem wyraźnie opowiedzieć się po jednej ze stron.

- Nie miało to na mnie większego wpływu - odpowiedziała. - Musiałabym porozmawiać z panią Danse. Jestem po prostu zaskoczona i nic więcej.

- Rozumiem. Zatem, by wydać opinię o tym fakcie, musiałaby pani przedyskutować to z panią Danse?

-Tak.

- A więc to, co pani czuje na wieść o tym, że ukryto przed panią pewne informacje, jest otwartą kwestią?

-Tak.

Wood zawiesił na moment głos i wrócił do swojego stołu.

- Jeszcze jedna rzecz, pani Youngjohn. Czy Robert przychodził do szkoły z zadrapaniami, siniakami, otarciami? Coś z tych rzeczy?

- Rzadko.

- Powiedziałyby pani, że jest niezdarny? Uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że tak, troszeczkę.

- Widziała pani na własne oczy?

- Widziałam, jak upadł kilka razy podczas zabawy - oznajmiła, nadal się uśmiechając. - Czasem przewracał się o własne nogi.

- Kilka razy? -Tak.

- Czy od tego mogły powstać te wszystkie rany?
- Nie, nie sędzę. Większość z nich powstała podczas zabaw poza szkołą, a przynajmniej tak sędzę.
- Czy rozmawiała pani z panią Danse o jego niezdarności?
- Tak.
- Czy pani Danse powiedziała pani, skąd Robert ma tego czy innego sińca albo zadrapanie?
- Tak, czasem o tym mówiła.
- Ale nie zawsze.
- Nie, oczywiście, że nie zawsze.
- I uważa pani, że pani Danse mówiła prawdę? -Tak.
- A może sądziła pani, że pani Danse może przed panią coś *ukrywać*, jeśli chodzi o te sprawy?
- Sprzeciw, Wysoki Sędzie!
- Oddalam. Świadek może odpowiedzieć na pytanie.
- Nie, nie uważam, by pani Danse coś ukrywała.
- Nie mam więcej pytań.
- Przejmuję świadka, Wysoki Sędzie - powiedział Sansom. Podszedł do niej z miną człowieka, który chciał mieć to już za sobą i myślał jedynie o przyspieszeniu całej sprawy.
- Pani Youngjohn, czy miała pani kiedykolwiek jakiś powód, by myśleć, że pani Danse *kłamała* na temat Roberta?
- Nie.
- A czy wątpiła pani w prawdziwość słów pani Danse, kiedy wyjaśniała, dlaczego Robert jest posiniaczony czy podrapany?
- Nie.
- Czyli powiedziałyby pani, że niezdarność Roberta w domu czy też ogólnie - poza szkołą, miała takie same skutki jak te, których była pani świadkiem na jej terenie?

- Zdecydowanie tak. Przynajmniej co do tego była pewna.

Hessler, proktolog, wypadł na przesłuchaniu jak czyjś dobroduszny dziadek. Z tego, co wiedziała, faktycznie nim był. Miał na sobie schludny, szary garnitur i konserwatywny, niebieski krawat. Mówił cichym, ale pełnym godności głosem. Wood nie mógł nic z niego wyciągnąć, nawet kiedy wziął go w krzyżowy ogień pytań.

- Doktorze Hessler, mówi pan, że to *wielokrotny* gwałt analny - powiedział Wood. - Ale nie znaleziono śladów spermy. Czy dopuszcza więc pan inną możliwość, formę penetracji? Może nie doszło do niej za pomocą penisa? Może chłopiec włożył sobie swój własny *palec*!

- Bardzo nieprawdopodobne. Stwierdziłem znaczny stopień poszerzenia odbytu, chłopiec nie mógłby zrobić sobie tego sam, palcem. Wątpię też, że mógłby spowodować to palec dorosłej osoby, a nawet jeśli, to nadal molestowanie, prawda? Podobnie, jeśli zostało to zrobione jakimkolwiek innym przedmiotem.

- A więc wyklucza pan samogwałt?

- Zdecydowanie. Szczególnie, że uszkodzenie mięśnia i otaczającej go tkanki powstało w wyniku wielokrotnej penetracji, do której dochodziło od dłuższego czasu. I, jak już wspominałem, były tam też blizny. Trudno wyobrazić sobie, dlaczego chłopiec miałby to robić sam sobie, może raz, w ramach jakiegoś dziwaczego eksperymentu, z użyciem ciała obcego, ale jest to wielce nieprawdopodobne. Choć nie niemożliwe. Dzieci, jak sądzę, czasem dopuszczają się niewiarygodnych rzeczy, ale takie eksperymenty nie trwają długo, nie są powtarzane. To musiało powodować

ból, panie Wood. Powiedziałbym nawet, że było bardzo bolesne. A więc jeśli nie przyjmiemy, że dziecko jest masochistą...

- Rozumiem - przerwał Wood. - Nie mam więcej pytań. Andrea Stone wstała, chcąc wyeliminować jakiegokolwiek wątpliwości.

- Doktorze Hessler, czy jakiegokolwiek zachowanie Roberta mogłoby wskazywać na to, że może mieć skłonności masochistyczne?

- Wręcz przeciwnie. Robert jest bardzo wrażliwy na dotyk. Nie jest młodym człowiekiem, który czerpie przyjemność z bólu.

- Dziękuję, doktorze Hessler. Nie mam więcej pytań.

W sypialni panował chłód, choć już podkręciła termostat. Coś musiało się zepsuć. Leżała w ciemnościach, pod kołdrą, i rozważała wyjęcie jeszcze jednej z szafy. Wyczerpanie dawało jej się jednak we znaki i kazało pozostać w łóżku, choć nie mogła zasnąć. Niepokoiła się.

Pomyślała, że pomimo kilku wpadek, dzień był dla nich całkiem udany, wszyscy tak mówili, nawet Owen Sansom.

Problemem było jutro.

Jutro jej kolej.

*Jeśli tylko by im powiedział*, pomyślała. Gdyby tylko Robert im powiedział.

Próbowała wyciągnąć to z niego ponownie, gdy wracała z sądu i odebrała go od Cindy. W drodze do domu zapewniała go, że ich ochroni, że jeśli o wszystkim opowie, nic złego się nie stanie.

Traciła cierpliwość.

Nie potrafiła zrozumieć, czemu nie chce nic powiedzieć w obliczu tego, co się działo. Zbyt mocno naciskała, wybuchnęła płaczem.

Nie pierwszy raz.

Nie tylko obawa, ale i poczucie winy nie pozwalało jej zasnąć.

Gdy zajechali do domu, zadzwoniła do Barbary. Ostatnio nie miała z nią częstego kontaktu, trudno było jej w kółko rozprawiać o tym wszystkim, nawet z nią. Barb również chciała iść do sądu jako świadek moralności, ale Sansom powiedział, że jej zeznanie nie miałoby wielkiej wagi, gdyż była członkiem rodziny. Poza tym ledwo zaczęła nową pracę. Zdecydowali więc, że powinna skupić się na swoich obowiązkach. Jeśli kogoś potrzebowała, zawsze mogła liczyć na Cindy.

Ale w tej chwili potrzebowała porozmawiać z kimś z rodziny.

Powiedziała jej o swoim poczuciu winy.

- Robisz to *dla niego* - odparła Barbara. - Nie dla siebie. Robisz to, bo chcesz położyć kres temu, co robił Arthur, musisz o tym pamiętać. Pewnie, że jesteś sfrustrowana. A jaka masz być?

To była dobra rada. Ale Lydia wiedziała, że robiła to nie tylko *dla niego*, ale też *jemu*. Robertowi. Nie można było inaczej. Wierciła mu dziurę w brzuchu swoimi prośbami, by powiedział okropne rzeczy o człowieku, którego zawsze kochał. I pewnie, mimo wszystko, nadal kochał.

Jeśli nic nie powie, to nie powie, pomyślała. Trudno, nie może nalegać bardziej. Co ma się stać, to się stanie i bez jego udziału. Ona o to zadba.

I jutro nadejdzie ten decydujący dzień. Myślenie o nim sprawiało, że nie mogła spać.

Potrzebowała koca. W pokoju było cholernie zimno.

Wstała i podeszła do szafy. Stopy jej marzły od zimnych paneli. Zdjęła z jednej z półek ciężką narzutę i zarzuciła na łóżko, a potem wślizgnęła się pod pierzynę. Lepiej.

Coś uderzyło o stół na parterze.

Usłyszała jakiś ruch. Zaskrzypiała podłoga.

Pomyślała o chłodzie. Może jednak nie chodziło o termostat?

*Otwarte okno?*

Sprawdzała wszystkie przed pójściem do łóżka. Była zima, nie otwierała okien od miesiąca. Intruz. *Arthur*.

Wstała i podeszła do szafy tak cicho, jak tylko potrafiła. Ladysmith, kaliber 38, który dla niej zakupił, leżał w pudełku po butach, za pościelą i pantoflami. Nie widziała tego pistoletu, odkąd się wyprowadził. Ale wiedziała, że jest naładowany. Kula jest w środku, wystarczyło odbezpieczyć.

Metal wydawał się przeraźliwie zimny.

W gardle miała wielką kulę, a serce zaczęło jej walić jak młotem -jakby trzymana w ręce broń wydzielala elektryczny prąd, który przeszedł przez całą długość ręki i wstrząsnął nią całą.

Przeszła w stronę klatki schodowej. Miała ochotę sprawdzić, co u Roberta, lecz jego pokój znajdował się na końcu korytarza, a drzwi były zamknięte. Ktokolwiek czaił się na dole, usłyszy, jak je otwiera.

*O ile ktoś tam w ogóle był.*

*O ile to nie jej wyobraźnia.*

Nie, pomyślała. Na pewno coś usłyszała.

A może to Robert. Tak, na pewno. Pewnie zszedł na parter.

Nie była jednak przekonana co do prawdziwości tej myśli.

Schodziła po cichu ze schodów, trzymając się barierki jedną ręką, w drugiej ściskając broń. Pociły się jej dłonie.

Gdy była na półpiętrze, usłyszała dźwięk metalu uderzającego o ceramikę.

Łańcuszek przy lampce stojącej na stole pod oknem.



Wyjrzała zza rogu, trzymając przed sobą kaliber 38.

Zobaczyła go, klęczącego na kanapie. Nieruchomo. Łokciami oparł się o poduchy i wyglądał przez okno. Wsunęła pistolet w głęboką kieszeń swojej koszuli nocnej, mając nadzieję, że jej syn nie zauważy ciemnego, ciężkiego przedmiotu przebijającego przez cieką bawełnę.

Podeszła do niego i złapała go za ramię.

- Robert?

Nie zauważał jej obecności. Gapił się w szybę. *Lunatykował?* Proszę, Boże, tylko nie to.

- Robert.

- On tam jest - odpowiedział. -Kto?

Wiedziała, o kogo chodzi.

- Myślisz, że chce wejść do środka? - zapytał.

- Tatuś? Kiwnął głową.

Wyjrzała przez okno. Trawnik, od wzgórza do ulicy, był pusty.

- Gdzie go widziałeś? Gdzie jest?

- Tam.

Wskazał w stronę starego wiązu, nieopodal środka trawnika.

- Obudziłem się i zobaczyłem go ze swojego okna, zszedłem więc na dół.

Mówił spokojnym głosem, ale jego oczy były szeroko otwarte.

- *Chowa się* - powiedział.

- Poczekaj tutaj.

Z szafy w korytarzu wyciągnęła parę butów. Zdjęła płaszcz z wieszaka i narzuciła na siebie. Robert nadal wpatrywał się w okno. Przełożyła pistolet do kieszeni płaszcza, otworzyła drzwi i wyszła przed dom.

Tak cicho, jak tylko potrafiła, zamknęła za sobą drzwi.

Włożyła obie ręce do kieszeni i zaczęła iść w stronę drzewa. Buty i płaszcz nie mogły ochronić jej przed chłodem, ale i tak nie czuła zimna, jej twarz płonęła, a dłoń, którą trzymała na broni, była już cała mokra od potu. Szła szybkim krokiem, a gdy zbliżyła się wystarczająco do drzewa, zwolniła.

Podeszła do pnia drzewa z prawej strony, by móc zobaczyć go ze wszystkich stron.

Nikogo.

Aby się upewnić, obeszła drzewo. Okrążyła je. Z ulgą odetchnęła. Nie było go tam.

Zastanawiała się, co by do niej powiedział albo co by zrobił, gdyby jednak tu się czaił. Wróciła do domu, pamiętając, co powiedział Robert. *Chowa się.*

Nie była to jednak prawda, nie tym razem. Robertowi musiało się wydawać, że zobaczył go za drzewem, wyobraził go sobie, bez wątpienia tak było. Potem zszedł po schodach, nadal przerażony i na wpół śpiący. Ale w znaczeniu mniej dosłownym, to jednak była prawda.

Oczywiście, że się chował.

A Robert wypowiadający te słowa, wiedzący o tym, prawdopodobnie zbliżył się do prawdy o swoim ojcu na tyle, na ile mógł. I oskarżył go.

Dwadzieścia dwa

## PRZESŁUCHANIE: DZIEŃ DRUGI

Czekając na Owena Sansoma w sali rozpraw, Lydia próbowała czytać gazetę, siedząc naprzeciwko Andrei Stone. Od kilku dni nie miała żadnej przed oczami, ale i tak nie mogła skupić na niczym uwagi. Artykuły zlewały się w jedno, niczym we śnie, jeden tekst wchodził na drugi, a z żadnego nie mogła wyciągnąć niczego sensownego.

Ale jedna wiadomość ją zainteresowała. W Nowym Jorku zatrzymano dwudziestosiedmiolatkę z przedmieścia, która została aresztowana za pozostawienie dwójki dzieci samych w domu, bez opieki, podczas gdy ona była w drodze do innego miasta, by oddawać się prostytutce. Jakiś rok temu kobietę rzucił mąż, prawnik, i od tego czasu nie otrzymywała żadnej zapomogi ani alimentów, a nie miała żadnych kwalifikacji mogących pomóc jej w znalezieniu pracy. Dwóch chłopców, w wieku siedmiu i dziewięciu lat, umieszczono, po aresztowaniu matki, w domach zastępczych. Kobieta tłumaczyła, że jej decyzja została wymuszona przez sytuację materialną, potrzebowała pieniędzy na wychowanie dzieci.

Lydia pomyślała, jak zdesperowana musiała być ta kobieta, skoro prostytutka była dla niej jedyną możliwą opcją. Jeśli jej opowieść była prawdziwa, musiała zostać przyparta do muru, gdzie nie sposób odróżnić odpowiedzialności od jej braku.

Artykuł ją zaniepokoił.

- *Gdzie on jest?* Gdzie jest Owen? Andrea Stone stanęła przy niej.

Lydia czuła zapach jej wody toaletowej, *Giorgio*. Stone miała na sobie ciemnoniebieską garsonkę i białą bluzkę, a na szyi perły. Wyglądała na spiętą, podenerwowaną.

Lydia odłożyła gazetę na bok.

- Nie wiem - odpowiedziała.

- Burkę przyjdzie za kilka minut.

Lydia spojrzała na zegarek. Było dziesięć po dziewiątej. Gdzie on, do cholery, był?

Andrea Stone nagle się odwróciła i podeszła do swojego stołu.

- Sędzia Thomas J. Burkę, proszę wstać!

Burkę usiadł w swoim fotelu, a w tym samym momencie otworzyły się podwójne drzwi na drugim końcu sali i wpadł przez nie Sansom, niemal biegnąc wzdłuż ław.

Nie uszło to uwadze Burke'a, lecz sędzia nie skomentował jego zachowania.

Sansom wyglądał okropnie.

Jego garnitur nie wyglądał co prawda aż tak źle, jakby położył się w nim spać, ale niewiele lepiej. Miał przekrzywiony krawat i niewyprasowany kołnierzyk. Na szklach okularów widoczne były mokre kropelki.

Spojrzała na stojącego obok Arthura Edwarda Wooda.

Nie podobał jej się ujrany kontrast.

- Wszystko w porządku? - wyszeptała. Skinął głową.

- Późno się zacząłem zbierać - powiedział. - Przepraszam, jeśli cię zaniepokoiłem.

*Teraz mnie niepokoisz, pomyślała.*

- Proszę usiąść - powiedział Burkę. I tak zaczął się dzień.

Bromberg nie wyglądał swobodnie, wiercił się na krześle i ciągle popijał wodę ze szklanki, kiedy Sansom przepytывał go o symptomy Roberta, jego nieśmiałość, niezdarność, jąkanie się, nietrzymanie moczu, sny.

- Czy te objawy są charakterystyczne dla przypadków molestowania dziecięcego, panie doktorze?

- W wieku Roberta nietypowe jest pojawienie się jąkania, reszta się zgadza.

Potem Sansom poprosił Bromberga o przybliżenie zgromadzonym sposobu działania terapii, dzięki której Robert miał się przed nim otworzyć.

- Jak oceniłby pan reakcję Roberta na przyjętą terapię? Bromberg uśmiechnął się.

- Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale niestety, niezbyt dobrze.

- Nie wyraża chęci rozmowy?

- Przez większość czasu - nie.

-A czy takie zachowanie jest według pana symptomatyczne dla... wykorzystywanych dzieci?

- Dzieci molestowane przeważnie bywają skryte i niechętnie dzielą się informacjami, szczególnie z rodzicami. Więc odpowiedź na pańskie pytanie brzmi - tak.

- Doktorze, bazując na pańskiej znajomości Roberta, czy istnieje *prawdopodobieństwo*, że był on molestowany?

- Prawdopodobieństwo?

- Tak. Czy objawy, które pan zauważył, mogą być związane z czymś innym? Na przykład rozwodem rodziców?

Wiedziała, co Sansom zamierza zrobić - chciał uprzedzić Wooda i poruszyć tę kwestię jako pierwszy.

- Nie, trudno by mi było znaleźć coś na potwierdzenie tej tezy. Na przykład jego, jak to nazywamy, niezdarność nie jest wcale niezdarnością. Ten chłopak sam siebie rani i robi to regularnie. Według mnie jest to wyraźna oznaka tego, że ktoś rani jego. No i jeszcze niekontrolowane wypróżnienia...

- A więc mówi pan, że nie można wykluczyć molestowania? -Nie.

Wood, gdy nadeszła jego kolej, skupił się mniej więcej na tym samym, choć z początku nie mogła dostrzec, w jakim kierunku zmierzał. Ale Bromberg wydawał się już spokojniejszy, bardziej zrelaksowany, więc zaczęła zastanawiać się, ile czasu obaj mężczyźni spędzili na rozmowach przed przesłuchaniem.

I nagle wszystko się wyjaśniło.

- Taki jest pański wniosek, doktorze? Że Robert faktycznie był molestowany seksualnie?

-Tak.

- A czy uważa pan także, że dręczycielem był ojciec?

- Nie, do takiego wniosku nie doszedłem. Niekoniecznie.

- Czy mogłaby to więc być jego *matka!* Czy przypadkiem nie powiedział pan pani Danse, że nie wykluczył takiej możliwości?

- Owszem, wspomniałem jej o tym.

- A co konkretnie pan powiedział?

- Powiedziałem, że podejrzewam znęcanie się na dzieckiem od pewnego czasu. Zapytała mnie, dlaczego jej o tym nie poinformowałem wcześniej. Odpowiedziałem, że nie omawia się takich spraw bez wcześniejszego upewnienia się o trafności diagnozy, znane są przecież przypadki, kiedy to sam rodzic,

który znęca się nad dzieckiem, przyprowadza je na terapię. Stosuje wtedy zasłonę dymną, by ukryć swoją własną winę, a nawet, podświadomie, chce zostać złapany i ukarany.

- Jak zareagowała na to pani Danse?

- Zdenerwowała się.

- Po czym pan poznał, że się zdenerwowała? Uśmiechnął się.

- Wystarczyło na nią spojrzeć, panie Wood. Albo posłuchać.

- Czy zachowywała się wrogo względem pana?

- Była w stosunku do mnie oschła, owszem. I, jakby to powiedzieć, sarkastyczna.

Widziała, że Andrea Stone rzuca spojrzenia w stronę Owena Sansoma, po jej twarzy widać było, że jest zbita z tropu. I pomyślała, że miała ku temu dobry powód.

- Nie powinienesz krzyczeć „sprzeciw” albo coś? - powiedziała. - Czy on aby nie pyta go o subiektywną opinię, czy jakoś tak?

Splawił ją machnięciem ręki i nie przerwał skrobania w swoim notesie.

- Nic się nie dzieje - odpowiedział. Zaczynał ją przerażać.

- Niech jasno wyrażę swoje myśli. Doktorze Bromberg, czy wykluczył pan możliwość, że pani Danse jest dręczycielką?

- Jak mógłbym? Przecież chłopak niczego mi nie powiedział.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie. Spojrzała na Sansoma.

- Nie mam pytań do świadka, Wysoki Sądzie - powiedział. *Nie*, pomyślała. *Wstań, zrób coś, na miłość boską*. Sansom nie przestawał pisać.

*Co się z nim dzieje, do cholery?*

A może przesadzała? Nagle poczuła, że tonie. Bromberg właśnie powiedział sądowi, że istnieje możliwość, że to *ona* może być tą, która molestuje Roberta. Kłamstwo tak samo zuchwałe, jak przerażające.

Zauważyła, jak zniesmaczenie przemknęło przez twarz Andrei Stone, kiedy spojrzała po raz kolejny w ich stronę i wstała z miejsca.

- Doktorze - powiedziała - czy pan sam *wierzy* w to, że pani Danse może być dręczycielką?

- Sprzeciw.

- Oddalam. Świadek może odpowiedzieć.

- Nie. Nie sędzę, by tak było.

- Czy to jednak prawdopodobne?

- Nigdy nie można być pewnym, dopóki chłopiec sam nie powie.

- Ale czy sądzi pan, że to *prawdopodobne!*

- Raczej nie. Nie, nie sędzę.

-A jej reakcja na pańskie słowa... czy ta złość zaniepokojonej matki mieści się w ramach czegoś, co nazwałby pan normalnym zachowaniem w tych okolicznościach?

- Tak, myślę, że tak.

-I ja tak sądziłam. Dziękuję, panie doktorze.

- Wzywam Lydię Danse, Wysoki Sądzie.

Nigdy nie wątpiła, że będzie musiała przez to przejść, ale ta świadomość w żaden sposób jej nie pomagała. Nic, co do tej pory doświadczyła, nie mogło się z tym równać. Oba rozwody były łatwe, niezaprzeczalnie. W brzuchu czuła pustkę, ziejącą dziurę, trzęsły się jej ręce, kiedy szła na miejsce świadka. Za-



schło jej w gardle, na języku czuła kwaśny posmak. Poprosiła o szklankę wody i wypła ją duszkiem.

Poczuła się lepiej, kiedy wydawało się, że Owen mniej więcej odzyskał kontrolę nad sytuacją, wypytywał ją ostrożnie i delikatnie o objawy Roberta oraz jego zachowanie tamtej nocy, kiedy wrócił od Arthura obolały i zraniony. Często zaglądał do notesu. Poświęcił sporo czasu na rozmowę o tej pozycji, którą przyjmował Robert, kazał opisać ją szczegółowo i określić, jak często to robił, a wreszcie, pomimo sprzeciwów Wooda, wyjaśnić jej znaczenie.

-Widziała pani tę pozycję już wcześniej, prawda, pani Danse? -Tak.

- Czy pani sama jej doświadczyła? -Tak.

-Przy jakiej okazji?

- Z Arthurem. To była jego ulubiona pozycja, kiedy uprawialiśmy razem seks.

Poczuła, że się rumieni.

- Seks analny? -Tak.

Rozmawiali o tamtej nocy, o odkryciu tego, co się stało, o spakowaniu rzeczy Roberta i zabraniu go do Cindy, a potem o jej wyprawie do baru i oskarżeniu Arthura. Potem opisała kolejny dzień, wizytę u Bromberga i Hesslera. Kiedy doszła do momentu, kiedy go myła, wybuchnęła płaczem, pamiętając swoją bezsilność i ból. Sądziła, że z resztą poradziła sobie nieźle, zachowała spokój.

Wtedy Wood wstał, uśmiechnął się i podszedł do niej.

- Była pani zła na męża tej nocy, prawda, pani Danse? -Tak.

- Wściekła?
- Pewnie tak.
- Powiedziałaaby pani nawet, że histeryczna?
- Nie. Jedynie zła.
- I dała mu to pani do zrozumienia bez żadnych wątpliwości? -Tak.
- Na oczach innych ludzi. W jego barze. -Tak.
- Czy ktoś jeszcze to słyszał?
- Nie zwracałam uwagi na to, czy ktoś inny słyszy, co mówię, panie Wood.
- Rozumiem. Jak pani mówiła, była wściekła.
- Sprzeciw - powiedział nie Sansom, a Andrea Stone. Sędzia Burke wydawał się nią zirytowany.
- Pani Stone - powiedział - nie jest pani prawnikiem pani Danse, jest pani prawnikiem *Roberta*. Proszę o tym pamiętać, dobrze.
- Wysoki Sądzie, *sprzeciw* - dorzucił Sansom.
- W porządku, oddalam. Proszę kontynuować, panie Wood.
- Czyli nie było dla pani istotne, czy robi pani scenę?
- Nie widział pan mojego syna, panie Wood. Gdyby pan go wtedy zobaczył, zrozumiałby pan, że decyzja o zrobieniu bądź nie zrobieniu sceny nie była czymś, co by pan rozważał.
- Czy w żaden sposób nie wpłynął na panią fakt, że oskarża pani swojego męża o straszliwą, haniebną zbrodnię w miejscu, gdzie prowadził interesy, w restauracji, w której zarabiał na życie, na oczach jego klientów, może przyjaciół, a także partnerów biznesowych?
- On zgwałcił mojego syna, panie Wood! Uśmiechnął się ponownie.

- No właśnie zebraliśmy się tutaj po to, by to stwierdzić.  
Czy mówiła pani głośno?

- Do Arthura? -Tak.

- Nie wiem, tak sądzę. Prawdopodobnie.

- Wystarczająco głośno, by pozostali mogli panią usłyszeć?

- Tak myślę.

Zamilkł, popatrzył w notatki.

- Czy przypomina sobie pani, że powiedziała do męża, iż od tej pory nie zobaczy więcej syna?

- Przypominam sobie, że powiedziałam mu, iż nigdy więcej nie zobaczy Roberta na osobności, jeśli to będzie ode mnie zależało. I że gdy będzie chciał się z nim spotkać, będę z nimi w tym samym pomieszczeniu.

- Ale nie było to państwa ustalenie sądowe? -Nie.

- Zdaje sobie pani sprawę z tego, że zabraniając mu odwiedzin, może pani łamać prawo?

- Słucham?

- Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że zabraniając mężowi odwiedzin bez chociażby uprzedniego przesłuchania w tej sprawie albo raportu wydziału do spraw dzieci i młodzieży, łamała pani prawo?

- Ale ja to zgłosiłam zaraz następnego dnia.

- No ale nie wtedy, kiedy rozmawiała pani z mężem. Nie wtedy, kiedy powiedziała mu pani, że nigdy więcej nie zobaczy syna na osobności, jeśli to będzie od pani zależało. Czy mam rację?

-Tak, ale...

- Czy ma pani zamiar postępować zgodnie z nakazem sądowym, pani Danse?

- Oczywiście.

- A jeśli decyzją sądu będzie pozwolenie na dalsze wizyty mojego klienta na wcześniejszych zasadach, bez nadzoru?

- To niemożliwe.

- Ależ możliwe, pani Danse. Postępowanie trwa, wszystko może się wydarzyć.

- Jak pan może... jak ktokolwiek może pozwolić na to w przypadku molestowania mojego dziecka?

- Powtarzam, że to jeszcze nie zostało udowodnione. Po prostu pytam, czy jest pani w stanie dostosować się do decyzji sądu, nawet jeśli będzie ona przewidywała odwiedziny pana Danse'a według zasad ustalonych w trakcie rozprawy rozwodowej. Proszę odpowiedzieć „tak” albo „nie”.

Czuła się uwięziona, w pułapce, kręciło jej się w głowie, traciła nad sobą kontrolę, targana strachem i złością. Wiedziała, co ten drań zamierzał zrobić i nie miała dość sił, by temu zapobiec. Gdzie był Sansom?

Gdzie był *ktokolwiek!*

- Czy mam powtórzyć pytanie, pani Danse?

- Ten człowiek *nie* skrzywdzi ponownie mojego syna, panie Wood!

Po raz pierwszy od dnia, w którym mierzył do niej z pistoletu, siedząc w swoim samochodzie, spojrzała Arthurowi prosto w oczy. Nie był tym samym mężczyzną. Siedział z nijaką miną, wyciszony, wypoczęty. Niemożliwy do przejrzenia.

- Czyli nie dostosuje się pani?

- Jak pan może mnie w ogóle o to pytać? Czy ma pan dzieci? *Co z pana za człowiek?*

- Pani Danse - powiedział Burkę. - Chciałbym panią poinstruować, by udzieliła pani odpowiedzi na zadane pytanie.

Czy

mogłaby pani wystąpić przeciwko jakiegokolwiek wyrokowi sądu, nawet jeśli będzie on sprzeczny z pani oczekiwaniami?

Zauważyła drogę wyjścia. A raczej możliwość.

Musiała stąpać po najciemniejszym lodzie.

- Nie wiem - powiedziała.

- Nie wie pani? - zapytał Burkę.

- Odpowiedziała już na pytanie, Wysoki Sądzie - powiedziała Andrea Stone, ale Burkę ją zignorował.

- Rozumie pani, że pani odpowiedź bliska jest znieważenia sądu.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie - odparła. - Żywię głęboki szacunek dla tego sądu i nie chciałam nikogo urazić. Mam jedynie nadzieję, że... dojdziemy tutaj do właściwych wniosków. Pokładam nadzieję w Bogu, że nigdy nie będę musiała podejmować podobnej decyzji. Nigdy.

Sędzia uważnie ją obserwował. *Nie daj się*, pomyślała. *Ale nie walcz z nim. Patrz mu w oczy. Ostrożnie.* Burkę westchnął.

- W porządku, pani Danse, nie będziemy pani teraz naciskać w tej kwestii. Proszę dalej, panie Wood.

Wydawało się, że Wood uznał tę rundę za wygraną. Nie była pewna. Burkę był trudny do odczytania.

- Jeśli chodzi o tę pozycję, o której tak państwo rozmawialiście... czy kiedykolwiek pani mąż zmuszał panią do niej?

- Ma pan na myśli fizycznie? -Tak.

- Nie, nie fizycznie.

- A więc nigdy pani nie zgwałcił? -Nie.

-Ale sądzi pani, że gwałcił syna. I zmuszał do tej samej pozycji.

-Tak.

- Ponieważ pani syn czasem przyjmował tę albo podobną pozycję.

-Tak.

- A może jedynie naśladował to, co zobaczył?

- Słucham?

- Czy jest pani pewna, że nie naśladował pozycji, którą podpatrzył u pani i pani męża, kiedy kochaliście się?

- Robert nigdy nie widział nas podczas seksu.

- Nigdy? Ma pani na myśli nigdy, o ile pani wiadomo.

- Nie, mam na myśli po prostu nigdy.

- A skąd ta pewność?

- Ja to wiem.

- Uważa się pani za dobrą matkę, nieprawdaż?

- Tak - odpowiedziała.

- Dba pani o uczucia Roberta, prawda?

- Tak sądzę. Tak.

-A jak nazwałaby pani uczucia Roberta nazajutrz po... tym, co, jak pani twierdzi, się stało?

- Co ma pan na myśli?

Nagle Wood zaczął zachowywać się niczym aktor teatralny. Westchnął i zaczął maszerować po sali rozpraw z miną człowieka, którego cierpliwość już się skończyła i ma dość krnąbrnego dziecka.

- Pani Danse, wyciągnęła go pani z domu w środku nocy, zostawiła w obcym mieszkaniu, a potem wyszła i pokłóciła się publicznie z mężem. Potem, z samego rana, zapakowała go pani do samochodu i objechała kilku lekarzy, między innymi proktologa, którego wcześniej na oczy nie widział. Wszyscy zadawali mu pytania, wymagali odpowiedzi - *odnośnie jego*

*relacji z ojcem* - a potem, wieczorem, pani Stone zadawała mu kolejne pytania. I tak cały dzień! Czy myśli pani, że zmuszanie go do przechodzenia przez to wszystko to rozsądny zabieg? A może raczej wydarzenia tego dnia go nieco *unieszczęśliwiły!*

- Oczywiście, że był to dla niego ciężki dzień, ale nic nie mogłam na to poradzić. Co mogłam zrobić?

- Co mogła pani zrobić? Mogła pani poczekać dzień albo dwa po tym rzekomym incydencie, aż chłopiec się uspokoi. Nie musiała go pani zmuszać do tego wszystkiego tak od razu, z biegu.

- To była rada mojego adwokata, by zrobić badania natychmiastowo.

- Ale i pani *chciała* mieć to za sobą jak najszybciej, prawda? Chciała pani?

- Robiłam to, co było w danej chwili najlepsze.

- A więc odpowiedź brzmi - tak?

- Sądziłam, że najlepsze, co mogłam zrobić, to załatwić wszystko z miejsca.

Wood westchnął ponownie i pokręcił głową.

- Czy Robert płakał, kiedy wychodziliście z gabinetu doktora Hesslera?

- Trochę, ale niewiele. Kilka minut.

- A gdy wyszliście od doktora Bromberga? -Nie.

- A tamtego wieczoru? Po rozmowie z panią Stone? Spojrzała na Andreę Stone. Nie mogła skłamać. Nie, kiedy ona siedziała na sali.

- Mógł trochę płakać podczas rozmowy, nie jestem pewna. Ale możliwe. Na pewno nie płakał po. Nie wtedy, kiedy kładłam go do łóżka.

- A więc ten długi dzień rozmów był dla niego wspaniałym, szczęśliwym popłakiwaniem, czyż nie?

- Sprzeciw.

Nareszcie Owen Sansom zaczął coś robić. Ale akurat na to pytanie *chciała* odpowiedzieć. Bo jak mógł porównywać ten dzień do poprzedniego, spędzonego z ojcem? Jak można porównać to, przez co przeszedł, z tym, co zrobił mu ojciec, co robił mu przez cały ten czas? Nie można było, to niesprawiedliwe.

- Podtrzymuję - powiedział sędzia.

- Ale czy przypadkiem wiele z tych działań nie było zainspirowanych przez panią, pani Danse? Zrobiła pani wiele *bez* rad prawnika.

- Nie wiem, co ma pan na myśli, ale pewnie zrobiłabym to samo i bez porad adwokata.

- Nawet umówiłaby pani wizytę u proktologa?

- Jestem pielęgniarką, panie Wood. Pewnie bym na to wpadła.

- Proktolog, którego badanie doprowadziło syna do płaczu.

- Tak, panie Wood. Doktor Hessler był bardzo delikatny dla Roberta, bardzo miły. Jak powiedziałam, biorąc pod uwagę okoliczności, nic z tego nie było dla nas przyjemne.

- A jeśli powiedziałbym pani, że mogło być, pani Danse? Że to wszystko, o czym tutaj mówimy, na syna sprowadziła wściekła, pragnąca zemsty, prawdopodobnie histeryczna kobieta, która nie poświęciła ani sekundy, by zastanowić się nad uczuciami swojego syna, który nie...

- Sprzeciw - powiedziała Andrea Stone, uderzając ołówkiem w blat stołu.

- Sprzeciw - zawtórował Sansom. Pomyślała, że lepiej późno, niż wcale. Burkę podtrzymał.



- Nie mam więcej pytań do świadka - powiedział Wood.
- Ja również - zakończył przesłuchanie Sansom.

Zrobili przerwę na lunch. Lydia i Sansom poszli do leżącego nieopodal budynku sądu, małego baru mlecznego prowadzonego przez miejscową rodzinę. Był piękny dzień w New Hampshire, czuło się nadchodzącą wiosnę. Powietrze było rześkie i pieściło płuca chłodem. Słońce świeciło jasno i dawało dużo ciepła, więc Lydia zdjęła swój płaszcz i powiesiła sobie na ramieniu. Idąc, czuła się wspaniale, mogąc uwolnić się od duchoty i gorąca sali sądowej.

Zamówili jajka i kawę.

- Co się dzieje? - zapytała.
- Co masz na myśli?
- Z tobą. Co się, do cholery, dzieje, Owen?

Rzucił jej zboląły uśmiech. Pozwolił swojej łyżeczce zatonać w kubku z kawą.

- Pewnie momentami byłem trochę nieobecny, co? - zapytał.

- Nieobecny?
- Ale i tak sędzę, że jego pytania nie były złe.

- Z miejsca, w którym siedziałam, wyglądało to trochę inaczej, Owen. Czułam się jak popychadło, do jasnej cholery! Jezu! Był o krok od wymuszenia na mnie przyznania się, że zabroniłam Arthurowi widywać się z Robertem, nawet jeśli groziło mi za to więzienie, na Boga!

- Nic nie mogłem na to poradzić. Szczerze. To były w pełni akceptowalne pytania.

Osunął się na krzesło. Wyglądał, jakby miał się wreszcie do czegoś przyznać; do czegoś, o czym niełatwo mu było mówić.

- Lydia - powiedział. - Przepraszam. Naprawdę mi przykro. Wierzyła mu, o ile to miało jakiegokolwiek znaczenie. Wgapiła

się w swoją kawę.

- Nie wiesz wiele o mnie - mówił dalej. -1 raczej tak powinno zostać.

Czekała na to, co powie teraz.

- Ponad tydzień temu moją żonę przyjęto do szpitala. Miała jakiś problem z jelitami, blokadę, to wszystko. Pomyśleliśmy wtedy, że to wiele hałasu o nic i już. A potem pojawiła się u niej... woda w płucach...

- Boże.

- Ktoś coś spieprzył. Trzy minuty po tym, jak odłączyli ją od aparatury, zapadła w śpiączkę. Leżała tam prawie cały tydzień. Przez cały czas miała wysoką gorączkę. Kiedy wreszcie się wybudziła w sobotę, gorączka... ona...

Pokręcił głową.

- Kurwa. Co noc przez to przechodzę. Siedzę i mówię do niej, staram się, by sobie przypomniała wszystko od nowa, jak używać noża i widelca, jak tasować talię kart. Nie jestem nawet pewny, czy wie, kim ja jestem. Pokazuję jej zdjęcia rodziców, braci, siostry. Myślę, że ich również nie rozpoznaje.

Odsunął od siebie kawę na drugi koniec stołu i spojrzał na nią.

- To żadna wymówka, wiem o tym i przepraszam. Muszę się poprawić dla ciebie i dla Roberta, i poprawię się. Po prostu trudno mi się od tego odseparować, wiesz? Znaleźć jakieś miejsce, w którym mogę to schować i nie myśleć o tym.

- Wiem.

Instynktownie położyła swoją dłoń na jego ręce i przez chwilę trzymała ją w takiej pozycji, czując bijący od niej żar i chłód jego skóry. Kiedy podano im jedzenie, zabrała rękę.

Nie było czasu na to, by zastąpić go teraz innym prawnikiem, oboje o tym wiedzieli. Musi zaufać mu, że jest w stanie zrobić to, do czego się zobowiązał. Odstawić na boczny tor swoje życie prywatne i walczyć z nią ramię w ramię. Nie było to w porządku, ale musieli zdobyć się na poświęcenie.

Zjedli w milczeniu.

Jake Whalen. Barman Arthura, pierwszy świadek.

Widać było, że jest świeżo po wizycie u fryzjera, jednak obcięty był zbyt krótko, by wyglądać dobrze. Miał na sobie nowy garnitur, pewnie wybrał go dla niego Arthur. Jake był przystojny i cieszył się powodzeniem wśród kobiet, ale nie miał wyczucia stylu.

No i zdecydowanie nie czuł się dobrze, będąc tam, gdzie był.

Zawsze bezproblemowo dogadywała się z Jakem i uważała go za całkiem przyzwoitego faceta, chociaż czasem rzucał jej znaczące spojrzenia i pewnie dlatego nie chciał tu przychodzić. Arthur mu kazał, ale niespecjalnie mu się to podobało.

Wood zapytał od razu o imię, nazwisko, adres i zawód, a potem rozpoczął rozmowę o tamtej nocy, kiedy Lydia wpadła do baru.

- Rozmawiała z panem? -Nie.
- A z kimkolwiek innym?
- Nie, tylko z panem Dansem.
- Czy mówiła głośno? Na tyle, że słyszał pan, co mówiła?
- Nie wszystko słyszałem, ale niektóre rzeczy tak.
- A co dokładnie pan usłyszał?
- Usłyszałem, że pani Danse oskarżyła pana Danse'a o wyrządzenie jakiejś krzywdy synowi.
- Słyszał pan coś konkretnego?

Jake wyglądał niepewnie, niemal mu współczuła.

- Pamięta pan, jakich dokładnie słów użyła?

- Powiedziała, że pan Danse pierdoli ich syna.

- Pierdoli? I powiedziała to głośno? Jake kiwnął głową.

- Tak, w miarę głośno.

- A co powiedział pan Danse?

- Odpowiedział jej, że jest wariatką, że nigdy nie tknął Roberta.

- Faktycznie zachowywała się jak wariatka, panie Whalen?

- Sprzeciw - powiedział Sansom. - Świadek nie jest psychoanalitykiem.

- Spróbuję inaczej, Wysoki Sądzie - powiedział Wood. - Jakby pan nazwał postawę pani Danse?

- Była wściekła. Naprawdę wściekła.

- Agresywna?

- Nie uderzyła go ani nic takiego, jeśli o to panu chodzi, ale wyglądała, jakby chciała to zrobić.

- A gdzie stali? Blisko siebie?

- Jakieś trzy, może cztery stopy ode mnie, po drugiej stronie baru. Tak, stali dość blisko siebie, niemal twarzą w twarz.

- Krzyczała, przeklinała? -Tak.

- Co jeszcze mówiła?

- Pamiętam, że wspominała, że już nigdy nie pozwoli mu widywać się z Robertem sam na sam i będzie im towarzyszyć. Pan Danse odpowiedział, że nie może tego zrobić, a ona na to, że sam się przekona i zobaczy. I potem zapytał panią Danse, czy Robert powiedział coś o tym, że jego ojciec zrobił mu coś złego.

-1 jaka padła odpowiedź?

- Że nie musiał nic mówić, że właśnie się dowiedziała.  
- A więc nie powiedziała wprost, że Robert powiedział jej cokolwiek.

- O ile słyszałem, to nie.

- Czy lubi pan Lydię Danse?

- Pewnie.

- Czyli nie siedzi pan tutaj, by jej w jakiś sposób zaszkodzić? Znaczy, nie miał pan z nią nigdy żadnych spięć, problemów? Żadnych urazów, złego traktowania?

- Nie, zawsze uważałem, że pani Danse to miła osoba.

- Dziękuję, panie Whalen. Sansom wstał i podszedł do niego.

- Panie Whalen, powiedział pan, że pani Danse była wściekła. A jak zareagował pan Danse?

- Z początku był spokojny, ale potem się zdenerwował.

- Czy słyszał pan, jak powiedział do mojej klientki: „Zobaczymy się w sądzie, suko”? Albo podobne słowa?

- Tak, było coś takiego.

- A kiedy to mówił, stał z nią, jak pan to określił, twarzą w twarz?

Jake uśmiechnął się.

- Wydaje mi się, że tak.

- No więc słyszał pan, jak *dwie* osoby krzyczą na siebie, nie jedna, prawda?

-No... tak.

Po Jake'u Whalenie Wood wezwał na świadka kogoś, kogo Lydia praktycznie nie знаła - Harolda Milforda. Był to przysadzisty, niski mężczyzna, którego czasem widywała w barze. Milford prowadził interesy w mieście i zdarzyło się, że tamtego

wieczoru siedział przy nich. Wood przepytął go w mniej więcej takim samym stylu co Whalena. A przynajmniej na początku.

- Zachowywała się histerycznie - powiedział Milford. Sansom wniósł sprzeciw, ten człowiek nie jest lekarzem.

Burkę podtrzymał.

- Czy słyszał pan odpowiedź pana Danse'a na te oskarżenia?

- Tak, słyszałem.

- Co powiedział?

- Coś takiego, że to wszystko jest jej zemstą za rozwód, że jest zła z tego powodu i wymyśla różne rzeczy. Powiedział, że jeśli chciała od niego więcej pieniędzy, to mogła przyjść i mu o tym powiedzieć i byłoby po problemie.

- A czy pani Danse zaprzeczyła, że chodzi o pieniądze?  
-Nie.

- Czy w którymś momencie rozmowy groziła panu Danse'owi?

- Tak. Słyszałem, jak mówiła, że jeśli kiedykolwiek zbliży się do Roberta, to go, kurwa, zabije. Tak właśnie powiedziała. Mówiła, że jest chorym człowiekiem i że jeśli zbliży się raz jeszcze do Roberta, to go, kurwa, zabije.

Odwrócił się w stronę sędziego.

- Przepraszam za moje słownictwo, Wysoki Sądzie.

- Nic się nie stało, panie Milford. Owen Sansom spojrział na nią.

- Kłamie - wyszeptała. - *Jezu, Owen, ja nigdy...!*

- W porządku - odparł.

- Świadek jest pański.

Sansom wstał powoli i podszedł do Milforda. Stał obok niego i przez chwilę po prostu patrzył. Wyglądał jak ktoś, kto spogląda na drzewo i zastanawia się, czy warto się na nie wspiąć. Lydia zamarła na krześle. Jak bardzo krzywdzące było

jego kłamstwo i czy może z nim walczyć? Wróciła myślami do ich rozmowy podczas lunchu. Wziął się w garść od tamtej pory. Ale wiedziała, że Sansom cierpi.

- Panie Milford, powiedział pan, że pani Danse nie zaprzeczyła, że chodziło jej o pieniądze, prawda?

-Tak.

- A czy zgodziła się z taką sugestią? -Nie.

- Czyli zignorowała uwagę dotyczącą pieniędzy?

- W sumie tak.

- I mówi pan, że groziła panu Danse'owi śmiercią? -Tak.

- A siedział pan na samym końcu baru, zaraz przy nich, więc wszystko pan słyszał?

-Tak.

- Wtedy już na siebie krzyczeli, tak? Czyli w gruncie rzeczy nie musiał się pan wysilać, by usłyszeć, co mówili?

- Tak, wszystko słychać było wyraźnie.

- Więc inni też powinni byli słyszeć groźby pod adresem pana Danse'a. Czy to rozsądne rozumowanie z mojej strony?

- Chyba tak. Tak sądzę.

Wydawało się, że Milford już nie czuje się pewnie, wstępuje na grząski grunt. Sansom dobrze to rozgrywał.

- Jest pan starym znajomym pana Danse'a, prawda?

- Tak, znamy się od wielu lat.

- A czy jest na tyle dobrym przyjacielem, by dla niego kłamać?

- Czy... aleja dla nikogo tutaj nie kłamię!

Milford nadymał się, pełen oburzenia. Sansom jedynie pokiwał głową.

- W porządku, panie Milford. Pytam, ponieważ krzywoprzysięstwo grozi karą pozbawienia wolności, ale zapewne jest pan tego świadom. I również zdaje pan sobie sprawę, że mogę wezwać na świadków inne osoby, które były w barze tamtego wieczoru i zapytać, co *oni* słyszeli. By się po prostu upewnić, gdyż jestem ciekaw, czy pani Danse faktycznie użyła słowa „zabiję”. Lecz zanim to zrobię, chciałbym mieć pewność, co pan słyszał. Bo może padło inne słowo, jak pan sądzi? Czy aby na pewno powiedziała „zabiję”?

Blef zadziałał. Mały człowieczek zaczął się niepokoić.

- Słyszałem... - odparł. - Jestem prawie pewien, że dokładnie to powiedziała.

Chciał się wymigać, ale Sansom nie miał zamiaru mu na to pozwolić.

- Prawie pewien? -Tak.

- Ale nie absolutnie pewien?

- Wie pan, padło wtedy wiele słów.

- Kto siedział tej nocy obok pana, panie Milford?

Poproszę o nazwisko.

- Nie znałem tej osoby, przykro mi.

- No to może ktoś, kto siedział niedaleko, na przykład kilka krzeseł dalej...

- Nie pamiętam.

- Nie znał pan *nikogo*, z osób, które były wtedy w lokalu? Ni żywego ducha? A co z Jakem Whalenem, barmanem? Zna go pan?

- Tak, ale... no Jake był przy barze, mógł to słyszeć albo i nie. Ale inni... nie wiem, nie zwracałem uwagi. Wpadłem na kilka drinków i tyle.



Sansom spojrział na niego z obrzydzeniem.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie - powiedział.

Tej nocy dopadł ją mrozący krew w żyłach strach. Ciągłe dźwięczały jej w uszach słowa Wooda i sędziego Burke'a.

*Czy zgodzi się pani z wyrokiem sądu, nawet jeśli jego decyzją będzie wznowienie odwiedzin na wcześniejszych, ustalonych podczas rozvodu zasadach?*

To oznaczało brak nadzoru.

To oznaczało ponowny gwałt.

I ona nie będzie mogła nic zrobić.

*Wszystko jest możliwe.*

Próbowała uspokoić się przy muzyce i lampce białego wina, mając nadzieję, że uda się jej zrelaksować, ale piosenki, których słuchała, jedynie otworzyły szerzej jej serce, poczuła się delikatna i uległa, a musiała być twarda, nieprzejednana. Nie powinna współczuć ani sobie, ani Sansomowi, ani jego żonie, a nawet Robertowi, ponieważ współczucie nie było odpowiedzią. Było nią zwycięstwo w tej sprawie.

Inna możliwość nie wchodziła w grę.

Wino ją odprężyło. Nalała sobie jeszcze jeden kieliszek i położyła się do łóżka. Leżała w półmroku, sącząc trunek i spoglądając przez okno na księżyc. Pościel łagodnie chłodziła jej nogi.

Jak mogło do tego dojść?

Czy naprawdę przez to przechodzą?

Kiedy zadzwonił telefon, nie zdziwiła się zbytnio. Jakby była to nieodłączna część odpowiedzi na pytania, które zadała przez chwilą samej sobie.

- Słucham?

- Nie poszło wam dzisiaj za dobrze, co? Jak myślisz, Lyd?

- Arthur, nie chce mi się z tobą gadać. Mam zmienić swój numer telefonu, czy co?

- Nie kłopot się tym, nie będę często wydzwaniał. Byłem jedynie ciekaw, a więc... jak sądzisz?

- Nie ma znaczenia, co ja sądzę.

- Ależ ma. Dla mnie.

- Dlaczego?

- Ponieważ, jeśli uważasz, że nie poszło wam dzisiaj najlepiej, możesz zrobić coś głupiego. Dlatego.

- Na przykład co, Arthur?

- Na przykład możesz zabrać Roberta i próbować uciec. Wiedz, że nie byłoby to mądre.

- Tak mówisz?

- Tak, i wiesz czemu? Bo musisz pracować, Liddy. Jesteś pielęgniarką, a pielęgniarki muszą się rejestrować. A więc nieważne, gdzie pojedziesz, nieważne, do którego Stanu ani jak daleko, bo cię znajdę. Rozumiesz? A kiedy cię znajdę, to wpakuję cię prosto do więzienia. Oto gwarancja tego, że nigdzie nie zwiejesz, wiesz?

- Cieszę się, że ty się cieszysz, Arthur. Nie masz nic przeciwko, że pójde już spać?

- Nie ma sprawy. Co masz na sobie, Lyd?

- Błachę falistą. Pierdol się. Rozłączyła się.

Telefon wyprowadził ją z równowagi. I nie chodziło tylko o jego końcową uwagę. *Czy naprawdę tak łatwo mnie rozszyfrować?* - zastanawiała się. Bo faktycznie myślała o ucieczce.

Ale porzuciła podobne rozwiązanie z powodów, o których mówił Arthur. Chodziło o pieniądze. Jeśli miałaby trochę grosza, już dawno by uciekła.

Miał rację, musiała pracować. A pielęgniarstwo było jedynym sposobem, by nie musieli biedować, tylko na tym się znała. Nie miała więc wyjścia, musiała biegać po sądach i liczyć na to, że wszystko skończy się po jej myśli, modlić się za to.

Czy naprawdę mogą być aż tak szaleni, by dać mu to, czego chce? Prawa do odwiedzin bez nadzoru?

A jeśli taki będzie wyrok, co ma zrobić?

Potrzebowała jeszcze dwóch kieliszków wina, by zasnąć.

Sen nie przyniósł odpoczynku, jedynie mnóstwo ulotnych wizji, których nawet nie zapamiętała.

Tych, z których nic nie wynika, które nie przynoszą żadnych odpowiedzi ani żadnych pytań.

Dwadzieścia trzy

## PRZESŁUCHANIE: DZIEŃ TRZECI

Zaczął się od przesłuchania dwóch świadków moralności, lokalnych biznesmenów, którzy nie powiedzieli wiele ponad to, że Arthur jest wiarygodnym partnerem w interesach i można na nim polegać. Stone i Sansom nawet nie zadali im pytania.

Potem wezwano matkę Arthura.

Lydia nie widziała Ruth od czasu rozwodu, z wyjątkiem Bożego Narodzenia, ale zdecydowanie za nią nie tęskniła. Stara założyła swoje najlepsze ciuchy - znowu podejrzewała, że wybrał je Arthur - lecz mimo to było w niej coś odpychającego, coś, co zawsze w niej wyczuwała, jakaś złośliwość, która wylewała się przez pory w jej skórze i roztaczała subtelny, acz wyraźny zapaszek.

No i była oczywiście całkowicie lojalna względem Arthura.

- Mój chłopak nie skrzywdziłby muchy - powiedziała. - Dla mnie to nonsens. I na pewno nie skrzywdziłby nikogo w *taki* sposób, to wam powiem. Mój Arthur miał przez te wszystkie lata więcej ładnych dziewczyn, niż można zliczyć na palcach rąk i nóg. Szczerze mówiąc, to mi się nawet myliły ich imiona.

- Dziękuję, pani Danse - powiedział Wood. - Nie mam więcej pytań.

- Panie Sansom?

- Nie mam pytań do świadka, Wysoki Sądzie.

Wyglądał dzisiaj lepiej, korzystniej. Nadal widoczne było zmęczenie, ale jakby trochę trosk go już opuściło.

- Ja mam kilka pytań do pani Danse, Wysoki Sądzie - powiedziała Andrea Stone. - Natury czysto formalnej.

- Proszę bardzo, pani Stone.

- Pani Danse - powiedziała - kiedy przyjechałam do państwa do domu, powiedziała mi pani, że jeśli sąd zdecyduje, że ani Arthur, ani Lydia Danse nie mają prawa do opieki nad Robertem, wystąpi pani o adopcję. Czy nadal zajmuje pani takie stanowisko, a wspiera panią pani mąż?

- Oczywiście.

- Rozumiem, że mąż się zgadza?

- Oczywiście.

- A czy zdecyduje się pani przestrzegać zaleceń sądu co do odwiedzin?

- Co ma pani na myśli?

- No cóż, założmy, że sąd wyda orzeczenie, iż Lydia Danse ma prawo do odwiedzin dwa razy w tygodniu, będzie mogła zabierać Roberta na wakacje oraz w wyznaczone weekendy, tego typu rzeczy. Czy zgodzi się pani na takie rozwiązanie?

- Oczywiście, przecież to jego matka. Bez względu na to, co o niej sędzę i co robi mojemu synowi.

- Przyjmijmy też, że sąd *ograniczy* prawo Arthura do odwiedzin. Na przykład sędzia zarządzi, iż może się on widywać z Robertem tylko pod nadzorem i zgodnie ze ściśle określonymi warunkami. A może zakaze wizyt całkowicie?

Ruth wahała się jedynie przez chwilę. Ale Lydia zastanawiała się, czy jako jedyna osoba na sali zauważyła ten chytry uśmieszek, który przez sekundę zagościł na jej twarzy i tak samo

szybko zniknął. Być może trzeba było widywać tę minę wiele razy wcześniej, by ją teraz dostrzec, a ona, a jakże, widziała.

- Cóż, muszę być szczerą - odpowiedziała. - Nie podobałoby mi się to. Nie byłoby to fair w stosunku do Arthura. Ale jeśli tak zdecydujecie, będzie moim obowiązkiem zastosować się do decyzji sądu. Tak bym zrobiła.

- Dziękuję, pani Danse. Nie mam dalszych pytań.

- Wzywam na świadka Arthura Danse'a, Wysoki Sądzie. Przyjrzała się mu, kiedy usiadł twarzą do sali na miejscu świadka. Czy, gdybym była sędzią, uwierzyłabym temu człowiekowi? Możliwe. Cholera, wyglądał dobrze.

Jego twarz nie wyrażała niczego poza powagą, inteligentną oceną sytuacji. Żadnej winy, żadnego wstydu. Żadnej nerwowości. Twarz człowieka, który nie pragnie niczego więcej oprócz oczyszczenia swojego imienia, załatwienia sprawy do końca i to raz na zawsze. Uznała, że Arthur minął się z powołaniem, kamery by go pokochały. Przez chwilę ich oczy się spotkały, ale nie odniosła wrażenia, by uciekał przed nią wzrokiem.

Wood szybko przeskoczył przez pytania wstępne, więc mogły zacząć się potoki kłamstw i półprawd.

- Panie Danse - powiedział - czy może nam pan swoimi słowami opisać, co wydarzyło się jedenastego stycznia tego roku?

- Tak. - Pochylił się do przodu. - Odebrałem syna z domu jego matki około południa. Zajechaliśmy na lunch do McDonalda przy dziewięćdziesiątce dwójce, Robert lubi kurczaka McNuggets, choć staramy się ograniczać jądanie tam, najwyżej raz, dwa razy w miesiącu. Zjedliśmy w samochodzie. Potem

pojechaliśmy do Ellsworth, niedaleko domu moich rodziców. Poszliśmy na polowanie. Kupiłem nową strzelbę - łamanego remingtona - i chciałem go wypróbować.

- Robert nie ma swojej broni, prawda?

- Nie. Jeszcze musi poczekać kilka lat, zanim rozważę danie mu broni do ręki.

Odpowiedzialny, rodzinny człowiek. A pewnie.

- Jak długo was nie było?

- Powiedziałbym, że jakieś dwie i pół godziny. Myślę, że było wpół do czwartej, kiedy wróciliśmy do samochodu. Jakoś tak. Widziałem, że Robert jest porządnie zmęczony, a udało mi się upolować królika, więc te kilka godzin w zupełności wystarczyło.

- A potem co zrobiliście?

- Miałem do załatwienia kilka spraw, więc wróciliśmy do mnie, Robert obejrzał film na HBO, a potem grał w jedną z tych gier Sega Genesis, które dla niego trzymam, a ja sam wypełniałem papiery. Myślę, że obaj straciliśmy poczucie czasu. Zobaczyłem, że było już piętnaście po szóstej i pomyślałem: o mój Boże, miałem go odwiedzić do domu piętnaście minut temu, będzie wściekła.

-Kto?

- Matka Roberta.

- Czemu pan nie zadzwonił, by powiedzieć, że będziecie później?

- Próbowałem, ale było zajęte. Więc zabrałem go do samochodu i zawiozłem do matki, jak najszybciej mogłem.

- Panie Danse, czy zauważył pan, by Robert czuł się źle, kiedy odwoził go pan do matki?

- Tak, był... podenerwowany. Jakby miał już dość samego siedzenia w samochodzie. Pamiętam, że wjechałem w głęboką

dziurę w jezdni, aż podskoczyłem i uderzyłem głową w dach, choć miałem zapięty pas. Popatrzyłem na Roberta, by zobaczyć, czy u niego wszystko w porządku. Miał dziwny wyraz twarzy, jakby coś go bolało. A też miał zapięty pas.

- Zapytał go pan, co jest nie tak? -Tak.

-I co odpowiedział?

- Powiedział, że wszystko w porządku, że po prostu niepokoił się, że jego mama będzie na niego zła i zbije go za spóźnienie. Zapewniłem go, że nie ma się o co martwić.

- Panie Danse, czy siedział pan z Robertem w jednym pokoju, kiedy pracował pan nad dokumentami?

- Nie, byłem u siebie w pracowni. Robert w salonie.

- Jak długo? Mniej więcej?

- Jakieś dwie godziny, może dłużej?

- Czy Robert wychodził z salonu i korzystał z łazienki?

- Tak. W moim domu, by przejść z salonu do łazienki, trzeba przejść przez pracownię. Przyszedł do mnie, gdy skończył się film. Zapytałem, co u niego. Powiedział, że dobrze. Potem dodał coś o morderczych klaunach z kosmosu. Śmialiśmy się z tego. Potem poszedł w kierunku łazienki, a ja wróciłem do pracy.

- A czy widział pan, jak *wychodził* z łazienki?

- Nie, właściwie to nie. Byłem zbyt skoncentrowany na tym, co wtedy robiłem.

- Panie Danse, czy wykorzystał pan seksualnie swojego syna?

- Nie, oczywiście, że nie.

-A czy *kiedykolwiek* wykorzystywał pan swojego syna? Seksualnie albo w jakikolwiek inny sposób?

- Boże, nie. Jestem zaskoczony, że w ogóle mnie pan o to *pyta*. Robert jest...



Zmarszczył czoło. Pochylił lekko głowę i pokręcił nią przecząco. Kiedy znów podniósł wzrok, w oczach miał łzy.

- Robert jest najważniejszą osobą w moim życiu - powiedział. - Nigdy bym go nie skrzywdził. Nigdy.

Ty draniu, pomyślała.

- Czy domyśla się pan więc, czemu Lydia Danse wysuwa podobne oskarżenia względem pana?

- Sprzeciw - powiedział Sansom. - To spekulowanie.

- Zezwalam na odpowiedź, panie Sansom. Myślę, że opinia świadka może być istotna.

- Jedyne, co przychodzi mi do głowy - zaczął Arthur - to uraza, którą do mnie żywi, że nasze małżeństwo nie wypaliło, nigdy mi tego nie wybaczyła. Nie chcę mówić, że jestem zaskoczony, byłoby to za mało powiedziane, bo myślałem, że nasz rozwód był przyjacielski. Ale widzę teraz, że jednak nie był. A przynajmniej nie z jej perspektywy.

Popatrzył wprost na nią, bez mrugnięcia.

- Lydia - powiedział. - Przysięgam, że mi przykro. Przepraszam.

- Sprzeciw - powiedział Sansom.

- Podtrzymuję - odparł Burkę. - Czy ma pan jeszcze jakieś pytania do świadka, panie Wood?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Panie Danse - zaczął Owen Sansom - przed chwilą powiedział nam pan, iż zauważył w samochodzie, że Robert zachowywał się, jakby miał dość siedzenia w aucie, a kiedy wjechał pan w dziurę, pomyślał pan, że to musiało być dla niego bolesne. Mam rację?

-Tak.

-A kiedy zapytał pan syna, czy wszystko w porządku, odpowiedział, że tak i że jedyne, o co się martwił, to kara ze strony jego matki za spóźnienie?

- Dokładnie.

-I uwierzył mu pan?

- Niby dlaczego miałbym nie uwierzyć? Tak, myślę, że mu uwierzyłem.

- Pomyślał pan, że faktycznie chodzi o jakąś *karę!* O karę *fizyczną!*

-Tak.

Widziała, że Sansom pocił się jak mysz i sędzia również to dostrzegł. Zdawała sobie sprawę z tego, ile wysiłku kosztuje go ta sprawa, zważywszy na to, co działo się w jego życiu osobistym, ale starał się, jak mógł, by poradzić sobie z przesłuchaniem.

- A czy nie uważa pan, że istnieje pewna różnica pomiędzy tym, jak wygląda osoba po prostu obawiająca się utraty jakichś przywilejów za, powiedzmy, spóźnienie, a ktoś odczuwający faktyczny, fizyczny ból?

- Spekulacja, Wysoki Sądzie. Mój klient nie jest ani lekarzem, ani wykwalifikowanym psychologiem.

- Podtrzymuję.

- Przeformułuję więc pytanie. Czemu tak prędko odrzucił pan możliwość, że odczuwany przez Roberta dyskomfort był fizyczny, skoro taka była pańska pierwsza myśl?

- Uwierzyłem w to, co mi powiedział.

- Zaobserwował pan możliwość fizycznego bólu u syna, a potem odrzucił takie rozwiązanie, powiedział sobie: w porządku, nie ma problemu, po prostu boi się, że matka ukarze go za spóźnienie. A więc odrzucił pan swoją pierwszą myśl,

ponieważ uwierzył pan w jego słowa. Czy tak było?

- Mój klient odpowiedział już na to pytanie, Wysoki Sądzie.

- Taka rozmowa wcale nie miała miejsca, prawda, panie Danse? Ani te pańskie „obserwacje”?

- Sprzeciw, to prowokacja.

- Podtrzymuję. Panie Sansom, proszę się pośpieszyć.

- Jakiego rodzaju papiery wypełniał pan tego dnia w swojej pracowni, panie Danse?

Arthur wzruszył ramionami.

- Rachunki. Faktury dostawcze. To, co zwykle.

- Czy były bardzo... zajmujące? Uśmiechnął się.

- Nie powiedziałbym, że były *zajmujące*. Raczej nudne, mozolne.

- Ale były wystarczająco zajmujące, że nie usłyszał pan, jak Robert wychodzi z łazienki. Wszystkie te nudne papierki przykuły całą pańską uwagę.

- Pewnie, że były nudne, ale jednocześnie wymagały koncentracji.

- Czy słyszał pan odgłos splukiwanej wody? Albo lecącej z kranu w zlewie? Otwierania lub zamykania drzwi łazienki?

-Nie. Nie bardzo.

- Ma pan u siebie drewniane podłogi, prawda? -Tak.

- Czy Robert miał na nogach buty? -Nie pamiętam.

- Rozmawiamy o pańskim korytarzu, prawda? -Tak.

- Co jeszcze tam pan ma?

- Słucham?

- Gdzie jeszcze można wejść z tego korytarza, do jakich pokojów?

- No jest tam wyjście na taras, na tyły budynku, a jeśli skreśli się za róg i pójdzie w drugą stronę, można wejść do jadalni, a z niej do kuchni.

-A więc nie może pan wiedzieć, że on faktycznie wychodził tego dnia do łazienki, prawda? Nic pan nie słyszał. Nic pan nie widział. Mógł pójść na taras, do jadalni, do kuchni.

- Przebierał nogami.

- Słucham?

- Przebierał nogami. Stał w miejscu i dreptał. Wie pan, tak robią dzieci, jak chcą iść do toalety.

- Czyli założył pan, że chce iść do łazienki, bo dreptał w miejscu?

-Tak.

-I nie powiedział pan tego wcześniej?

- Nie przyszło mi to do głowy.

-Amoże nie przyszło to panu do głowy wcześniej, bo to kolejne *kłamstwo*, panie Danse? Jak rozmowa z Robertem w aucie i pańskie obserwacje?

- Oczywiście, że nie.

- Czy Lydia Danse dała kiedykolwiek odczuć panu, czy też powiedziała cokolwiek na temat swojego niezadowolenia z warunków rozwodu przed tym incydentem?

-Nie.

- Czemu więc teraz miałyby mieć zastrzeżenia?

- Nie wiem.

- Panie Danse, zdaje pan sobie sprawę z tego, co grozi za krzywoprzysięstwo?

-Tak.

- Dobrze. Więc zapytam pana raz jeszcze. *Czy tego lub jakiegoś innego dnia molestował pan seksualnie swojego syna, Roberta Danse'a?*

- Pan posłucha...

- Tak albo nie. *Proszę odpowiedzieć.*

- Jeśli mi pan nie wierzy, proszę zapytać chłopaka. Zapyta pan Roberta. Nie molestowałem go. Zapytajcie Roberta.

Wood wezwał pozostałych adwokatów na rozmowę, wszyscy podeszli do ławy sędziowskiej. Cokolwiek mówili, trwało to dłuższą chwilę, a obecność Burke'a odbierała wszystkim pewność siebie. Wreszcie sędzia coś powiedział i prawnicy odwrócili się.

Kiedy Owen Sansom wrócił na swoje miejsce, kręcił z niedowierzaniem głową.

- Co? Co się stało? - zapytała go.

- Chcieliśmy wezwać na świadka panią Lydię Danse, Wysoki Sądzie - powiedział Wood.

- Oto co się stało - powiedział Sansom. - Spróbuj go nie udusić, okej? Zachowaj spokój.

Spokój nie był odpowiednim słowem, gdyż sparaliżowało ją. Ledwo mogła przypomnieć sobie, w jaki sposób udało jej się dojść na miejsce świadka, usiąść i wysłuchać upomnienia, że zeznaje pod przysięgą. Czowała, jakby ktoś założył jej wewnętrzną blokadę, włożył kij w tryby maszyny, która powinna dalej działać. Zamarła.

Wood nie tracił ani chwili.

- Powiedziała pani wcześniej - zaczął - że nie jest pewna, czy zgodziłaby się z wyrokiem sądu, który zezwoliłby moje

mu klientowi na bezwarunkowy dostęp do Roberta. Mówię o całkowicie normalnych prawach do wizytacji. Miała pani czas na przemyślenie tej kwestii i zastanawiamy się, jakie jest pani obecne stanowisko.

- Moje stanowisko? -Tak.

Nie była głupia, zewsząd migotały znaki ostrzegawcze. Wiedziała, do czego dążą i nie mogła uwierzyć, że sędzia Burkę na to pozwala.

*Ostrożnie*, pomyślała. Musi być jakiś sposób, by z tego wybrnąć.

- Moje stanowisko brzmi, że mój były mąż jest gwałcicielem

- powiedziała.

Wood wyglądał na wstrząśniętego. Było to sztuczne przedstawienie, pod sędziego. Ale pomyślała, że może dała mu swoją odpowiedzią pole do popisu. Może spróbuje go jednak wytrącić z równowagi.

- Czy to *słowo* pana w jakiś sposób niepokoi, panie Wood? Może preferuje pan coś w rodzaju „moralnie upośledzony”?

- zapytała.

- Świadek nie odpowiedział na pytanie, Wysoki Sądzie.

- Proszę udzielić odpowiedzi, pani Danse - powiedział Burkę. Nie zadziało. Będzie musiała spróbować inaczej, ale potrzebowała na to czasu.

*Myśl.*

- Przepraszam, Wysoki Sądzie. Czy może pan powtórzyć pytanie?

- Jakie jest pani stanowisko odnośnie otrzymania przez Arthura Danse'a nieograniczonego prawa do odwiedzin, jeśli taka będzie decyzja sądu? - wyrecytował Wood.

- Sądzę, że absolutnie nie powinien takiego prawa uzyskać i żaden sąd nie powinien go przyznawać. Pod żadnym pozorem.

- Ale jeśli tak by się stało, pani Danse?

- Nie wierzę, że tak będzie, panie Wood. -A jeśli?

- Pan Wood nęka świadka, Wysoki Sądzie! - powiedział Sansom.

- Oddalam. Proszę odpowiedzieć.

Opanuj się, pomyślała. Spróbuj jeszcze raz wyprowadzić go w pole, jeszcze jedna próba.

Buzowała w niej wściekłość, bała się, że wydostanie się na powierzchnię. *Wykorzystaj ją, ale opanuj się.* Daj popalić temu sukinsynowi.

- Panie Wood, prosi mnie pan - powiedziała - bym zgodziła się z decyzją, która da prawo znęcającemu się nad dzieckiem gwałcicielowi dostęp do ośmioletniego chłopca, który w dodatku jest moim synem. Czy tak? Nie rozumiem. Czemu pan to robi?

Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: *bardzo dobrze*, ale szybko się opamiętał. Westchnął dramatycznie.

- Pani Danse, pani były mąż, a mój klient, nie jest gwałcicielem, dopóki tak nie *uzna* ten sąd. Czy od początku tej rozprawy było to dla pani jasne?

- Tak, lecz myślę, że do tej pory dla pana powinny stać się jasne seksualne skłonności pańskiego klienta, prawda?

Wood odwrócił się w stronę sędziego i w geście bezsilności rozłożył ręce. -Wysoki Sądzie... Burkę pochylił się w jej stronę.

- Pani Danse - powiedział - kwestia, którą tutaj omawiamy, ma związek z poszanowaniem przez panią prawa. Pan Wood usiłuje dowiedzieć się, czy będzie pani działać zgodnie z decyzją sądu jako obywatel tego kraju i tego stanu, który podlega pewnemu prawu. Nie mówimy teraz o winie bądź braku winy pana Danse'a i nie rozstrzygamy, czy faktycznie wyrządził krzywdę pani synowi, czy jest winny, czy też nie. Chodzi o tę jedną sprawę. A więc nakazuję pani udzielić odpowiedzi na pytanie pana Wooda prostym tak albo nie. Czy będzie więc pani w stanie zgodzić się z decyzją sądu, bez względu na *to, jaka będzie ta decyzja!*

Nie zaczniesz krzyczeć, pomyślała, choć pragnęła tego z czystej frustracji. Nie będziesz płakać. Spojrzała na Owena Sansoma. Pomyślała, że nigdy wcześniej nie widziała człowieka tak zmęczonego, jej adwokat nigdy nie wyglądał tak smutno.

Popatrzyła na Andreę Stone. Jej oczy były zimne, czaiła się w nich wściekłość oraz współczucie - wściekłość na jawną niesprawiedliwość tego wszystkiego, a współczucie w związku z tym, co nieuniknione.

Zebrała się w sobie.

Jeśli teraz zawali, jeśli przegrają, będzie musiała znaleźć inny sposób.

- Nie, jeśli miałyby to doprowadzić do krzywdy Roberta. Jej głos był mocny, czysty i opanowany.

- Nie, Wysoki Sądzie. Nie, jeśli przez to będzie cierpiał mój syn.



Dwadzieścia cztery

## PRZESTĘPCY: JEDNYCH DA SIĘ POWSTRZYMAĆ INNYCH NIE

Była za piętnaście piąta. Duggan łyknął aspirynę na ból głowy, lecz niewiele to dało. Powinien od godziny siedzieć w domu z Alice i dziećmi. Leżałby na sofie w salonie, żona krzątałaby się wokół niego z gorącymi ręcznikami, z których zrobiłby sobie okład, obok stałyby filiżanki z herbatą, a obie dziewczynki zachowywałyby się nienagannie. Żona nie narzekałaby mu na zaległe spłaty kredytu i na długie godziny jego pracy. Alice była boska, kiedy się chorowało. Przeszła się na tryb macierzyński i nagle dostawało się wszystko to, o co się poprosiło.

Ale mógł sobie tylko pomarzyć.

Bo dzisiejsze aresztowanie to grubsza sprawa.

Facet nazywał się Elmo Lincoln - na pewno mamusia dała mu imię po Tarzanie, nie ma co do tego wątpliwości. Obrabował sklep przy drodze 3A, wpadł tam z bronią, kaliber 22, wycelował we właściciela, opróżnił kasę i kazał mu oddać kluczyki od auta. Wystraszony sprzedawca, sześćdziesięcioletni facet z okularami grubymi jak denka od butelek, włączył cichy alarm, o czym Elmo nie wiedział. Wyszedł na zewnątrz i odpalił samochód.

I zdał sobie sprawę, że nie potrafi nim jeździć.

Sklepiak miał Chevy z sześćdziesiątego trzeciego, w pełni i z uczuciem odnowionego.

Polakierowanego na wiśniową czerwień i wypucowanego, aż lśnił.

Z ręczną skrzynią biegów.

A Elmo nie potrafił obsługiwać ręcznej skrzyni biegów.

Wkurzył się na właściciela, wrócił do środka i zaczął na niego krzyczeć, że jest głupim chujem, bo jeździ samochodem starszym od siebie. Wiedział jednak, że facet ma drugie auto, *prawdziwe*, i na pewno jest gdzieś tutaj, kurwa, zaparkowane. Wywłókł więc gościa na parking i kazał mu pokazać, gdzie stoi samochód.

Elmo darł się na niego przez dziesięć minut, wymachując pistoletem.

Kiedy nadjechał Duggan, wystarczyło mu jedno spojrzenie na radiowóz, by rzucić broń w piach i poddać się.

- Mogłem zwiać - powiedział. Takiego chuja, pomyślał Duggan.

Duggan wypełniał papierki na tego frajera i walczył z tępym, pulsującym bólem głowy, rozmyślając nad klarownością myśli kryminalisty - *mogłem zwiać* - kiedy zadzwonił telefon.

- Mamy jeszcze jedno ciało - powiedział Whoorly.

- Kurwa mać. Gdzie?

- Caanan. Wyrzucił ją tym razem przy drodze, ale koroner twierdzi, że sposób działania sprawcy jest identyczny. Zgwałcona, waginalnie i analnie, w dłoniach miała dziury po gwoździach, pobita, przypalana...

-1 wbito jej zaostrzony kij w serce.

- Zgadłeś.

- Ten pojeb pomylił te dziewczyny z Drakulą. -Co?

-Nic. Czy ustalono już czas zgonu?

- Wczoraj w nocy. Między trzecią a czwartą rano. Chcesz dokumentację?

- Chcę dokumentację.

Odłożył słuchawkę i zastanawiał się, gdzie tej nocy był Arthur Danse.

Ciekawiło go też, jak idzie przesłuchanie w sprawie praw do opieki.

Może właśnie to go wkurzyło.

Odłożył na bok akta wspaniałego Elmo Lincolna od wybryków samochodowych. Zajmie się tym jutro. Druga sprawa nie mogła czekać.

Pogadał z pomocnikiem szeryfa i pojechał prosto do domu Arthura.

Arthur nie był zadowolony z wizyty. Otworzył drzwi, przewrócił oczami i zapytał:

- O co chodzi, Ralph? Miałem długi dzień.

- Nie jestem zainteresowany dniem, ale nocą, Art.

- To znaczy?

- Powiedz mi, gdzie byłeś ostatniej nocy, Art.

- Byłem w restauracji, siedziałem tam do jakiejś dziesiątej, a potem pojechałem do domu, pooglądałem telewizję i poszedłem spać. Dlaczego pytasz?

- Zgaduję, że byłeś sam?

- Obawiam się, że tak.

Duggan zapuścił żurawia do środka. Z tego, co widział, miejsce było porządnie wysprzątane, a umeblowanie niemal spartańskie.

- A może zaprosisz mnie na filiżankę kawy? Chętnie bym się napił.

- Innym razem, Ralph. Jak mówiłem, to był cholernie długi dzień.

- Pewnie. A jak idzie przesłuchanie?

- Dobrze.

- Musisz być naprawdę wściekły, co nie?

- Czemu?

- No wiesz, na żonę. Jak jej było? Lydia? Cholera, nie tylko na nią, ale ogólnie na kobiety. Ja bym się wściekał.

- Ważne, że wygramy.

- Myślisz?

- Tak mówi mój prawnik. Duggan uśmiechnął się.

- Wiesz, prawnicy zawsze tak mówią, pewnie ona słyszy to samo od swojego.

- Pewnie i tak. Ralph, naprawdę muszę iść. Poważnie. Jeszcze czeka mnie dzisiaj wizyta w restauracji.

-Rozumiem, jasne. Dobranoc, Art. Wpadnę do ciebie za jakiś czas.

Zamknął drzwi. Duggan słyszał, jak przekręca zamek.

Żadnego alibi. Ale też nie miał za co go zwinąć. Dobrego pretekstu do przeszukania mieszkania też nie miał. Jutro pogada z ludźmi w Caves, może go wywabi. A może nic nie wskóra. Na pewno jednak Danse zrobi się nerwowo, wściekły, a to już krok do potknięcia. Póki co był cholernym kozakiem i wychodziło mu to na dobre.

Pojechał w stronę miasta, domu, kanapy i Alice. Zauważył, że ból głowy minął.

Może myśl o Arthurze Danse za kratkami miała na niego kojący wpływ.

Zapalił Newport Lite. Mógł się założyć, że uda mu się rzucić fajki.

Lydię ze snu wyrwał krzyk.

*Robert*, pomyślała. Wyskoczyła z łóżka i była już w połowie drogi do drzwi, kiedy zorientowała się, że dźwięki te dochodziły z zewnątrz, nie z domu. Podeszła do okna.

W świetle księżycy zobaczyła kota i dwa psy, szare, odznaczające się na ostrej trawie. Kundle nie przypominały żadnej konkretnej rasy, były wielkie, ciężkie, przytłaczały kota swoim rozmiarem. Zwierzę było uwięzione między nimi, ale niedaleko rósł wysoki, niebieski świerk, na który mogło uciec. Kot syczał i orał powietrze pazurami, potem miauczał donośnie, usiłując dostać się do drzewa. Psy nawet nie szczekały, jedynie kłapały pyskami, chciały zabić i myślały o tym najzupełniej poważnie - skupiły całą swoją uwagę na kocie, co ją przerażało. Widziała ich otwarte szeroko oczy, błyszczące jak wypolerowane kamienie.

Otworzyła okno, chwyciła leżący na podłodze but, rzuciła nim w psy, krzyknęła: *Wynoście się stąd!* - ile miała sił w płucach i wcale nie czuła się głupio, że cisnęła pantoflem. Chciała jedynie, by kot przeżył. Na szczęście dobrze wycelowała, but trafił większego psa w grzbiet i przez chwilę wszystko zamarło poza kotem, który zaczął wycofywać się w stronę drzewa, w niemal zwolnionym tempie. Psiska jakby zastanawiały się, czy nadejdą skądś mocniejsze ciosy. Ale ani but, ani nawet jakiś kozak by nie pomógł. Musiała sięgnąć po coś większego.

Obok niej, na ścianie, wisiał oprawiony, angielski haft z cytatem z Biblii: *Pomnij jednak na Stwórcę swego w dniach swej młodości. Hannah East, lat 14, rok 1863.* Kupiła go jeszcze w Bostonie, kiedy była z Jimem. Zdjęła go ze ściany, wyjrzała przez okno, krzyknęła: *Spierdalać! Wynocha!* - i rzuciła samplerem, przymykając oczy, kiedy ramka przeleciała obok kota,

szkło rozprysnęło się tuż przed nim, a odłamki poleciały na wszystkie strony. Psy rozbiegły się, a kot wykorzystał okazję i czmychnął na drzewo. Wspiął się na górę i przykucnął na gałęzi. Spokojnie spoglądał w dół.

- Mamo? Co się...

Robert stał w progu, oczy miał wytrzeszczone niemalże jak tamten kot. Waliło jej serce.

Ale czuła się świetnie, wręcz wspaniale. Zaśmiała się. Pięknie, nareszcie zdobyła się na jakiś czyn, zrobiła coś dobrego. Coś, co miało znaczenie.

- Wszystko w porządku - powiedziała, uśmiechając się. - Właśnie uratowałam kotka za pomocą czyjejś pamiątki rodowej.

- Co to jest pamiątka rodowa?

- Chodź, zejdziemy na dół, pozbieramy resztki z trawnika i wszystko ci wytłumaczę przy kubku ciepłego kakao, dobrze? Zeszli razem po schodach.

Dwadzieścia pięć

## DZIEŃ CZWARTY: SPRAWIEDLIWOŚĆ

Wiedział niemal natychmiast, jak to się potoczy. Ona też, suka. Widział to po jej twarzy. W sali rozpraw panowała cisza, żaden szmer nie przeszkadzał sędziemu Burkowi w ogłoszeniu werdyktu miarowym, głębokim głosem. Jego słowom towarzyszył jedynie stukot palców stenografa.

Im dłużej Arthur słuchał, tym silniejszy się czuł.

- Nie mogę z absolutną pewnością stwierdzić, że faktycznie doszło w tym przypadku do molestowania seksualnego - mówił - pomimo słów doktora Hesslera o prawdopodobieństwie takiego czynu, podejrzeń doktora Bromberga i wątpliwości pani Danse. Świadcstwo złożone przez samego Roberta również jest niewystarczające. Chłopiec z problemami, a sędzę, że za takiego został uznany przez wszystkich, którzy mieli okazję z nim rozmawiać, mógł nieumyślnie, albo nawet i świadomie, sam siebie skrzywdzić. Wydanie innej opinii byłoby z mojej strony nadużyciem, gdyż nie dysponuję innymi dowodami, na przykład zeznaniem samego Roberta, w którym wyrazi się jaśniej i dobitniej, wyzna, że był przez ojca molestowany. Muszę też przyznać, że zaniepokoiło mnie zachowanie matki.

Spojrzał na Lydię.

- Pani Danse, przykro mi to mówić, ale uznałem, że działa pani wbrew dobru Roberta. Mamy dowody na pani histeryczne zachowanie, które zostało przez panią zmanifestowane klótnią w barze pani byłego męża i publiczne oskarżenie go na oczach wszystkich tam zgromadzonych. Co więcej, nadal rzucała pani oskarżenia pomimo braku jednoznacznych i wiarygodnych dowodów winy. W dodatku, by nadać wszystkiemu pozory autentyzmu, w ciągu jednego dnia objechała pani z synem prawnika, proktologa i psychologa oraz umówiła pani rozmowę z panią Stone. Wszystko to spowodowało paranoiczne podejrzenie, że pan Danse zrobił krzywdę pani synowi, czego ten nie potwierdził. Nie miała też pani po swojej stronie żadnych dowodów. Jeśli tak właśnie chce pani pomóc Robertowi, niech pani wie, że nie mogę się na to zgodzić. Martwią mnie konsekwencje takiego zachowania z pani strony. Jestem też *głęboko* zaniepokojony i zasmucony pani deklaracją o świadomym zamiarze nie-poszanowania prawa i odrzucenia decyzji tego sądu. Szczerze mówiąc, zastanawia mnie, jak ma pani zamiar wychować tego chłopca, zajmując podobne stanowisko. Stykam się ze zbyt wieloma młodymi ludźmi, którzy nie mają za grosz szacunku do prawa. Jest i zawsze było zadaniem systemu sądowego tego kraju szerzenie szacunku i poszanowania dla prawa stworzonego dla jego obywateli bez względu na to, jakie ono jest. Zaniedbałbym swoje obowiązki jako urzędnika sądowego, jeśli nie poruszyłbym tutaj tej kwestii. W efekcie, biorąc pod uwagę pani upór, jeśli chodzi o niedotrzymanie umowy dotyczącej odwiedzin pana Danse'a u syna bez nadzoru osób trzecich oraz brak jakichkolwiek dowodów jego winy, przenoszę prawo do opieki nad dzieckiem, Robertem Dansem, *na* pana Danse. Oczekuję, że trójka obecnych tutaj prawników opracuje



plan wizyt pani u syna i dostarczy mi go. I oczekuję również, pani Danse, że natychmiastowo dostosuje się pani do wyroku sądu albo uznam to za obrazę sądu, gwarantuję to pani. Koniec rozprawy.

Dźwięk sędziowskiego młotka brzęczał jej w uszach niczym grom.

*Był jak burza.* Nie do powstrzymania. Był jak wiatr, który zdmuchnął ich wszystkich, jakby byli jesiennymi liśćmi. Skończyło się nawet lepiej, niż się spodziewał. Uścisnął chłodną, gładką dłoń swojego prawnika i uśmiechnął się.

Jego syn znowu należał do niego.

Dwadzieścia sześć

## ZMIANA KURSU

- Nie zrobię tego, uciekam. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Szkoła jest zaraz za rogiem. Pojadę po niego i zabieramy się stąd.

Szli przez parking - Lydia, Sansom i Andrea Stone. Dzień był słoneczny i ciepły, ale i tak dłonie przemarzły jej do kości.

- Nie chcesz tego zrobić, Lydia - powiedział Sansom - uwierz mi. Na Boga, *aresztują* cię. Pójdiesz do więzienia. Myślisz, że sąd spojrzy na ciebie łaskawszym okiem i dostaniesz prawo do opieki nad Robertem, jeśli będziesz miała wyrok skazujący w papierach? Ryzykujesz, że nigdy więcej go nie zobaczysz.

- Posłuchaj - powiedziała Andrea Stone - mogę kupić nam trochę czasu. Pozwól mi złożyć apelację jako prawnik Roberta i jego opiekun *ad litem*. Mogę umieścić go na dzień albo dwa w domu zastępczym, a w tym czasie...

- *Domu zastępczym?*

- ... a w tym czasie pojadę do domu Arthura i przeprowadzę wnikliwe przeszukanie, na pewno *coś* znajdę, a jeśli będę musiała, to *wymyślę* powody, dla których Robert nie będzie mógł do niego przyjeżdżać. Możesz wynająć detektywa, niech poszuka na niego haków. Możemy to ciągnąć jeszcze przez długi czas, mówię ci.

- Ona ma rację, Lydia. Zróbmy to po naszymu. Zróbmy to zgodnie z prawem.

- Prawo cuchnie - odparła.

Doszła do samochodu i nerwowo gmerała kluczem w zamku, świadoma, że na nią patrzą, jakby się bali tego, co teraz zrobi. Cóż, sama się o to bała. I o Roberta.

Ucieknie, jeśli będzie musiała.

Będzie puszczać się na ulicach.

Pierdolić ich dobre intencje, byli częścią systemu, a system jest gówniany. System równał się zdradzie. Ale miała w rękawie jeszcze jednego asa.

- Jesteś pewna, że poradzisz sobie sama? Może cię odwieźć? - zapytała Andrea Stone.

- Tak, jest okej - odpowiedziała i przekręciła kluczyk w stacyjce. - Jadę do szkoły, po Roberta. Zadzwoń do was.

Kiedy zobaczyła go siedzącego przy swojej ławce przez szybkę klasowych drzwi, niemal się rozpląkała, mało brakowało, a zaczęłaby wariować. W sali było cicho, dzieci pisały test. Dochodziło do niej jedynie szuranie krzeseł i butów, to wszystko. Wzięła głęboki oddech i weszła do środka.

Uniósł głowę i spojrzał na nią, zdobyła się na uśmiech, a potem na ucho powiedziała o swoich zamiarach pani Youngjohn, która kiwnęła potakująco - próbując nie pokazać po sobie zdenerwowania, nie wypytywać o szczegóły. Nauczycielka podeszła do Roberta, powiedziała coś do niego i wskazała palcem matkę. Zebrał swoje książki, wstał cicho i podszedł do niej. Położyła mu rękę na ramieniu i wyszli razem za drzwi.

Wiedziała, że chciałby ją zapytać, o co chodzi, co się stało, ale nie śmiał. Nie tutaj. Coś, co kryło się w ciszy pustego ko-

rytarza, jakby nie pozwalało mu na zadanie pytania. Echo kroków ponaglało go do wyjścia na zewnątrz, gdzie będzie mógł porozmawiać. Poprowadziła go do samochodu.

Wydawało jej się, że zrobiło się jeszcze cieplej. Pociła się. Czula w sobie pustkę, obecność Roberta uspokajała ją, ale jednocześnie blokowała wszystkie jej emocje, poza świadomością, że w ogóle żyje.

Utkwił w niej swój wzrok.

Włączyła silnik i ruszyła z miejsca.

- Powiesz mi, o co chodzi? - zapytał, a w jego głosie usłyszała nie tylko gniew, ale i strach.

Nacisnęła hamulec, odwróciła się do niego i wyłączyła silnik.

- Sędzia powiedział, że będziesz musiał zostać ze swoim ojcem, Robert - powiedziała.

Nie widziała innego sposobu, jak mu to powiedzieć, poza bezpośrednim.

Próbowała się nie rozplakać i widziała, że on również z tym walczy. W samochodzie unosiło się napięcie, które niczym prąd elektryczny wędrowało między nimi, przekazywało niepewność i strach.

-Kiedy? Na jak długo?

Nie rozumiał, co chciała mu przekazać. Nienawidziła siebie za to, ale nie widziała innego wyjścia.

- Robert, sąd zdecydował, że będziesz musiał z nim zamieszkać.

Odskoczył, jakby wymierzyła mu policzek. Oparł się o drzwi auta, nie siedział już na fotelu, ale klęczał. Wyglądał, jakby został tutaj przez kogoś uwięziony.

-Nie!

-Robert...

- Nie chcę! Nie zmuszą mnie! *Czemu mi nie pomożesz?*

*A* teraz i *ona* płakała. Bo powiedział prawdę, nie pomogła mu wystarczająco.

- Robert, ja *nie mogę* ci pomóc, nikt nie może. Nie, jeśli nie powiesz, co on ci robił. Nie, jeśli dalej będziesz milczał.

- Powiem! Przysięgam, powiem! Nie *mogę* z nim mieszkać! Nie mogę!

Był przerażony. Napierał na drzwi, trząsał się, płakał.

Przesunęła się w jego stronę, wyciągnęła do niego ręce i objęła go, przytuliła, ukołysała. Nie dbali o lecące im z oczy łzy, choć czuła, że ma już od nich mokry dekolt. Otaczał ich charakterystyczny zapach łez. Minęła dłuższa chwila, zanim udało im się uspokoić.

Wyszeptała do niego:

- Czemu nie powiedziałeś tego wcześniej? Wiem, że kochasz tatę, ale...

- Nie kocham go. *Nienawidzę*.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, że mówi prawdę. -No to czemu...

- ... chciał cię zabić - wyszeptał w jej bluzkę.

Ścisnął ją mocno, przytulił się, jakby chciał się schować wewnątrz niej.

- Słucham? Możesz powtórzyć?

I wtedy wylał się z niego cały potok słów.

- Bo on miał tego królika, zabił go. Zerwał z niego skórę i odciął mu głowę, a potem łapy, i powiedział, że tak samo zrobi z tobą, jeśli ci o tym powiem, i ja wiedziałem, że on nie żartuje, że by ci to zrobił, bo cię *nienawidzi*, naprawdę cię nienawidzi, a teraz ci powiedziałem, i on...

- Hej - uspokajała go, przytulając.

Jego strach pachniał jak ozon, ledwo mogła oddychać, bo wreszcie dotarło do niej to, co właśnie usłyszała. Przytuliła go jeszcze mocniej.

A więc o to chodziło.

Mówił prawdę, kiedy twierdził w rozmowie z nią, a potem z Andreą Stone, że jego ojciec mu nie groził. On chronił ją, nie siebie. Nie ojca.

Przez cały ten czas robił to, co uznał, że musi zrobić. Chronił jej życie, choć był o krok od zniszczenia swojego.

- On mnie nie zabije, Robert - powiedziała. - Nie zrani mnie, ani nie robi nic złego ani mnie, ani tobie. Nieważne, co powiedział. Jest kłamcą i tchórzem, nigdy już nikogo nie zrani, nigdy.

Spojrzał na nią. *Chce mi uwierzyć*, pomyślała. I prawie - ale nie do końca - mu się to udaje.

- Wiesz, jak mocno cię kocham? - zapytała. - Wiesz, jaki dzielny jesteś? Kocham cię, Robert. I przebrniemy przez to oboje, razem, a potem co ma być, to będzie. Zobaczymy, kto co komu może zrobić, okej? Twardzielu?

Jego uśmiech nie był szeroki, ale dobrze, że w ogóle był.

Ona również się uśmiechnęła. Ponieważ teraz mogła coś zdziałać. Miała od czego zacząć.

Musi natychmiast skontaktować się z Owenem Sansomem i Andreą Stone.

Teraz wszystko uległo zmianie.

Zastawimy pułapkę.

Możemy pokonać drania. Możemy wygrać.

Dwadzieścia siedem

## TRANSKRYPCJA

- Zrobimy tak - zaczął Sansom, kiedy powiedziała mu o wszystkim przez telefon. - Pojedziemy teraz z Robertem do Concord. Znam jednego z tamtejszych psychologów policyjnych. Już rozmawiałem z Andream, ona zna jeszcze innego. Dokładnie w tej chwili ustala z nimi szczegóły. To dobrzy ludzie, Lydia. Damy mu porozmawiać z obydwojema, będzie musiał przejść przez to wszystko dwukrotnie, na dodatek nagramy to na wideo. Niech z *tym* powalczy Edward Wood.

- Boże. Dziękuję ci, Owen.

- Za godzinę będziemy gotowi. Nie spuszczaaj go przez ten czas z oczu, rozumiesz?

- Rozumiem.

Odwiesiła słuchawkę. Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że słońce schowało się za chmurą. Kolejny ciężki dzień dla Roberta, niezwykle ciężki. Ale ten dzień i tak stawał się dla niej coraz jaśniejszy i cieplejszy z każdą sekundą.

Concord, New Hampshire

3 marca, 1995

16:45

**Fragment transkrypcji rozmowy zarejestrowanej na taśmie wideo pomiędzy porucznikiem D.A. Sweeneyem, doktorem psychologii, z Sił Policyjnych Stanu New Hampshire i Robertem Philipem Dansem, lat osiem, zamieszkałym na 145 Cedar Street, Plymouth, New Hampshire.**

- Jak nazwałbyś tę część ciała, o tutaj? [Wskazuje na krocze szmacianej lalki]

- Siusiak. -Jak?

- Siusiak.

- W porządku. [Odwraca lalkę.] A jak nazwałbyś tę część?

- Tyłek.

- Powiedziałeś mi, że nie podobało ci się, jak tata cię dotykał. Możesz pokazać mi na tej lalce, gdzie cię dotykał? Co ci robił?

- Dotykał mnie tutaj [klepie się w pośladek, ignorując lalkę] tym [klepie swoje krocze].

- Możesz powiedzieć, co robił?

- Dotykał mnie tam swoim siusiakiem.

- Dotykał cię tam, z tyłu, swoim siusiakiem? I kto ci to robił?

- Mój tata.

- Twój tata. A jak się nazywa twój tata?

- Arthur Danse.

- I tylko twój tata tak robił? -Aha.

-Nikt więcej? -Nie.

- A co jeszcze robił? Możesz mi powiedzieć?

- No... to właśnie robił. Nic więcej.



- Jak on cię dotykał, Robert? Co masz na myśli, mówiąc „dotykał”?

- Wkładał mi go tam. Tam z tyłu.

- Wkładał? A gdzie dokładnie wkładał? Jakbyś nazwał tę część ciała?

- Tyłek [niemal bezgłośnie]. -Jak?

- Tyłek.

- Wkładał ci go w tyłek. A to coś było twarde czy miękkie?

- Twarde.

- Twarde. A czy to cię bolało? -Tak.

Dwadzieścia osiem

## DOBRE WIEŚCI I ZŁE WIEŚCI

- Nie możemy go puścić z panią.

Porucznik Sweeney zapalił papierosa i wypuścił dym z ust. Stali w szarym korytarzu pod pokojem, w którym przeprowadzono rozmowę z Robertem. Chłopiec nadal siedział w środku, widziała, jak mówi coś do Cindy, która zgodziła się przyjechać i udzielić potrzebnego, moralnego wsparcia.

- Co ma pan na myśli, że nie możecie go ze mną puścić? - powiedziała.

- Cholera, tego się obawiałem - powiedział Sansom. Spojrzał na Andreeę Stone, która westchnęła i pokręciła głową.

- Dzwonił do was Edward Wood, prawda?

- Zgadza się - powiedział Sweeney. - Przypomniał nam, że chłopiec, zgodnie z decyzją sądu, znajduje się pod opieką ojca i matka nie ma żadnego prawa do przebywania z nim.

- *O czym pan mówi?* - zakręciło jej się w głowie.

Czuła się, jakby spadała do nory białego królika z Krainy Czarów. *Czy to się kiedyś skończy?*

- Wie pani, nie ma opcji, byśmy przekazali go ojcu. Nie po tym, co usłyszeliśmy. Ale nie mogę go również puścić z panią,

pani Danse, choć bardzo bym chciał. Przepraszam. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to umieścić Roberta w ośrodku na kilka dni, aż sędzia zapozna się z materiałem dowodowym.

- Ośrodku? Jezu! Czy nie przeszedł już dość?

- Tylko na kilka dni. Obiecuję, to nie potrwa długo.

- Chryste. W całym swoim życiu spędził dwie noce poza domem, a co dopiero mówić o ośrodku.

- Proszę się nie martwić, pani Danse, te miejsca to nie gniazda węży.

- Czy będę mogła go widywać?

- Kiedy tylko pani zechce.

- A czy *Arthur* będzie mógł do niego przyjeżdżać?

- Tylko pod nadzorem. Zadbam o to. Spojrzała bezsilnie na Sansoma i Andreę Stone.

- Czy jest coś, co...

- Takie jest prawo, pani Danse - powiedział delikatnie Sweeney.

*Prawo.* Zaczynała nienawidzić tego słowa.

Nagle poczuła zmęczenie. Usiadła na drewnianej ławce naprzeciwko okna. Widziała, jak Robert uśmiecha się do Cindy, pewnie powiedziała mu coś zabawnego. Jej obecność była naprawdę pomocna.

- Dajcie mi minutę, dobrze? Jedną chwilę. Chcę tutaj posiedzieć przez moment. Potem wejdziemy tam i... i mu powiem.

- Nie śpiesz się. Pójdziemy po kawę - powiedział Sweeney. - Jeśli będzie pani czegoś potrzebować, będziemy zaraz za rogiem.

- Dziękuję. Jest pan... bardzo miły.

Psycholog skrzywił się. Na pewno również zmagał się w tej sytuacji z własnymi uczuciami i nie czuł się zbyt miło.

Ona zresztą też nie.

*Arthur*, pomyślała, *będziesz musiał za to wszystko zapłacić*. Jeszcze cię to zaboli. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek spotka go kara. Wielu jej uniknęło.

- Wyraźnie potwierdził, że odbyłeś z nim stosunek analny i to wielokrotnie. Również w tamto popołudnie - powiedział Wood. - Opisał wszystko szczegółowo. I o co chodzi z tym królikiem?

Arthur ścisnął słuchawkę telefonu, jakby chciał złamał ją na pół. Czuł ulgę, że Wood nie stał obok niego i nie widział twarzy, której odbicie oglądał teraz w lustrze jego biura. Woodowi nie spodobałby się ten widok.

- Kłamie - powiedział.

- Nie ma znaczenia, czy kłamie. Chodzi tylko o to, czy psychologowie, a potem sędzia mu uwierzą. Mój człowiek z posterunku mówił jednak, że to wszystko brzmiało wiarygodnie.

- Chryste! Co teraz zrobimy?

- Poczekamy. Zdobędę kopię taśmy, byśmy mogli ją obejrzeć. Za kilka dni odbędzie się kolejne przesłuchanie, wtedy zobaczymy, czy sędzia chce zrewidować swoją decyzję. Tylko adwokaci będą przy tym obecni. Będę starał się przeforsować, że twoja żona przymusiła Roberta do tego zeznania. A jeśli po obejrzeniu taśmy uznam, że mogę to w ogóle zrobić, spróbuję zarzucić psychologom manipulowanie rozmową. Porozmawiam z Robertem i zobaczę, czy może uda mi się go namówić do odwołania swojego oświadczenia. Wtedy zobaczymy, co dalej. Za to ty powinienesz do niego jechać i się z nim spotkać, będzie to dobrze wyglądało. Jutro z samego rana zatelefonuję

z pytaniem o adres tego ośrodka. Spróbuj się trochę przespać, Arthur. Dzisiaj rano wyglądałeś w sędzie paskudnie. Bez obrazy.

Życzył mu dobrej nocy i odłożył słuchawkę. Pewnie, pojedzie do niego. Odwiedzi małego gnoja. A jak już to zrobi, ten jebany kurdupel będzie żałował, że w ogóle się odezwał.

Dwadzieścia dziewięć

## NOC W LESIE

Przydarzyło jej się to tylko dlatego, że postąpiła właściwie.

Impreza trwała od dziewiątej do drugiej w nocy i do tej pory zdążyła już się trochę wstawić, pomimo że sączyła jedynie białe wino. Uznała, że wypła za dużo, by się za kółko. Nie przywykła do alkoholu, a ponieważ przyszła tutaj sama i, jak zwykle, wychodziła sama, zdecydowała, że lepiej i mądrzej będzie pójść do domu na piechotę. Kiedy przeszła już połowę drogi, a w zasięgu wzroku nie było ani żywego ducha, podjechał do niej mężczyzna w dużym, czarnym samochodzie. Jechał na północ, zatrzymał się, wyszedł z auta, zrobił kilka kroków, wycelował w jej stronę broń i kazał jej wsiadać do środka.

Do tej pory zgwałcił ją dwukrotnie, mierząc do niej z pistoletu. Marge Bernhardt błagała o życie.

Choć co to było za życie.

Zdawała sobie z tego sprawę.

Cztery miesiące temu mężczyzna, którego miała poślubić, został zamordowany w swoim samochodzie. Uderzył w niego pijany, sześćdziesięcioletni kierowca. Nie myślała o tym jak o wypadku, uważała, że było to zabójstwo. Dean pracował jako elektryk, zarabiał sporo, myśleli o dzieciach. Dwójce, może

trójce. Rozglądali się za domem. Nie mogła się pozbierać po tej tragedii. Jej życie składało się z pracy u Danny'ego, siłowni w wolnym czasie i trzech kotów, Bestii, Vinniego i Zoey, oglądania telewizji i czytania książek.

Nie chodziła na randki. Nie imprezowała. Decyzja o pójściu na urodzinowe przyjęcie do Mary, która kończyła ćwierć wieku, to był wyjątek, akt dobrej woli podparty wieloletnią przyjaźnią, silną i drogą jej sercu. Mary niosła jej pocieszenie, dzięki niej pozostawała przy zdrowych zmysłach, o co było ciężko po nocy, kiedy zobaczyła poczerńiałe ciało Deana, niemal przecięte w pół przez wgniecione drzwi jego mazdy z 1994 roku.

Co to za życie - ale przecież mogło się kiedyś zmienić, pewnego dnia, a teraz stawało się nicością, tak jak Dean tamtej nocy. Zaczynała rozumieć, co to oznaczało i dlatego błagała.

Przywiązał ją do pnia dębu, każdy nadgarstek osobno, w dodatku kawałki sznura różniły się długością i przytroczył jej ręce do gałęzi nierówno, musiała stać na palcach, a jedyne, o czym potrafiła myśleć, kiedy patrzyła na niego, to: *proszę, proszę, proszę*. Przechadzał się tam i z powrotem w świetle księżyca, spoglądał co chwila na nią, szukając czegoś w saszetce zawieszanej przy pasku. Pistolet spoczywał w jego kieszeni, ale już go nie potrzebował. W ręce trzymał nóż.

Odciął gałąź wyrastającą z pnia nad jej głową, odarł ją z liści okutaną w rękawicę dłonią. Rękawiczki również wyciągnął z saszetki.

Podszedł do niej i odpiął górny guzik jej bluzki za pomocą ostrza. Nawet nie zdjął jej ubrania, jedynie przeciął majtki i zgwałcił. Bielizna leżała przed nią, na ziemi, niczym plamka śniegu świecąca pod księżycem.

Nawet nie zdjął jej reeboków.

Potem oderwał resztę guzików i rozciął materiał z tyłu. Naciął rękawy i zerwał z niej bluzkę. Czują zimny czubek noża sunący po jej odsłoniętych ramionach. Kiedy nie miała na sobie ubrania, poczuła, zimne, nocne powietrze dmuchające wprost na jej nagą skórę, przez co trzęsła się jeszcze bardziej.

Zabrał się za jej spódniczkę. Rozpiął suwak i pociągnął w dół. Cofnął się o krok i popatrzył na nią. Zamachnął się gałęzią i uderzył ją. Raz. Drugi.

Słyszała jej świst.

Położył gałąź na ziemi i ponownie sięgnął do saszetki, tym razem wyciągnął dwa kawałki białego materiału. Zwinął jeden z nich i podszedł do niej.

- Otwieraj - powiedział. Pokręciła głową.

- Proszę - odpowiedziała. - Nie.

Sama myśl o kneblu przerażała ją. Jeśli nie będzie mogła do niego mówić, nie będzie też mogła go powstrzymać. Nie mogła mu na to pozwolić.

- Otwieraj! - krzyknął, przystawił nóż do stanika i, bezbłędnie znajdując twardość jej sutka, nacisnął.

Ból był przeszywający. Oblizwała wargi i otworzyła usta, czując słony smak łez spływających po jej policzkach.

Wcisnął szmatkę pomiędzy jej zęby i przewiązał ją jeszcze jednym kawałkiem materiału w podwójny węzeł, łapiąc długie, cienkie kępki jej włosów.

Ponownie włożył rękę do saszetki. Usłyszała cichy brzęk, kiedy wyciągnął coś stamtąd i przełożył do przedniej, prawej kieszeni kurtki. Obrócił się i włożył też coś do tylnej kieszeni. Potem podszedł bliżej.

Sięgnął po jeden z więzów. Zobaczyła, że odwiązuje jej pra-



wą rękę. Używał dziwnego wiązania, kryła się w tym jakaś sztuczka. Wcześniej napierała nadgarstkiem z całych sił na sznur, aż rozboleła ją ręka, a on tylko pociągnął za niego i od razu się poluzował.

Ręka jej drżała od przywróconego nagle krążenia, wydawało się, jakby do całego ciała wróciło życie. Przed oczami wirowały jasne, żółte plamki, które odznaczały się na tle lśniącej ciemności. Kiedy odzyskała wzrok, zobaczyła, jak napastnik wyciąga coś z kieszeni, ale nie widziała dokładnie co, bo trzymał to w ręce. Złapał ją za nadgarstek i przycisnął jej rękę do szerokiego, grubego pnia dębu. Poczowała coś ostrego na swojej dłoni. Trzymał ją w mocnym uścisku, nie mogła się ruszyć nawet o centymetr.

Poczowała falę promieniującego bólu, rozchodzącego się od środka dłoni, kiedy sięgnął do tylnej kieszeni i zrozumiała, co ma zamiar zrobić. Wiedziała, co zamierza.

- Nie! - krzyknęła przez knebel.

Kiedy młotek opadał w dół, z całej siły ruszyła ramieniem w bok. Jej ręka poruszyła się zaledwie o kilka centymetrów i twardy gwóźdź zdołał przebić delikatny płat skóry pomiędzy jej czwartym i piątym palcem i wbił się głęboko w pień.

Słyszała, jak przeklina i zobaczyła, że sięga do kieszeni po kolejny gwóźdź.

Innej szansy niż ta nie dostanie.

Krzyknęła i oderwała rękę od drzewa.

Skóra puściła z zadziwiającym, przerażającym oporem. Wiedziała, że krwawi z rany. Złapała chropowatą gałąź i podciągnęła się. Obróciła się i kopnęła go, kiedy nadal gmerał w kieszeni za drugim gwoździem. Poczowała radość i ulgę, kiedy trafiła mocno w jego klatkę piersiową obutymi stopami. Bała

się jeszcze bardziej niż wcześniej, pomimo tych okropności, które ją spotkały, bo teraz pojawiła się nadzieja.

Sięgnęła śliskimi od krwi palcami do sznura i rozwiązała go dokładnie w ten sam sposób, w jaki on zrobił to wcześniej.

I nagle była wolna.

Zobaczyła, że jej kopnięcie posłało go w zagajnik białych brzózek rosnący nieopodal. Upadł i próbował wstać, ale wpadł na pniak jednego z drzew i nie mógł znaleźć odpowiedniego punktu podparcia, by móc się czegoś złapać i podciągnąć do góry.

A może udało jej się go zranić. Może był skołowany.

Zyskała kilka cennych sekund i mogła wziąć nogi za pas.

Nie wiedziała, w którym kierunku ma biec, ale nie miało to znaczenia. Była młoda, on nie. Miała po swojej stronie strach, on nie. Dotrze do jezdni albo znajdzie jakieś schronienie, ale w każdym razie nie złapie jej. Nie tym razem.

Nie Marge Bernhardt.

Miała zbyt wiele powodów, by żyć.

Zignorowała ból, zimno i krew i puściła się sprintem w gęsty, skąpany w mroku las.

Trzydzieści

## ODWIEDZINY, CZĘŚĆ CZWARTA

Pod pewnymi względami nie było tak źle, jak się tego spodziewał.

Ale z drugiej strony, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że to wszystko dzieje się naprawdę, nie było już tak różowo.

Ośrodek nie miał wiele wspólnego z więzieniem, jak sobie to wyobrażał. Wyglądał raczej jak zwykły dom, chociaż był starszy i większy od każdego, jaki w życiu widział. Zbudowano go przy cichej, porośniętej drzewami ulicy, gdzieś na wzgórzach, za miastem. Przed ośrodkiem rozciągał się duży trawnik, z tyłu rósł zagajnik. Gdyby nie wysoka siatka okalająca budynek, można by pomyśleć, że ktoś tutaj mieszka, że nie zagnieździły się tu pokręcone dzieciaki, czekające na to, co przyniesie im los. W środku, na pierwszym piętrze, znajdował się przestronny, wygodny salon z dawno już nieużywanym kominkiem, kuchnia i jadalnia z ogromnym stołem. Wyżej mieściły się cztery sypialnie, w każdej mieszkało sześciu chłopców, po dwóch na piętrowe łóżko.

Za współlokatorów Robert miał swoich rówieśników, nie licząc Williego jakiegoś tam, który był naprawdę małym dzieckiem i miał łóżko pod nim, i Davida Foscha, dwa lata starszego. A więc było w porządku.

David miał się za twardziela, ale nie kozaczył, nie rozpychał się łokciami, ani nic z tych rzeczy. Robert martwił się jednak o dzisiaj. Jego pierwsza noc tutaj. *A co, jeśli znowu zabrudzi pidżamę?*

Nie zdarzało mu się to *każdej* nocy, dzięki Bogu, nie odkąd przestał widywać się z tatą, ale nadal problem występował w miarę często, więc co będzie, jeśli zesra się w majtki w środku nocy, wszyscy to poczują i się obudzą, co wtedy będzie, *Jezu!*

Wszyscy się dowiedzą.

I zastanawiał się, jak będzie *zachowywał* się wtedy twardziel David Fosch.

Pani Strawn i pan McKenzie mówili, że wszyscy będą mieli codzienne obowiązki, a tego popołudnia jego zadaniem było obranie marchewek i ziemniaków na kolację. Pokazali mu, gdzie co jest, rozpakował się i rozgościł w swoim pokoju. Kiedy tylko jego mama wyszła z ośrodka z panem Sansomem, pani Strawn wręczyła mu obieraczkę.

Nie miał nic przeciwko temu, było chociaż co robić.

Ale nie szło mu to zbyt dobrze.

Ciągle miał w pamięci płaczącą matkę, która wychodząc, próbowała się uśmiechnąć. Pan Sansom wyprowadził ją, trzymając rękę na jej ramieniu. Na samą tę myśli i *jemu* chciało się płakać, ponieważ *ona* płakała, czyżby znowu bała się o niego?

*Przecież powiedziałem, pomyślał.*

*Powiedziałem o tacie. Czy dlatego to się dzieje?*

Martwił się o dzisiejszą noc. Myślał o pójściu do łóżka, śnie i... tym, co może się stać.

Zastanawiał się, co się z nim stanie, jak długo tutaj będzie, czy dzieciak albo dzieciaki będą się go czepiać, kiedy do *tego* dojdzie. Bo prawie na pewno dojdzie.

Powiedzieli, że to na dzień albo dwa.

Nie był przecież głupi. Wiele się może wydarzyć przez te dwie doby.

Wszystko to, czego się obawiał.

No i obieranie nie szło mu najlepiej. Drażył dziury w ziemniakach, próbując wydłubać ciemne plamki i odłamywał cienkie końcówki marchewek.

Warzywa pachniały nieźle. Jak dom, jak jego własna kuchnia.

*Kiedy?* - pomyślał. *Kiedy mnie stąd zabiorą?*

Przez kuchenne drzwi słyszał dzieci bawiące się na trawniku za budynkiem, słuchał krzyków i śmiechów. Chociaż tyle dobrze, że pozwalano tutaj na radość. Skoro ktoś mógł, to i może on również. Kiedyś.

Od kolacji dzieliło go jeszcze kilka godzin.

Zastanawiał się, czy kiedy skończy, będzie miał na tyle odwagi, by wyjść na zewnątrz i przyłączyć się do zabawy.

- Robert?

Pani Strawn stała w progu. W jej włosy wkradała się siwizna. Na nosie miała grube okulary w czarnych oprawkach, a jej biodra i brzuch były zbyt pulchne, ale wydawało mu się, że jest całkiem miła.

- Masz gościa - powiedziała. - Umyj ręce, dokończysz później.

Zrobił, jak mu kazano i wyszedł z kuchni, idąc za nią korytarzem aż do salonu.

Usiadł w fotelu, tyłem do drzwi, więc nie widział, jak wchodzili. Robert dostrzegł jedynie głowę i ramiona gościa, ale po-

znał go od razu, jeszcze zanim się do niego odwrócił. Ale kiedy to zrobił, zobaczył, że jego ojciec się uśmiecha.

Coś było nie tak. Poczul obezwładniający strach.  
*Dlaczego się uśmiechał?*

Czy nie wiedział o niczym?

Wstał.

- Cześć, Robert - powiedział.

- Cześć - zdołał wydukać tylko to jedno słowo.

- Przepraszam, panie Danse - powiedziała pani Strawn. - Ale, jak pan wie, będę musiała tutaj z wami zostać.

- Oczywiście, rozumiem. Chciałem jedynie wpaść i się przywitać, zobaczyć, jak Robert sobie radzi - rzucił i uśmiechnął się ponownie, tym razem szerzej. - Całkiem przyjemne miejsce, pani Strawn. Nie domyśliłbym się... ilu chłopców tutaj mieszka?

- Na tę chwilę dwudziestu jeden. Mam trzy wolne łóżka. Pokiwał głową, jakby nie mógł w to uwierzyć.

- No to ma pani niezły okręt do sterowania - powiedział. - Niesamowite.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję, staram się. Odwrócił się do Roberta.

- No i co tam u ciebie, synu? Wiem, że jest to... dla ciebie duża zmiana. Bóg jeden wie, jak duża. Domyślam się, że to niełatwe, wiem, że to niełatwe.

- Jest... jest w porządku.

- Naprawdę?

Kiwnął głową. Po co on o to pytał? Czy naprawdę go to obchodziło? Co on tutaj robił? *Czy nie wiedział!*

- Mogę coś dla ciebie zrobić?
- Nie. To znaczy... nie, dziękuję.
- Może coś przywieźć? Masz swojego Gameboya? Jakieś gry?

Ponownie kiwnął głową. Zauważył, że jego ojciec skrobie palcem wskazującym swój kciuk. Poza tym wyglądał na całkowicie spokojnego, jakby nic nadzwyczajnego się nie działo. Dziwne. Zachowywał się, jakby to zdarzało się codziennie, jakby odwiedzał swoje dziecko w ośrodku każdego dnia.

- Cóż, jeśli uznasz, że jest coś, czego potrzebujesz, możesz do mnie zadzwonić. Może korzystać z telefonu, prawda, pani Strawn?

- Obawiam się, że nie, panie Danse. Rachunki by nas zrujnowały. Pan będzie musiał dzwonić do nas. A z powodu decyzji sądu... - wyglądała na nieco zakłopotaną - z powodu decyzji sądu będę musiała również słuchać rozmowy. Mam nadzieję, że pan rozumie.

Wyglądał, jakby zignorował ostatnie słowa.

- Tak, rozumiem - powiedział. Dwudziestu jeden chłopców faktycznie dzwoniłoby bez przerwy. A więc ja zadzwonię. Czy są jakieś konkretne godziny rozmów?

- Oby nie przed dziewiątą, proszę. I nie po dziewiątej wieczorem.

- Oczywiście, żaden prob... o, *cholera*.

Uniósł w górę kciuk, obrócił rękę i przykrył drugą dłońią. Leciąca mu krew, szybko i obficie, spływała po nadgarstku.

- O mój Boże!

- Czy mogłaby pani powiedzieć mi, gdzie jest łazienka, pani Strawn? Przepraszam... dzisiaj rano zraniłem się, wyjmując nowe ostrze do maszynki z opakowania, nie sądziłem, że jeszcze...

Pokazała palcem na korytarz.

- Pierwsze drzwi po lewej.

- Czy mogłaby mi pani coś przynieść... może jakiś papierowy ręcznik? A może ma pani jakąś apteczkę?

- Zaraz wracam.

Pobiegła w kierunku kuchni. Ojciec Roberta zrobił krok, niby idąc do łazienki, ale zatrzymał się i odwrócił. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i owinął wokół palca. Podszedł do syna, wyciągnął rękę i chwycił go za ramię, mocno ściskając biceps, z jego twarzy zniknęła swoboda, zastąpiła ją wściekłość, jakiej Robert nigdy u nikogo nie widział, nigdy.

*Skrobał swój palec.*

Robert widział, jak to robił.

Tylko po to, by zostać z nim *sam na sam*.

Próbował się wyrwać, ale Arthur trzymał go zbyt mocno.

Chciał krzyknąć, by przyszła pani Strawn, ale głos uwiązł mu w gardle, a potem wyszeptane przez ojca słowa uderzyły w niego jak silny, złowieszczy wiatr.

Wysyczał mu do ucha:

*Myślisz, że jestem, kurwa, głupi? Powiedziałem ci, co zrobię, a teraz naprawdę to zrobię, chyba że przyznasz się do kłamstwa. Myślisz, że tego nie zrobię? Naprawdę chcesz mnie wkurwić? Jeśli nie powiesz im, i to szybko, że kłamałeś, zedrę z twojej pierdolonej mamusi skórę żywcem, a potem przyjdę po CIEBIE! Rozumiesz?*

Ścisnął go raz jeszcze, a potem puścił, dokładnie w momencie, kiedy przeszło mu przez myśl, że jego ramię już więcej nie wytrzyma, że zaraz się złamie. A potem Arthur pobiegł do łazienki.

Robert słyszał wodę lecącą z kranu.



Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Siadł, drżąc, na kanapie. Wręcz zatopił się w niej.

Pani Strawn wróciła z kuchni z kilkoma papierowymi ręcznikami i apteczką pierwszej pomocy i nawet na niego nie spojrzała. Poszła do łazienki, znowu usłyszał lejącą wodę i głosy pogrążone w rozmowie.

*Nikt nie mógł go ochronić.*

Wreszcie to zrozumiał.

Jego ojciec mógł zrobić wszystko, co tylko zechciał, jemu i jego matce, zawsze potrafił ich wyrolować, kiedy tylko chciał i nie dbał o nikogo poza sobą. Mógł wszystko.

Ale tylko on o tym wiedział.

Nieważne, co mówiła mu mama, był sam.

Kiedy wyszli z łazienki, jego ojciec znowu się uśmiechał. Miał obandażowanego kciuka, który wyglądał jak uniesiony w radosnym geście. Pani Strawn również się uśmiechała, kompletnie nabrała się na jego sztuczny wyraz twarzy i tę zaimprovizowaną, poranną ranę, którą zadał sam sobie, by dobrać się do syna.

- Wszystko gra - powiedział. - Raz jeszcze dziękuję, pani Strawn. Miło z pani strony. Muszę już iść, Robby. Ale obiecuję, będziemy w kontakcie, okej?

Robert wiedział, że będą. O tak, będą w kontakcie. Zawsze i na zawsze.

Już na zawsze zawsze.

Trzydzieści jeden

## CIEŻAR DOWODÓW

- Do ciebie - mruknęła Cindy i przekazała jej słuchawkę.
- Owen Sansom.

Podeszła do telefonu, a Cindy wróciła do swoich zajęć. Przygotowywała jednocześnie potrawkę z kurczaka, zielony groszek i makaron, sprzątała z kuchennego stołu porozrzucane przez Gail zabawki i książeczki i sączyła kolejną butelkę piwa Miller Lite.

- Tak myślałem, że cię tutaj złapię - powiedział Sansom.
- Lydia, wybacz, ale muszę ci o tym powiedzieć. Robert odwołał zeznania.

- *Co* zrobił?
- Odwołał zeznania.
- Boże, *nie!*

Cindy zamarła z brytfanną w rękach i gapiała się na Lydię.

- Przed chwilą rozmawiałem z Andream Stone. Pół godziny temu zadzwoniła do niej Lois Strawn z ośrodka. Robert powiedział jej, że wszystko, co opowiedział policjantom było kłamstwem. Że wszystko *zmyślił*.

- Nie rozumiem. Czemu? Czemu miałyby *tak* zrobić?
- Nie wiem na pewno, ale mam pewne przeczucia. -No?

- Nie spodoba ci się to. Lois Strawn mówiła, że mieli wcześniej gościa. Arthur. Wszystko odbyło się zgodnie z procedurą, ale Andrea mówi, że i tak ma złe przeczucia co do tego. Zapytała, czy Strawn wychodziła z pokoju i wygląda na to, że podczas rozmowy Arthur skaleczył się w palec, a ona poszła do kuchni po papierowe ręczniki i bandaż. Nie było jej tylko przez minutę czy dwie, ale, do cholery, więcej mu nie było trzeba. Nie mogę tego udowodnić, lecz stawiam wszystko, że Arthur mu groził.

- Jadę tam.

- Zły pomysł. Nawet jeśli skłonisz go do przyznania, że Arthur mu groził, to wyjdzie teraz na to, że zmusiłaś go do tego. Powiedzą, że wywarłaś na nim presję. Andrea Stone pojechała z zeznaniem Roberta do sędziego Burkę'a, jest u niego jeszcze. Zobaczymy, co uda jej się wskórać. I nieważne, co teraz mówią, te nagrania nadal są przekonujące, Burkę będzie miał z nimi ciężki orzech do zgryzienia. Zdaje sobie sprawę z tego, że rozmowy prowadzili policyjni eksperci.

- A co ja mam robić? Siedzieć tutaj jak na szpilkach i modlić się, żeby uwierzył w zeznanie mojego syna, a nie w to, co powiedział później? Jezu!

Poczuła rękę Cindy na swoim ramieniu. Wtedy zauważyła, jak bardzo się trzęsła.

- Naprawdę, nie podoba mi się to tak samo jak i tobie, ale...

- Arthur nie gra zgodnie z zasadami. Czemu, do cholery, my musimy?

Słyszała, jak wzdycha.

- Lydia, myślę, że do tej pory powinnaś znać odpowiedź. Przemyśl to. Już przyznałaś, i to przed obliczem sądu, że jesteś skłonna złamać prawo, by dostać to, czego chcesz. A przynajmniej tak to widzi Burkę. Ma cię również za osobę skłonną

do hysterii. Biorąc to pod uwagę, jedynym sposobem, w jaki możemy to rozegrać, jest wrzucenie na luz, musimy uspokoić się i nie wychylać, dopóki nie usłyszymy jego opinii. Uwierz mi, to jedyna droga.

- Zabieram go. Kurwa mać!

- *Nie, nie zabierasz.* Nie po to staraliśmy się przez cały ten czas, byście byli parą zbiegów! Posłuchaj. Musisz się wziąć w garść. Niech Cindy naleje ci drinka i to mocnego. Zostań w domu i zajmij się czymś do czasu, aż odezwie się do nas Andrea. Okej? Zadzwoń do ciebie, jak tylko się czegoś dowiem. Obiecasz mi to?

- Owen, ja...

- *Obiecaj mi to, Lydia.*

Poczuła się stara, zmęczona, pokonana. I pełna chorobliwego wstydu, bo nie mogła pozwolić sobie na myśli o porażce. Pewnie Owen miał rację. Musiała zdobyć się na cierpliwość, znaleźć wewnętrzną siłę i wiarę we wspólną przyszłość jej i Roberta, co zmotywuje ją do podjęcia próby raz jeszcze.

- Niech będzie - powiedziała. - Dobrze, Owen.

- Zadzwoń, jak tylko czegoś się dowiem. Odwiesiła słuchawkę.

- Kochanie - powiedziała Cindy, teraz już trzymając obie ręce na jej ramionach, nie wiedząc nawet, o co chodzi, ale odbierając wszystkie znaki właściwie, czując w jakiś sposób to, co czuła Lydia i wyrażając to doskonale w kilku cichych słowach. - Coś się nieźle spierdoliło, nie?

Andrea Stone pomyślała, że instrukcje, które otrzymała, były co najmniej nietypowe. Kiedy wróciła do swojego biura, czekała tam na nią wiadomość od sędziego Burkę'a, który natych-

miast chciał przesłuchać taśmy z jej rozmów z Robertem Dansem, i mówił, że będzie czekał na nią u siebie.

A potem dodał, że rano wyda werdykt.

Zadzwoiła do Owena Sansoma i streściła mu to, czego się dowiedziała i poszła prosto do sądu. Było już ciemno, a zepsuta lampa uliczna sprawiła, że poczuła się nieswojo, pomyślała bowiem, że ktoś rozbił ją specjalnie, jakby typowi wandy z jakiegoś zadupia przenieśli się na północ i mieli żyć obok nich wszystkich, normalnych ludzi.

Myśli kłębiły się jej w głowie, choć to zapewne tylko spalona żarówka.

Pokazała strażnikowi swoją legitymację i weszła do słabo oświetlonego korytarza, którym przeszła do sędziowskiego biura.

Sędzia siedział za biurkiem, zwrócony w stronę magnetowidu i telewizora. Oglądał rozmowę z Robertem. *On dotykał mnie tutaj... tym...*

Zamknęła cicho drzwi. Burkę wcisnął przycisk na pilocie i obraz zniknął, zastąpiony czernią.

- Pani Stone - powiedział.

Podawała mu nieduży magnetofon, uruchamiany głosem.

- Taśma jest w środku? - Tak.

Wziął od niej magnetofon i obrócił w ręce, jakby nie był zaznajomiony z podobnym sprzętem. Popatrzył na przyciski, skrzywił się i położył przed sobą na dużym, dębowym biurku.

- No i? - zapytał.

- Przepraszam?

- Jak poszło? Z chłopcem. Co pani myśli?

- Jest nieszczęśliwy. Zdenerwowany. Przestraszony.

- Czego się boi?

- Pyta mnie pan o moją opinię? -Tak.

- Myślę, że boi się tego, że już nigdy nie zobaczy domu.

Sądzę też, że boi się swojego ojca.

Burkę kiwnął głową.

- Będę z panią szczery, pani Stone. Nie zaskakuje mnie to. Ta kasetka... obejrzałem ją już kilkakrotnie. Obie rozmowy wydają się przekonujące.

- Odwołuje jednak te zeznania na taśmie, którą przyniosłam.

- Jak rozumiem, po wizycie ojca?

- I, jak twierdzi pani Strawn, rozmawiali przez minutę czy dwie na osobności.

- Niestety. A czy ta pani taśma... jest równie przekonująca? Obiektywnie mówiąc?

- Mam z nią problem.

- To znaczy?

- Nie ujawnił, dlaczego w ogóle, jak twierdzi, kłamał psychologom. Czemu miałby oskarżać ojca i potem się z tego wycofać. Nie ma to dla mnie żadnego sensu.

- Myśli pani, że mogła go do tego namówić matka?

- Wątpię, Wysoki Sądzie. Bardzo wątpię. Myślę, że mówił wtedy prawdę.

- Zgadzam się z panią, pomimo tego, co myślę o matce...

-Wysoki Sądzie...

Przerwał jej.

- Rozumiem, że się nie zgadzamy w tej kwestii, pani Stone, ale nie w tym rzecz. Problemem jest ojciec.

- Tak, Wysoki Sądzie. Westchnął.

- Przesłucham tę taśmę. Dziękuję, że mimo późnej pory zgodziła się pani ją przynieść. Podobne sprawy, jak mniemam, wymagają od nas wielu poświęceń. Musimy dbać o dobro dziecka, podjąć właściwe dla niego decyzje, aby zapobiec dalszej krzywdzie.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

- I późna pora jest jedynie czubkiem góry lodowej. W każdym razie dziękuję pani, pani Stone. Zobaczymy się jutro.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Kiedy wyszła z biura i cicho zamknęła za sobą drzwi, usłyszała swój własny głos dochodzący z magnetofonu, cienki i słaby.

Sędzia miał w każdym razie zamiar odrobić swoją pracę domową.

Mimo tego, co powiedział o wiarygodności nagrania, nadal martwiła się o Roberta Danse'a. Przeciwdziałanie dalszej krzywdzie może być trudne.

Bo wyrządzono już wiele zła.

Pomyślała, nie po raz pierwszy, że znęcanie się nad dziećmi było jak pasożyt. Taki, który wgryza się głęboko i boleśnie, i jeśli się uważnie patrzy, można łatwo go zauważyć. Ale z czasem symptomy zanikają, stają się niemal niezauważalne. Pasożyt jest groźny dlatego, że się do niego przyzwyczajamy, pomimo bólu. Tym się żywi dręczyciel. Powolnym głodem ofiary. Staje się to rutyną, częścią wewnętrznej struktury składającej się na życie.

Z czasem rośnie i rośnie, jego potrzeby są coraz większe. I wreszcie, o ile w ogóle, zostawia swoją zdruzgotaną ofiarę, która musi radzić sobie sama, nie ustając w ciągłym poszukiwaniu kogoś lub czegoś, by nie tkwić w samotności. Rodzina, przyjaciele, małżeństwo.

Na nich też żeruje.

Na sądach. Na prawnikach i sędziach.

Pasożyt nie myśli, on się pożywia.

I nie ma dla niego żadnych wyjątków, nie jest wybredny.

Nie ma też powodu, by to robić. Nie myśli o tym.

Czuje jedynie głód.

I wszystko zależało od nich, od opieki społecznej i od sądów, które mają nadać wszystkiemu sens, nałożyć leczniczy kompres na ranę, którą zadały te wszystkie lata. A przecież na nich też żeruje pasożyt, są już zarażeni. Niektórzy, jak ona i sędzia Burkę, muszą borykać się z tym raz po raz.

To ich zmienia. W ten czy inny sposób.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek może podolać zadaniu.

A jak sobie z nim poradzi sędzia, dowie się jutro.

Przeszła przez ciemną ulicę do swojego samochodu. Od domu dzieliła ją jakaś godzina drogi, minie jeszcze kolejna, zanim pójdzie do łóżka. Marzyła o śnie.

Czasem myślała, że chciałyby mieć męża i dzieci, ale nie dzisiaj. Nie z tym, co czuła w środku.

Miała nadzieję, że do jutra naprawią tę przeklętą lampę.

Przydałoby się nam trochę światła.



Trzydzieści dwa

## WERDYKT

Widziała, jak otwierają się drzwi i z biura sędziego wychodzą Sansom, Wood i Stone. Wstała z ławki. Żadne z nich nie wyglądało na usatysfakcjonowane. Wood zatrzymał się i powiedział coś do pozostałej dwójki, a potem poszedł w innym kierunku, w dół korytarza. Sansom i Stone ruszyli w jej stronę, a kiedy podeszli, próbowali unikać jej spojrzenia.

Mój Boże. *Jak bardzo źle było?*

Czy w ogóle może być jeszcze gorzej?

Usiadła z powrotem, nie ufając do końca swoim wiotczącym nogom. Sansom usiadł po jej lewej, Andrea Stone po prawej.

- Tym razem nikt nie zwyciężył - powiedział Sansom i potrząsnął głową. - Boże.

- Powiedz mi, co się stało - odparła, a brzmienie własnego głosu wydało jej się dziwne, suche, jakby krzyczała.

- Dobra wiadomość jest taka, że Arthur nie dostanie wizyt bez nadzoru. Żadnych. Wygląda na to, że sędzia uwierzył taśmnie wideo, a nie w odwołanie zeznań przez Roberta. Na moje oko to jedyny plus tej sytuacji. Daje nam większe możliwości manewru przy apelacji i...

-Apelacji? Jezu. Dlaczego musimy składać apelację, Owen?

Spojrzał na Andreę Stone.

- Bo nie dostałaś prawa do opieki, Lydia. Ja... cię... bardzo przepraszam.

Nie mogła wykrztusić słowa. Nawet nie zapytała, jak to się stało. Jakby na chwilę jej dusza uciekła do miejsca bezpieczniejszego niż to, zostawiając za sobą jedynie pustą skorupę, która siedziała dalej między tymi ludźmi. Niemal widziała siebie, swoją bladą twarz oświetlaną pojedynczym promieniem słońca, przebijającym się przez wąskie okienko.

- Burkę obawia się o coś, co nazwał „nawrotem matczynej huśtawki emocjonalnej”. Nie mogę w to uwierzyć, ale takich słów użył. Nadal męczy go myśl o tym, że zabrałaś Roberta do tych wszystkich cholernych lekarzy i zabroniłabyś Arthurowi wizyt, nawet jeśli on by na *nie* pozwolił. Pomimo tego, że nie pozwolił. A więc musimy udowodnić, że jesteś ostoją opanowania, ale podejrzewam, że może nam z tym trochę zejść. Nie chcę cię zwodzić, to może potrwać nawet i pół roku, zanim dojdzie do kolejnej rozprawy. W każdym razie masz prawo do nieograniczonych odwiedzin. A Arthur nie. Udokumentujemy każdy etap twojego życia, zaangażujemy w to pracodawców, byłych pracodawców, krewnych, przyjaciół. Zrobimy pospolite ruszenie. Sześć miesięcy i damy radę, wygramy. Nie musimy już się martwić o Arthura, ale o sędziego. Tym razem powinno być nam łatwiej.

- Sześć... miesięcy? Gdzie? W tamtym miejscu... w ośrodku? Jakimś domu zastępczym?

Sansom spojrzał raz jeszcze na Stone.

- Nie. Wiem, że nie będziesz z tego powodu zadowolona, bo my z pewnością też nie jesteśmy. Ale Burkę dał prawo do opieki nad Robertem dziadkom. Ruth i Harry'emu. Rodzicom Arthura.

- Nie może *tego* zrobić!

Poczuła gładką, chłodną dłoń Andrei Stone na swoim przedramieniu.

- Ale to zrobił, Lydia. Z ostrym zaleceniem, że Arthur nie może u nich mieszkać, ani nawet zostawać na noc. Nadal uważam, że lepszym rozwiązaniem byłby dom zastępczy, próbowaliśmy oboje to przeforsować. Często się zdarza, że sędzia kwestionuje prawo do opieki obojga rodziców. Przeważnie jednak wolą oddać dziecko pod opiekę dalszej rodzinie, o ile to oczywiście możliwe. Pełno jest takich precedensów. Próbowaliśmy przeforsować Barbarę, ale to samotna, pracująca kobieta. Gdyby żyli twoi rodzice...

Poczuła nagły gniew.

- Ruth i Harry wychowali pieprzonego *zbocheńca*, Owen! Co on sobie, do cholery, myśli? Czy go zupełnie *pojebało!*

Sansom rzucił okiem w stronę biura sędziowskiego. Drzwi były co prawda zamknięte, ale Burke nadal siedział w środku, a ściany nie były grube.

- Myślę, że lepiej będzie, jak stąd pójdziemy - powiedział. Rozejrzał się po pustym korytarzu.

- Idź po kawę albo...

- Nie *chcę* żadnej pierdolonej kawy!

- *Lydia!* Dokładnie tego chcemy teraz uniknąć! Jezu! Musimy unikać tego przez sześć *miesięcy*. Czy ty to w ogóle rozumiesz?

Słyszała o ludziach, którzy powariowali i zabijali nieznajomych z czystej frustracji, i pomyślała, że wie dokładnie, jak się w takiej chwili czuli. Chciałaby móc wejść przez tamte drzwi i rozwalić krzesło na głowie Burke'a, bić go nim, aż pociekłaby mu z ust krew. Chciało jej się krzyczeć. Chciała kogoś zra-

nić. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie ma w ręku broni.

- Musimy zachować kontrolę nad sobą - powiedziała łagodnie Andrea Stone. - Lydia, *musimy iść*.

Niemal się zaśmiała. *Kontrola*. Nie miała kontroli nad niczym, odkąd to wszystko się zaczęło.

Andrea miała jednak rację. Będzie musiała się opanować. Dla Roberta.

Zawsze chodziło o niego.

Jeśli gniew nie ustąpi, spróbuje chociaż nieco ugasić jego płomień.

- Chodźmy - powiedziała. - Zanim tam wparuję i wydrapię mu te cholerne gały.

- Dobry pomysł - przytaknęła Stone. - Bo jeszcze chwila i bym ci w tym pomogła.

Wyszli na poranne słońce, które przyjemnie grzało, i Lydia pozwoliła sobie nawet na chwilę odprężenia. A potem przyszła jej do głowy pewna myśl, która sprawiła, że żołądek zwinął jej się w kulkę.

- Harry i Ruth - wybełkotała. - Co oznaczają w tym przypadku „odwiedziny pod nadzorem”, Owen? To znaczy, kto będzie nadzorował wizyty? Kto ustala spotkania?

- Oni. Jako prawni opiekunowie Roberta.

- Nie ufam im.

Cholera, nawet po tych wszystkich latach, nadal ledwo ich znała. Ale wiedziała, że są oddani Arthurowi.

- Daj spokój, Lydia. Nie sądzę, by pozwolili Arthurowi molestować ich wnuka - powiedział Sansom. - Sędzia ich poinformuje, że będzie groził im wyrok za cokolwiek, co się wydarzy pod ich nadzorem. A po tym wszystkim, co wyszło ostatnio... myślę, że będą ostrożni. Nie sądzisz?

- Nie wiem, jakie oni mają zamiary.

Wiedziała jednak, że kolejny raz coś utraciła, znowu coś przecieka jej przez palce. Mocno odczuła tę stratę, dorównującą wszystkim innym, utratę władzy nad sytuacją. Jednak w żadnym razie nie była ona straszniejsza niż utrata intymności pomiędzy nią a Robertem, jej synem, co nieuchronnie nastąpi. Straci całe dni i noce, a przynajmniej te do czasu, kiedy jej go zwróca. Czuła rezygnację, myśląc o tym. Zmuszona była grać kartami, które jej dano.

Nie oznaczało to jednak, że była kompletnie bezsilna.

Będzie ich obserwować. A jeśli cokolwiek przytrafi się Robertowi... *cokolwiek...*

Pożalują, że z nią zadarli. Ruth i Harry. Arthur. Wszyscy pożalują.

Trzydzieści trzy

## CI, KTÓRZY PRZEŻYLI

Przez półtora dnia Duggan wyglądał za Arthurem Dansem i jego dużym, czarnym lincolnem. Od chwili, kiedy dziewczyna Bernhardtów została znaleziona na autostradzie przez jakiegoś kierowcę ciężarówki. Zobaczył ją skuloną i zawiniętą w koc. Zgwałcono ją i pobito, a na dłoni miała krwawiącą, głęboką ranę. Kiedy opisała samochód, jakim ją zabrał, od razu miał przed oczyma tamtego lincolna, a kiedy usiadła z policyjnym rysownikiem, zobaczył naszkicowaną twarz, która wyglądała zupełnie jak twarz Arthura, może poza bardziej zaokrąglonym podbródkiem i nieco wyższym czołem.

Krążył po mieście, rozglądał się. I nic.

Nie było go w domu, ani u rodziców. W restauracji też nie. Wydał polecenie, by szukały go wszystkie jednostki, ale to też nic nie dało. Nawet jego własny prawnik nie mógł się z nim skontaktować w sprawie dzisiejszej decyzji sędziego.

Arthur Danse zniknął.

A to do niego niepodobne.

Jake w Caves powiedział, że interes w sumie przez jakiś czas może kręcić się sam, ale przyznał, że Arthur wolał raczej trzymać rękę na pulsie i być na miejscu, restauracja była jego oczkiem w głowie. Bywał tam niemal każdego wieczoru. Cze-

mu nagle zmienił nawyk? Stres wywołany decyzją sądu, który praktycznie przykleił mu etykietkę dzieckojebcy? Tak właśnie powiedziała zgorzkniała Ruth. Czyżby nie chciał pokazywać się publicznie, by nie wystawiać na szwank swojej nadwątlonej opinii? Możliwe.

Lecz tak samo możliwe - a nawet *bardziej*, jak uważał Duggan - że chodziło o Marge Bernhardt. Pierwszą, której udało się przeżyć.

Dostał od Jake'a listę dystrybutorów i handlowców, którzy pracowali z Arthurem, zadzwonił do każdego z nich, ale oni również nie mieli z nim kontaktu.

Bez samochodu, który można obserwować, i bez podejrzanego do przesłuchania, zostało mu rozłożenie na czynniki pierwsze, minuta po minucie, opowieści ofiary. Nie miał wątpliwości, że ten, który ją uprowadził, to zabójca pozostałych dziewczyn, ten sam człowiek. Gwałt analny i waginalny, wiązanie, gałąź - której, na szczęście dla niej, nie zdążył użyć - i wreszcie gwóźdź wbity w rękę. Praktycznie się podpisał.

Nie zabrał się jeszcze za te swoje wariacje na temat Van Helsinga.

Kłopot w tym, że dziewczyna nie знаła marki samochodu ani broni czy noża, nie potrafiła też powiedzieć nic o gwoździach. Mieli tylko jej zeznanie.

Na wypadek, jeśli jednak myliłby się co do Arthura, wprowadzili wszystkie dane do komputera w Concord i szukali związków. Whoorly zasugerował, że mógł sprzedać samochód i prowadzili poszukiwania także pod tym kątem.

Czekało na niego sporo innej, niezwiązanej z tą sprawą roboty, ale nie potrafił poświęcić myśli czemuś innemu. Musiał

walczyć z potrzebą wskoczenia do samochodu i wyjechania na ulicę w poszukiwaniu dużego, czarnego lincolna. Może znowu pojedzie do Ruth i Harry'ego. Do diabła, będzie tam wracał co godzinę i to z wielką przyjemnością, jeśli miałoby to cokolwiek pomóc.

Musiał uzbroić się w cierpliwość. Na niej opiera się praca policyjna. Wiadomo.

Nie podobało mu się jednak, że miejsce pobytu Arthura to wielka niewiadoma.

Chciał widzieć go ustawionego pod ścianą, przed lustrem weneckim, za którym siedziałyby Marge Bernhardt.

A co, jeśli to zniknięcie oznaczało, że Arthurowi już zupełnie odbiło? Zrozumiał, że traci kontrolę nad tym, co zostało z jego pojebanego życia. Nie ma sposobu, by przewidzieć, co teraz robi. Ten facet był niebezpieczny, bez względu na to, czy to on jest odpowiedzialny za śmierć tych dziewczyn.

No i był naznaczony. System już go osądził jako człowieka będącego zagrożeniem dla innych, a na pewno dla syna. Duggan nie potrzebował jednak oceny systemu, by wyrobić sobie zdanie o Arthurze Danse, wiedział swoje już od dłuższego czasu.

Do cholery z tym wszystkim, piękny dzień na przejażdżkę, pomyślał. Bierz dupę w troki i ładuj się do radiowozu.

I dokładnie tak zrobił.



Trzydzieści cztery

## ODWIEDZINY, CZĘŚĆ PIĄTA

*Ellsworth, New Hampshire*

Coś jej nie pasowało.

Jeździła do Ruth i Harry'ego codziennie, dwa razy w ciągu ostatnich dwóch dni, a licząc z tym popołudniem, to nawet trzy. Przyjmowali ją chłodno, ale tego się spodziewała i nie bolało jej to jakoś szczególnie. Martwiła się jednak o Roberta.

Zachowywał się tak, jakby znowu coś ukrywał.

Zaparkowała na wysypanym żwirem podjeździe, wysiadła z auta i poszła w kierunku domu. Było po trzeciej, a dzień był szary i mroźny, zbierało się na deszcz. Wcześniej pojechała do pracy, do Ellie Brest, ale staruszka praktycznie wyrzuciła ją za drzwi, mówiąc, że nie chce, by złapała ją burza, choć targały nią straszliwe boleści - złamała sobie kolejną kostkę w nadgarstku, kiedy Lydii nie było w pobliżu.

Wiedziała, że deszcz nie ma tutaj nic do rzeczy. Powiedziała Ellie o swoich obawach odnośnie zachowania Roberta i kobieta była równie zaniepokojona. Zadzwoiła do Ruth jeszcze od niej z domu, a matka Arthura odpowiedziała niezbyt uprzejmie, że może przyjechać do Roberta.

Harry był coraz mniej ruchliwy, a może po prostu się zestarzał, bo drewniany ganek wymagał natychmiastowej naprawy. Szara deska na drugim stopniu schodów była pęknięta niemal na całej długości. Aż do długiego, pordzewiałego gwoźdźca po prawej stronie. Nic dziwnego, że się pod nią ugięła.

Zapukała do drzwi i czekała.

Wczoraj srodze się zaniepokoiła. Niby nie wydarzyło się nic szczególnego, nic, co mogłaby ubrać w słowa. Nie podobało jej się to otaczające Roberta milczenie, którego nie mogła złożyć na karb sytuacji, w jakiej się znalazł, tego, że był z dala od wszystkiego, co kojarzyło mu się z domem, z dala od niej. Nie chodziło nawet o niejasną przyszłość, jaka go czekała.

Ponieważ dwa dni temu, w czwartek, wydawało jej się, że jakoś się zaaklimatyzował. Miał swój własny pokój, a w nim wszystkie prywatne rzeczy, nawet telewizor, zabawki, książki i gry wideo. Zachowywał się tak, jakby zaakceptował sytuację, w której się znalazł, i próbował się w niej odnaleźć tak dobrze, na ile było to możliwe. Dla jego dobra, znajdowała w tym pocieszenie.

A potem, wczoraj, ponure milczenie.

Jakby ją o to obwiniął.

Zapytała go, kiedy byli sami, czy coś się wydarzyło pomiędzy nim i Ruth albo Harrym, ale jedynie pokręcił przecząco głową i wrócił do swojego zadania domowego z matematyki, z którym mu pomagała. Zapytała, czy widział się z ojcem. Zaprzeczył. A więc o co chodziło? Co się stało? Jesteś na mnie zły?

Ponownie usłyszała: *nie*. O nic nie chodziło. Lecz powiedział to zbyt głośno, jakby był poirytowany jej zachowaniem. Nie. Jakbym powinna była podskórnie *wiedzieć*, że coś jest nie tak. Jakby w ogóle samo pytanie o to było nietaktem.

Ale zadała kolejne pytanie, czy ojciec się do niego *odzywał*, i znowu odpowiedział jej przecząco. *Znowu nie chciał z nią rozmawiać*. Nie chciał się przed nią otworzyć. I to ją niepokoiło do głębi.

Już miała zapukać do drzwi po raz drugi, kiedy Ruth pojawiła się przy drzwiach. Spadły pierwsze krople deszczu. Przypomniała sobie, że nie zamknęła okna po stronie kierowcy.

- Poczekaj - powiedziała. - Za chwilę wrócę.

Rzuciła się pędem do samochodu. Nagle rozpadało się na dobre i wbrew podjętym działaniom, zmokła i tak. Zamknęła okno i trzasnęła drzwiami. Pobieгла z powrotem do domu, spoglądając ukradkiem, zanim wskoczyła na ganek, na okno jednej z sypialni na drugim piętrze, gdzie poruszyła się koronkowa zasłonka. Pamiętała, że to pokój Ruth. Mieli z Harrym oddzielne sypialnie już od wielu lat.

Zanim dotarła do drzwi, przemokła jej cała bluzka. Kiedy przechodziła obok Ruth, zauważyła, że prześwituje jej cały stanik.

Zaczerwieniła się, kiedy zobaczyła, że Ruth przygląda się jej piersiom.

- Dam ci ręcznik - wymruczała. - Chłopak jest w kuchni, układa puzzle.

- Dziękuję - odpowiedziała.

Pomyślała, że nigdy nie będzie czuła się swobodnie w towarzystwie tej kobiety.

Puzzle były naprawdę imponujące, miał ułożoną już jakąś połowę. Nie pamiętała wiele z historii sztuki, ale była to chyba jakaś reprodukcja Boscha albo Bruegela. Aniołowie wznosili miecze i włócznie przeciwko hordom dziwacznie wyglądają-

cych stworów - żabowatych, rybich monstrów, wykluwających się z jaj. Podniosła pudełko i spojrzała na obrazek. Bru-egel *Upadek zbuntowanych aniołów*, Bruksela, 1562. Musées Royaux des Beaux-Arts.

Pokręcona rzecz.

Pocałowała go w czubek głowy.

- Cześć, mamó - powiedział.

- Cześć, widzę, że sobie nieźle z tym radzisz.

- Tak, ale zajmie mi to chyba całą wieczność.

- No i? Śpieszysz się gdzieś?

- Mam jeszcze godzinę, a potem babcia chce dostać stół z powrotem.

- Jakoś to przeniesiemy, nie martw się. Skąd to w ogóle masz?

- Tata... babcia... no, to było kiedyś taty.

Wyglądał, jakby się wygadał, powiedział coś niestosownego. Zacerwienił się i wrócił do zabawy puzzlami.

- Należało do taty, jak był jeszcze chłopcem? Kiwnął głową.

- Ale skąd oni to wzięli, wyciągnęli ze strychu? Znowu kiwnął głową.

*Milczenie. Kolejny raz milczenie.* Cholera, o co tutaj chodziło? Przyszła Ruth z ręcznikiem.

- Proszę - powiedziała.

Rzuciła okiem na puzzle, uśmiechnęła się słabo i wyszła z kuchni.

Wytarła do sucha włosy. Ręcznik pachniał nieprzyjemnie, wilgocią. Zastanawiała się, kiedy był prany po raz ostatni i czy wszystkie ręczniki Ruth tak śmierdziały, czy ten został przeznaczony specjalnie dla niej.

- Ojciec się do ciebie odzywał?

Zaprzeczył ruchem głowy. Gapił się na układankę, bawiąc się jednym z elementów, obracając go w palcach. Zastanawiał się, gdzie go położyć.

- Wszystko w porządku? Kiwnął potakująco.

- Na pewno? Znowu ta sama reakcja.

- Hej, tęsknię za tobą, wiesz? Dom jest duży i tak strasznie cichy bez ciebie.

Dostrzegła, że wciągnął powietrze i przestał obracać puzzel w ręce. W miejscu, gdzie go trzymał, zbieła mu kciuk. Na Boga, co się tutaj dzieje? Torturowali go?

- Obiecuję, że niedługo cię stąd wydostanę. Pomasowała jego ramiona i pocałowała ponownie czubek głowy.

- Potrzebujesz pomocy?

Podsunęła sobie krzesło i usiadła obok syna. Razem patrzyli na układankę i pojedyncze puzzle. Godzinę później obrazek nadal nie był ułożony. Przez ten czas zamienili ze sobą może z dziesięć słów.

Kiedy wyszła na dwór, było już praktycznie ciemno, ale za to przestało padać. Jedyнным znakiem po ulewie były lśniące, czarne kałuże, które umościły sobie miejsce na zwirowanym podjeździe. Wyminęła je, weszła do samochodu i zapaliła silnik.

Kiedy odjeżdżała, rzuciła okiem raz jeszcze na okno sypialni na drugim piętrze. Zasłonka wisiała nieruchomo. W pokoju nie paliło się światło.

I nagle coś wydało jej się bardzo nie w porządku i zajęło jej tylko sekundę zorientowanie się, że wcześniej nie mogła widzieć w oknie Ruth, bowiem ta stała przecież przy drzwiach. Robert siedział w kuchni.

A skoro Harry nadal był w swoim sklepie - jak zwykle o tej porze - kogo widziała w oknie?

Podjechała do rzeczonoego sklepu i zaparkowała przed budynkiem. Widziała stamtąd młodego ekspedienta stojącego przy kasie, ale nie dostrzegła nigdzie Harry'ego. Pickupa również nie było na parkingu. Ale przed domem też nie.

Nie podobały jej się nadciągające myśli.

Doprowadzały ją do szału.

Istniała jednak pewna możliwość, nie byłoby to mądre ani nawet zdrowe, ale możliwe.

Wszystko zależało od tego, jak arogancy byli ci ludzie, sądząc, że wszystko może im ujść na sucho.

Przyjrzy się temu dokładnie. Będzie jak pieprzony jastrząb.

I to od dzisiaj.

Trzydzieści pięć

## JEDYNE DZIECKO

Poprosiła Cindy, by ją tam odwiozła, zagospodarowała sobie jakoś godzinę albo półtorej i wróciła ją odebrać. Ciągłe słyszała w głowie słowa Owena Sansoma - *musimy udowodnić, że panujesz nad sobą* - więc nie chciała ryzykować, że ktoś rozpozna jej samochód zaparkowany przy drodze. Na domiar złego jakiś przypadkowy kierowca mógł zgłosić policji opuszczony pojazd. Chciała zjawić się tam niewidziana przez nikogo, wręcz niewidzialna. Półtorej godziny powinno jej wystarczyć, by odkryć to, czego chciała się dowiedzieć.

Założyła jeansy, bluzę, buty do biegania i ciemnoniebieską kurtkę. Podgrzała sobie miskę zupy w mikrofalówce i wypila filiżankę kawy w oczekiwaniu na Cindy, która miała wcześniej odwiedzić Gail do Eda na cały wieczór. Kiedy usłyszała klakson, była gotowa do wyjścia.

Samochód Cindy pachniał jak potpourri pokropione octem. Zapach wziął się z rozlanej przez Gail szklanki soku jabłkowego, który wsiąkł w tylne siedzenie już przed kilkoma miesiącami. Cindy wciąż powtarzała, że musi wyciągnąć siedzenie i wreszcie je wyprać, ale ciągle o tym zapomniała. Na lusterku wstecznym dyndały styropianowe kostki do gry. Popielniczka pełna była niedopałków Virginia Slims.

Cindy lubiła szybką jazdę samochodem i popijała trochę zbyt dużo piwka. Miała też w zwyczaju bałaganić, Bóg świadkiem. Ale rzuciła wszystko, by pomóc Lydii. Najlepsza przyjaciółka na tym cholernym świecie.

Przy wyjeździe z Plymouth, gdy wjeżdżały w góry, Lydia zdała jej relację z zachowania Roberta i opowiedziała o postaci widzianej w oknie.

- Nie sądzisz chyba, że jest wystarczająco popaprany, by...

- Trudno mi powiedzieć, do czego jest zdolny. Kto by pomyślał, że do tego dojdzie?

- Pamiętasz wesele swojej siostry? Przecież to ja cię zachęciłam, żebyś... Jezu! Powinnam walnąć się za to w mordę.

- Nie znałaś go wtedy. Mnie zresztą też nie.

- Słyszałam, że jest słodki i że ma kasę. Wychodzi na to, że był słodki jak szczur kanałowy.

- Ale miał kasę.

- O tak, tutaj trafiłam. *Geniusz* ze mnie. Żydowska swatka, kurwa jej mać.

- Cyn, wynagrodziłaś mi to milion razy, dobrze o tym wiesz. Zrobisz dla mnie coś jeszcze?

- Co takiego?

- Zwolnisz do stu osiemdziesięciu?

- Dla ciebie wszystko, laleczko.

Wjechały pomiędzy wzgórze wąską, krętą drogą. Zza zakrętu widziały zbliżające się światło reflektorów, które oślepiło je na tyle, że dopiero kiedy samochód je mijał, zobaczyła, że to policyjny radiowóz. Lydii wydawało się, że za kółkiem siedział Ralph Duggan, ale nie była tego pewna.

Jakieś sto jardów od domu Danse'ów stał znak stopu. Za nim zaczynała się droga żwirowa, zaraz za mostem, pod którym



płynął strumień wpadający dalej do stawu. Kazała Cindy się zatrzymać.

- Tutaj się spotkamy - powiedziała.

- Muszę ci coś powiedzieć, skoro już tutaj zajechałyśmy. Trochę mnie to wszystko niepokoi.

- Będzie dobrze - odparła, choć sama nie czuła się dobrze.

Była zdenerwowana jak kot zagubiony wśród ulic wielkiego miasta, niewiedzący dokąd pójść, szukający ciepłego i bezpiecznego miejsca. Miała nadzieję, że nie było tego po niej widać.

- Powinnaś była coś ze sobą zabrać.

- Co masz na myśli?

- Jakiś pistolet, na miłość boską! *Oni* mają broń, prawda?

- Mają tam wystarczająco dużo broni, by zacząć wojnę światową, nie sądzę więc, bym coś wskórała. Poza tym mam przecież być Miss Stabilności Emocjonalnej, co nie? No i nie mam zamiaru wchodzić do środka, idę się jedynie rozejrzeć. Oni są w świetle, a ja w cieniu, i o to chodzi.

- Ta, na pewno.

- Nie martw się. Która u ciebie?

- Dwadzieścia pięć po ósmej.

- Mój późni się o pięć minut. Umówmy się o dziesiątej, okej?

- Dobra.

Otworzyła drzwi. Cindy położyła jej rękę na ramieniu i zatrzymała.

- Hej - powiedziała. - Powodzenia. Mam nadzieję, że po prostu mieli wcześniej gości i wrócisz z pustymi rękoma.

- Ja też. Do zobaczenia za chwilę.

- Bądź ostrożna.

Mała latareczka dawała wystarczająco dużo światła, by mogła przejść przez porośnięte pojedynczymi drzewami wzgórze. Kiedy dotarła do pola rozpościerającego się przed domem, wyłączyła latareczkę i szła dalej, prowadzona mdłym, szarym światłem ubywającego księżyca.

Nadal nie było ani śladu lincolna Arthura. Widziała jedynie samochód Ruth oraz półciężarówkę Harry'ego. W sypialniach na piętrze nie paliły się żadne światła. Widziała włączoną lampkę w salonie i korytarzu prowadzącym na ganek. Przed domem było ciemno. Doskonale. Musiałaby mieć ogromnego pecha, by ją zauważyli.

Zajrzała przez narożne okno do salonu. Portret Arthura, wykonany przez miejscowego artystę, wisiał w naczelnym miejscu, nad kominkiem. *Nie portret Harry'ego. Arthura.* Zawsze uważała, że to nieco dziwne.

W pokoju nie było nikogo.

Przeszła wzdłuż dawno nieprzycinanych żywopłotów na bok domu. Jadalnia była ciemna, ale widziała światło bijące od drzwi kuchennych.

Poszła na tyły. Weszła delikatnie po trzech drewnianych stopniach i usłyszała ich szybciej, niż zobaczyła. Spojrzała do środka przez szybę w drzwiach.

Harry, Ruth i Robert siedzieli przy stole.

*Arthur chodził w kółko po pomieszczeniu.*

Miał na twarzy jednodniowy zarost, a na plecach zaplamioną, białą koszulę z bawełny. Pod pachami widoczne były żółte plamy potu. Krzyczał, groźnie gestykulując.

Ruth patrzyła na niego ze stoickim spokojem.

Harry wyglądał na zaniepokojonego. Przed nim, na stole, stały dwie opróżnione butelki po piwie. Trzecią trzymał w ręce.

Robert trząsał się ze strachu.

Mogła to stwierdzić, choć siedział zwrócony do niej plecami - miał przygarbione ramiona, a kiedy obrócił się, gdy ojciec przechodził obok niego, i zobaczyła jego profil, była pewna.

- ... jeśli ten sukinsyn znowu tutaj przyjedzie, od razu pobiegnę *na górę*. Możemy się tak bawić w nieskończoność. A co, nie chcecie mnie tutaj? Tak? To macie na myśli? Własna *matka i ojciec*, do cholery!

Nie słyszała, co odpowiedział Harry.

- Pieprzę to! - krzyknął Arthur. - Zostaję z moim synem, mam do tego prawo. Mam cholerne *prawo*!

Wtedy Harry powiedział coś o nakazie aresztowania.

- Za co? Jaki nakaz? Nie mogą wydać żadnego nakazu bez powodu, no nie? A co ja zrobiłem? No co zrobiłem, że niby wydali nakaz? No co? To ja wam, kurwa, powiem. Nic!

Podszedł do Roberta i położył ręce na jego ramionach. *Czuła*, że skulił się pod dotykiem swojego ojca. Arthur wymruczał coś pod nosem.

- ...kocham swojego syna - powiedział. - *Kocham* tego pierdolonego dzieciaka!

Otworzyła moskitierę, a potem drzwi i nagle znalazła się w przegrzanym wnętrzu, które śmierdziało jego potem. Nie było to częścią planu, lecz nie mogła tak stać, zmuszona patrzeć i słuchać tego drania. Nie mogła znieść tego, co właśnie powiedział, tego, że dotykał Roberta, nie mogła po prostu odwrócić się i odejść.

- Ty sukinsynu - powiedziała. Uśmiechnął się.

- Oho! Popatrzcie, kto nas odwiedził! *Moja eks-pizdeczka*! Puścił Roberta i zrobił dwa kroki w jej stronę.

- Przyszła *ma-mu-sia!*

- Chodź, Robert - powiedziała. - Wychodzimy.

Nie zauważyła, że Ruth zdążyła wstać z krzesła. Nagle pojawiła się pomiędzy nimi. Jedną ręką zatrzymała syna, drugą wyciągnęła w jej stronę.

- Załatwimy to między sobą - powiedziała. - To sprawa pomiędzy nami i naszym chłopakiem. Nie ma żadnego powodu, byś tutaj była.

- Nie ma powodu? Czy zdajecie sobie sprawę, że wasz drogi synalek łamie prawo, w ogóle będąc w tym domu? Że wy łamiecie prawo, przyjmując go tutaj? Robert nie zostanie w tym samym domu, co on. Rozumiesz? Jeśli myślisz, że mu na to pozwolę, to zwariowałam. Chodź, Robert!

- *Mamo...*

Wyglądał jak przywiązany do krzesła, bał się nawet poruszyć.

- Wchodzisz na teren prywatny - powiedziała Ruth. Miała już tego po dziurki w nosie.

- *Och, pierdol się, Ruth* - rzuciła w jej stronę.

I stało się tak, jak wiele nocy, wiele tygodni temu. Pięść Arthura nadeszła znikąd. Zobaczyła przed oczami gwiazdy i nagle leżała na podłodze, plecami do drzwi. Robert krzyczał: *mamo!* i próbował uciec Arthurowi. Ruth stanęła nad nią.

- Harry, idź po strzelbę - powiedziała.

Harry spojrzał na nią, nadal leżącą na podłodze, a jego wzrok był pusty, pozbawiony wszelkiej myśli, niemożliwy do odczytania. Potem wyszedł z pokoju.

Arthur zaśmiał się, a raczej zawył przeciągle.

- *Lepiej już sobie idź, Liddy* - powiedział. - Bo on to zrobi! Mama mówi, ojciec robi! Wywali ci prosto w bebech! Do włamywaczy się strzela, Liddy!

Robert wił się w jego uścisku.

Ruth gapiła się na nich ze spokojem w oczach.

- Słyszysz, co mówi? No, słyszysz? To posłuchaj go lepiej  
- powiedziała wreszcie.

-Mamo! Proszę! Uciekaj!

Nagle uświadomiła sobie, że lepiej będzie, jeśli faktycznie pobiegnie przed siebie, ci ludzie poszaleli. Zrobią to, zastrzelą ją, a potem powiedzą, że wzięli ją za włamywacza i ujdzie im to na sucho - w końcu była na pustkowiu, w środku nocy, bez samochodu i żadnego powodu, by tutaj być. I to naprawdę może się zdarzyć, a oni się z tego wywiną. Za chwilę ją zabiją i będzie po wszystkim.

Podniosła się i popatrzyła na Roberta.

-Wróćę...

- Lepiej nie wracaj, panienko - wysyczała Ruth.  
Zignorowała ją.

- Robert...

Ale Robert patrzył teraz na korytarz, spanikowany i przerażony tym, co widział. Wyrywał się Arthurowi i krzyczał do niej: *biegnij, biegnij*. Rzuciła się do otwartych drzwi i zbiegła ze schodów. Usłyszała, jak drzwi zatrząskują się za nią, a potem otwierają z powrotem na oścież i z impetem walą w ścianę domu. Wiedziała, że idzie po nią. Cichy, smutny, wiekowy Harry i jego strzelba.

Biegła przez pole i nie odwracała się, dopóki nie dotarła do lasu. Harry był dopiero w połowie drogi, którą ona właśnie pokonała, strzelbę zarzucił na ramię, a jej lufa wycelowana była w gwiazdy. Zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu latareczki, ale wpadła na to, że światło ją zdradzi. Wyciągnęła przed siebie ręce i po omacku torowała sobie drogę przez krzaki, drzewa i gałęzie.

Usłyszała strumień płynący za wzniesieniem i podążyła w tamtym kierunku. Mogła iść zgodnie z prądem, znaleźć jakąś kryjówkę i poczekać na przyjazd Cindy. Wyczuła coś mokrego na lewej ręce i zobaczyła ciemną krew lśniąca w mroku. Wydało jej się, że usłyszała za plecami jego kroki i ruszyła do przodu, ale las zgęstniał. Potknęła się i upadła, serce waliło jej jak młotem, zabrakło tchu w płucach. Szybko wstała na równe nogi i poczuła ból, kiedy ułamana gałąź skaleczyła ją w nadgarstek.

Woda była już blisko, słyszała ją wyraźnie. I nagle pojawiła się tuż przed nią.

Poślizgnęła się i zjechała po brzegu na kamieniste, suche dno strumyka, z którego woda cofnęła się podczas zimy. Stała chwilę w miejscu, rozglądając się wokół, lecz nie mogąc zrozumieć, czego właściwie wypatruje.

*Jakiś kształt.*

*Ciemny kształt na tle nocnego nieba, pośrodku strumienia.*

Woda aż błyszczała, przepływając obok niego.

Zobaczyła zaokrąglony przód tego czegoś, potem długie cielsko, do połowy zanurzone w strumieniu, niczym jakiś stwór morski pozostawiony na pastwę losu.

Zbliżyła się, nareszcie rozumiejąc.

Lincoln Arthura.

Przyjechał nim tutaj, a potem zepchnął. Zepchnął swojego cennego lincolna, którego teraz obmywała woda.

Nad sobą, po prawej, widziała dokładnie miejsce, gdzie to zrobił. Żywopłot i młode drzewka były przygniecione, powyrywane i porzucane od nasypu aż do strumienia.

Nie zastanawiała się, dlaczego to zrobił.

Nie musiała.

To wariat i tyle.

Jej zadaniem było odzyskanie Roberta.

Przykucnęła, nasłuchując przez chwilę, lecz nie wychwyciła żadnych dźwięków. Może Harry po prostu się poddał, może nie chciało mu się dalej bawić w kotka i myszkę.

A może jednak chciało.

Stała przez moment na ciemnym, wysokim brzegu, aż wreszcie ruszyła wzdłuż strumienia, szukając drogi w mroku.

Gdy usłyszała samochód przejeżdżający po mostku powyżej, wdrapała się po skarpie.

- Jezu, Lyd! Co się...

- *Jedź!* - krzyknęła.

Co prawda nie widziała go ani nie słyszała, ale nie miała zamiaru kusić losu. W czasie tych ciągnących się minut spędzonych pod mostkiem w oczekiwaniu na Cindy, jedna rzecz stała się dla niej jasna jak słońce. Czas był teraz najważniejszy. Dokładnie w tym momencie coś złego mogło spotkać Roberta, coś, o czym nawet bała się myśleć. Bo co mogło powstrzymać Arthura od wrzucenia swojego syna na tylne siedzenie samochodu Ruth albo półciężarówki Harry'ego i odjechania w cholerę? Mogą minąć dni, nawet tygodnie, zanim go znajdą.

Może rozpląnąć się w powietrzu.

Na zawsze.

Nie sądziła, że zdecyduje się na tak radykalny krok, że rzuci wszystko, ale nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie, jak dzisiaj. Był zdolny do wszystkiego.

Sięgnęła do tyłu po szalik, którym przewiązała sobie otwartą ranę na dłoni.

- Muszę dostać się do telefonu, Cyn. I to szybko.

- Blżej mamy do ciebie, a na drugie imię mi Szybko.  
Opowiedziała jej, co się stało.

Ulica grzmiała pod ich kołami.

- Jezu, Liddy, mogli cię zabić - powiedziała. - Co masz zamiar teraz zrobić?

- Zadzwoń na policję i do Owena Sansoma. Arthur tam mieszka i tym samym łamie zakaz sądowy. Mam zamiar zadzwonić, gdzie się da, sprowadzić pomoc. A potem wrócę tutaj tak szybko, jak to będzie możliwe.

Zajechały na podjazd. Lydia wyskoczyła z auta, jeszcze zanim Cindy zdążyła wyjąć kluczyki ze stacyjki.

- Musisz odkazić tę ranę - powiedziała.

- Mam to gdzieś.

Rzuciła się do telefonu i wykręciła 911. Ręce trzęsły się jej tak bardzo, że wcisnęła jedynekę trzykrotnie, ale wydawało się, że nie robiło to różnicy.

Powiedziała, że to nagły wypadek, że jej były mąż dręczy jej syna i może robić to nawet w tej chwili. Złożyła też zawiadomienie, że Arthur mieszka ze swoimi rodzicami i łamie tym samym zakaz sądowy. Słowa wręcz z niej wypłynęły, w pośpiechu, ale sama była zaskoczona tym, jak przejrzyście zdołała się wysławić, jak jasno i klarownie mówiła.

- Więc chce pani, byśmy kogoś tam wysłali?

- Tak - powiedziała i podała adres dyżurnemu.

- W porządku, proszę pani - odpowiedział. - Ale muszę być z panią szczery. Nie mamy uprawnień, by pojechać tam i po prostu zabrać pani syna, *jeśli* nie grozi mu bezpośrednio niebezpieczeństwo. W innym wypadku musi pani zdobyć nakaz sądowy. Czy pani synowi *grozi* niebezpieczeństwo?

- O ile mi wiadomo, to tak.



- O ile pani wiadomo. Widzi pani, możemy mieć z tym pewien problem, bo to jest pewna luka prawna. Chodzi mi o to, że nie możemy polegać na subiektywnej opinii.

- Na Boga, w tym domu mieszka zboczeniec, który znęca się nad dzieckiem! Co tutaj ma do rzeczy moja subiektywna opinia?

- Proszę pani, czy pan Danse został kiedykolwiek za coś skazany? Za cokolwiek?

- Skazany? Nie. Ale sędzia również sądzi, że...

- Rozumiem, proszę pani, ale jeśli miałyby wyrok skazujący, wszystko poszłoby o wiele łatwiej. Powiem jednak coś pani. Pogadam ze swoim przełożonym, powiem mu, że myślę, że powinniśmy tam zajrzeć i chociaż porozmawiać z tymi ludźmi. I poproszę go, żeby do pani jak najszybciej oddzwonił. Dobrze?

-Nie może pan...

- Proszę pani, naprawdę nie mogę zrobić w tej chwili nic więcej. No i musi się pani przygotować na to, że to może chwilę potrwać. Chciałbym dać pani jakieś pierwszeństwo, ale nie mogę. Mamy karambol na autostradzie, o ile wiem, jeden samochód nadal płonie. Wszystkie jednostki się tym zajmują, nie mamy nawet kogo tam wysłać. Przepraszam.

- Jak długo to może zająć?

- Może nawet kilka godzin. Jezu!

I nawet po tym czasie nie mógł jej obiecać, że będą w stanie coś zdziałać. *Duggan*, pomyślała.

- Niech pan posłucha, czy jest tam może Ralph Duggan?

- Pojechał do domu jakieś pół godziny temu. Czemu? Zna go pani?

-Tak.

- Zorientowany jest w sytuacji?

- Myślę, że tak. Mniej więcej.

- No, to może być dobry pomysł. I tak porozmawiam ze swoim przełożonym, ale Ralph może się tym zająć o wiele szybciej, niż my. Ma pani jego numer domowy?

-Nie.

- Już pani podaję.

Zapisała razem z nazwiskiem dyżurnego, podziękowała mu, odwiesiła słuchawkę i ponownie wykręciła numer. Odebrała jakaś kobieta.

- Dobry wieczór, nazywam się Lydia Danse. Czy zastałam może oficera Duggana?

- Niestety, nie ma go. Mogę w czymś pomóc?

- Nie wie pani może, kiedy wróci? Zaśmiała się.

- Szczerze? Nigdy tego nie wiem.

- Czy może pani poprosić go, by do mnie oddzwonił? Albo nie. Czy może pani przekazać coś ode mnie? Mogłaby mu pani powiedzieć, że dzwoniła Lydia Danse i że Arthur ukrywa się w domu rodziców pomimo zakazu sędziego Burke'a i martwię się o swojego syna Roberta? I niech do mnie zadzwoni, proszę.

Podawała kobiecie swój numer.

- Niech mu pani powie, że to sytuacja awaryjna, dobrze?

- Jak nazywa się pani syn?

- Robert.

- Robert, w porządku, zapisane. Przypilnuję, żeby do pani zadzwonił.

Odłożyła słuchawkę i zadzwoniła do Owena Sansoma. Zorientowała się, że wybrała numer do biura, a nie do domu,

więc nacisnęła widełki i zatelefonowała ponownie. Podeszła do niej Cindy z dwoma kubkami kawy w ręce i wcisnęła jej jeden. Wzięła łyk. Przyjaciółka szczerze doprawiła napój koniakiem.

- Tylko mi nie mów, że nie potrzebujesz lekkiego kopa - powiedziała.

- Halo?

- Owen? Posłuchaj, on tam jest.

- Kto gdzie jest?

- Arthur. W domu rodziców. Mieszka tam i cholera wie, co robi. Mierzyli do mnie z broni. Harry mierzył. Robert wygląda okropnie, Owen. Jest przerażony. Musimy go stamtąd wyciągnąć.

- Dobra, już łapię za telefon. Muszę zadzwonić do sędziego z prośbą o działanie *ex parte*, by odebrał im prawo do opieki. Kurwa! Jest sobota wieczór. Nie załatwimy nic aż do poniedziałku.

- To nie może czekać, Owen! Jezu, nie *widziałeś* go. On jest szalony, stać go na wszystko!

- Słuchaj, spróbuję dodzwonić się do jakiegoś sędziego, może któryś jest w domu, a jeśli nie ja, to Andrea Stone kogoś złapie...

- To nie może czekać! Nie słuchasz mnie! Czy ty albo ona macie jakieś wtyki w policji?

-Może Andrea...

- Czy możesz do niej zadzwonić w moim imieniu? Rozmawiałam przed chwilą z funkcjonariuszem Mortonem, który ma pogadać ze swoim przełożonym o wysłaniu tam kogoś tak szybko, jak się da. Ale powiedział, że to może potrwać nawet kilka godzin, zanim się tym zajmą. Może ty albo Andrea możecie ich kopnąć w dupę i popędzić albo coś. Zostawiłam też

wiadomość dla Ralpa Duggana. Poczekam na telefon od niego i wracam tam.

- Lydia, nie rób tego. Sama powiedziałaś, że celowali do ciebie z broni.

- Ale nie będą celować do Duggana.

- Tego też nie wiesz. Pozwól mu się tym zająć, a ja poszukam sędziego...

- Chodzi o mojego syna, Owen. A sąd zawiódł go już *dwa* razy. Zadzwoń do mnie, kiedy się czegoś dowiesz, w porządku?

- Lydia...

- Zadzwoń.

Nie mogła zrobić nic więcej, jedynie czekać. Jakimś cudem w kubku z kawą nie było już ani kropli. Magia.

- Myślisz, że jak wypiję jeszcze jedną, to się nawalę? Cindy potrząsnęła głową.

- Z taką dawką adrenaliny, która krąży w twoich żyłach, nie wstawiłabyś się nawet, gdybyś wychłapała litr takiej kawy. Iskrzy od ciebie.

Wzięła od niej kubek i poszła do kuchni.

- Zajmę się chyba tą ręką - powiedziała.

- Dobry pomysł.

Rana nie była głęboka. W łazience umyła dłonie wodą z mydłem, przez co podrapany nadgarstek nieco ją piekł, a skaleczenie zaczęło pulsować bólem. Polała rękę wodą utlenioną i starła białą pianę bawełnianym wacikiem. Powtórzyła całą operację i spryskała wszystko płynem odkażającym. Obwiązała dłoń bandażem, pod który podłożyła gazę.

Przestraszyła się własnego odbicia w lustrze. Cindy miała rację, wręcz od niej iskrzyło, miała dzikość w oczach. We włosy

zaplątały się gałązki i liście, twarz ubrudziła błotem. Wytarła się ręcznikiem i uczesała. Kiedy już się ogarnęła, zadzwonił telefon.

- Odbiorę! - krzyknęła.

Wrzuciła szczotkę do zlewu i pobiegła do telefonu. Cindy już stała przy aparacie z dwoma kubkami leczniczej kawy w ręce.

- Słucham?

Milczenie po drugiej stronie było jak mocne uderzenie w pierś. Od razu domyśliła się, kto do niej dzwonił.

- Nie mam ochoty z tobą rozmawiać, Arthur - powiedziała.

- Ależ masz.

Spojrzała na Cindy. Odstawiła kawę na stolik stojący obok telefonu i wpatrywała się w nią uważnie.

- Nie rozłączaj się, Lydia. Pamiętasz rozkład pomieszczeń w domu moich rodziców?

- Tak, pamiętam.

- A więc wiesz, gdzie są zamontowane telefony, no nie?

- Arthur, czego ode mnie chcesz?

- Wiesz, gdzie są zamontowane telefony?

- Tak. Jeden jest w kuchni, drugi w sypialni Ruth, na górze. No i?

- Mama przeniosła się do pokoju gościnnego, teraz ja zajmuję jej sypialnię. Ja i Robert. Zgadnij więc, skąd do ciebie dzwonię. Zgadnij, z którego pokoju. I zgadnij, kto stoi obok mnie. Zaraz obok. A raczej leży na łóżku.

- Kurwa twoja mać, Arthur, *jeśli go tkniesz...*

Jego szept sączący się przez słuchawkę był niczym symbol wszystkich jej strachów i obaw. Wiedziała też, że był to głos jej przeznaczenia, jej zguby. Jakby reszta jej życia przybrała formę węża, który wiję się przez telefoniczną linię, by zacisnąć się na szyi.

- *Lydia, mogę zrobić z nim, co tylko, kurwa, zechcę i nie możesz nic na to poradzić. Bezużyteczna pizdo. Jutro mnie już tutaj nie będzie i może zabiorę go ze sobą, a może nie. Chcesz narobić mi syfu, że tutaj byłem? A kto ci w to uwierzy! Moje słowo przeciwko twojemu. Robert nic nie powie. Raz na mnie nagadał i wie, jak to się dla niego skończyło. Co nie, Robert? No powiedz, ty nędzny, mały chujku!*

Słyszała zduszony jęk.

Rzuciła słuchawkę na widełki. Kawa wylała się z kubka.

- Zostań tutaj - powiedziała. - Poczekaj na telefon od Duggana. Albo nie, spróbuj raz jeszcze się do niego dodzwonić. Powiedz, że jadę tam. Jeśli go nie złapiesz, zadzwoń znowu na policję.

-Ale co...

- On ma zamiar coś zrobić. Może już to zrobił. Nie wiem, ale mam zamiar go powstrzymać.

Wbiegła po schodach i otworzyła drzwi szafy. Odgarnęła na bok pantofle i kozaki stojące na górnej półce i ściągnęła stamtąd kartonowe pudełko, w którym spoczywał rewolwer smith & wesson ladysmith, kaliber 38, wraz z nabojami. Otworzyła bębenek i zobaczyła, że był naładowany. Wrzuciła do kieszeni kilka dodatkowych naboji i zbiegła na dół. Kiedy chwyciła za klamkę drzwi wejściowych, zatrzymała ją Cindy.

- Liddy, zanim wyjdiesz, pozwól mi zadzwonić na policję...

- Nie! Do cholery, nie! *Cały czas grałam zgodnie z zasadami!* Policja nie potrafiła go ochronić. *Sąd też nie potrafił.* Cindy! Policja nic nie może zrobić. Jeśli prawo nie jest w stanie pomóc mi odebrać Roberta temu choremu skurwysynowi raz na zawsze, sama to zrobię!

-Ale chociaż...

- Co byś zrobiła na *moim* miejscu, Cyn? Pozwoliłabyś, żeby spędził tam kolejną noc? Ma go znowu zgwałcić? Mam siedzieć spokojnie i czekać, aż go zabierze i znikną razem na kilka tygodni, by mógł gwałcić go *codziennie!* Bądź przy telefonie, Cyn. Spróbuj złapać Duggana. Niech mnie szlag, ale idę po swojego syna.

Trzydzieści sześć

## ODWIEDZINY CZĘŚĆ SZÓSTA

Robert przycupnął przy wezgiłowiu łóżka i patrzył na ojca. Arthur nerwowo dreptał po pokoju. Przed sobą ułożył cztery poduszki jak worki z piaskiem. Miękka to amunicja, lecz nie miał nic więcej, by się bronić, jeśli ojciec znowu będzie chciał zrobić mu krzywdę.

Arthur miał broń, pistolet lśniący tak mocno, że wyglądał, jakby był biały. Odbijało się w nim światło zapalonej lampki. Wymachiwał nim na wszystkie strony.

Chciało mu się do toalety, nie miał zamiaru o nic prosić ani pytać ojca, o nic. Będzie trzymał.

Czekał, aż powiedzą mu, że można już iść spać, że ten wieczór ma się ku końcowi.

Zza zamkniętych na klucz drzwi usłyszał, że ktoś idzie na górę po schodach. Ojciec też. Zatrzymał się, odwrócił w stronę drzwi i czekał na pukanie.

Zamiast tego dobiegł ich głos dziadka.

-Arthur?

Robert usłyszał, jak Harry szarpał za klamkę. - Synu, wpuść mnie. Razem z matką myślimy, że najlepiej będzie, jeśli dasz sobie na wstrzymanie. Musisz na razie stąd



pójść, tylko na dzisiaj, dobrze? Pojedź na noc do siebie, musimy jakoś dotrzeć do jutra, wiesz? Jak sam mówiłeś, nikt prócz niej nie może nawet poświadczyć, że tutaj w ogóle byłeś. Wszyscy wiedzą, że jest kłamczuchą. Ojciec jedynie gapił się na zamknięte drzwi.

- Arthur?

Zachowywał się przez cały dzień jak wariat, prawdziwy szaleniec, jeszcze gorzej niż wczoraj. Kiedy nikt nie słuchał, gadał do siebie, popijał piwo i whisky. Nic nie jadł. Krył się przed oficerem Dugganem. Robert widział, że nawet babcia z dziadkiem się go trochę bali.

*Ojciec nazwał go chujkiem. Mierzył do niego z pistoletu.*

*Myślisz, że cię zastrzelę? - mówił. Pif paf.*

- Synu, to do niczego nie prowadzi. Duggan tutaj wróci, znajdzie cię i będziesz miał jeszcze więcej problemów w sądzie. Musisz to zrozumieć, Arthur. Popieramy cię z matką w stu procentach, ale sam wiesz, że Duggan jest jednym z najbardziej upartych ludzi w tym kraju.

Więcej kroków na schodach.

- Arthur? *Otwórz.* Babcia.

Ojciec zrobił krok w stronę drzwi, ale zboczył do stolika nocnego, z którego zabrał butelkę i podniósł do ust. Robert czuł smród alkoholu, choć siedział na drugim końcu pokoju.

- Otwieraj te drzwi, do cholery. Arthur wziął kolejny łyk.

- Idź w pizdu - powiedział do Ruth.

- *Co?* Jak ty do mnie mówisz?

- Mówię, żebyś poszła w pizdu, mamusiu. Oboje możecie.

Wyjdę stąd, kiedy będzie mi się to podobało.

Robert patrzył na ojca w pełnym przestachu milczeniu. Babcia zawsze trzymała wszystkich krótko i nigdy nie słyszał, by Arthur zwracał się do niej w ten sposób. Nigdy, przy żadnej okazji.

To tak jakby Robert powiedział coś podobnego do *niego*. To samo. *Nigdy* by czegoś takiego nie zrobił. Nie odważyłby się. A teraz jego ojciec każe babci iść w pizdu. Wystraszyło go to bardziej niż cokolwiek innego.

Za drzwiami zapanowało milczenie.

Pewnie i oni byli nieźle zaskoczeni.

Ojciec patrzył jeszcze przez chwilę na drzwi. Wreszcie odwrócił się do niego, uśmiechnął i powiedział cicho:

- Zostaliśmy we dwóch, kolego. I zaczął iść w jego stronę.

Kiedy Duggan przyjechał do domu, jego żona stała w drzwiach w płaszczu zarzuconym na ramiona. Nawet nie dała mu wyjść z samochodu. Opuścił okno. Alice nachyliła się do niego i zaczęła mówić. W rękę trzymała zapisany kawałek papieru, z którego od czasu do czasu coś doczytywała.

- Ralph - powiedziała - wydzwaniamą do ciebie w jakiejś pilnej sprawie. Trzy telefony w ciągu godziny. Najpierw od Lydii Danse, która powiedziała, że Arthur jest w domu swoich rodziców, że tam mieszka i że martwi się o syna. Potem dzwoniła kobieta o nazwisku Cindy Fortunato, jej przyjaciółka. Powiedziała, że pani Danse pojechała tam *zabrać* swojego syna i że wzięła ze sobą broń, rewolwer, i prosi o natychmiastowy telefon. Ale pomyślałam, że ty może lepiej od razu jedź, a ja do niej zadzwonię. Zaoszczędzimy trochę czasu.

- Dziękuję, Allie. Zadzwon do niej i powiedz, że jestem w drodze.

Wychylił się z auta, pocałował ją i przekręcił kluczyk.

- Bądź ostrożny - powiedziała. - Interwencja domowa, tak?

- Interwencja domowa - przytaknął.

Wiedziała, że takie rzeczy potrafią być istnym piekłem. - I będę ostrożny.

Kiedy tylko wyjechał na ulicę, poprosił przez radio o wsparcie.

- Już jesteśmy w drodze - powiedział dyżurny. - Ta Fortunato dzwoniła do nas kilka minut temu i od razu wysłaliśmy radiowóz. Muszę ci powiedzieć, Ralph, że to jakaś pojebana sytuacja, chyba spieprzyliśmy. Morton uznał, że to nic takiego, ale wtedy nikt nic nie mówił o broni, wiesz?

- Wiem, nie przejmuj się. Myślę, że każdy z nas w którymś momencie to spieprzył.

Rozłączył się. Jeśli nawet Morton coś spartaczył, to i tak zawinił chyba najmniej z nich wszystkich. Wszyscy koncertowo spierdolili. Dokumentnie. Sędzia, prawnicy. Wszyscy.

Nawet on, choć nie do końca wiedział, w jaki sposób. Musiało być coś, co mu się wymknęło, na co nie zwrócił uwagi. Coś, czego nie zrobił, a powinien był zrobić i dlatego teraz musi gonić w środku nocy kobietę z bronią w rękę.

Do diabła z tym wszystkim, liczy się tu i teraz. Nareszcie miał okazję działać. Pojechał w kierunku gór.

Podskoczyła na siedzeniu, kiedy jej auto szarpnęło na drewnianych belkach podtrzymujących mostek. Na wysłużonej, starej szosie zwolniła do trzydziestki. Podjechała jeszcze kawałek i wyłączyła światła. Zatrzymała samochód i wysiadła. Nie było powodu, by miała zdradzić swoją obecność.

Przez całą trasę modliła się do Boga, bo nie chciała zastanawiać się, czy Arthur zrobił Robertowi coś złego. Liczyła na to,

że człowiek, któremu całkowicie odbiło, który bredził i obrażał ją przez telefon, wypalił się, zmęczył swoim własnym szaleństwem i poszedł do łóżka. *Sam*. Powtarzała to sobie jak mantrę. Boże, proszę. *Sam*.

To się musi wreszcie skończyć, nie zniesie więcej Arthura Danse'a. Robert zresztą też nie. Ten horror musiał znaleźć swój kres, w ten czy inny sposób. Zabierze Roberta i ucieknie. Gdzie? Nieważne. Nieważne też, że będą klepali biedę, że nie będzie mogła wykonywać pracy, do której była przeszkolona. Będą ubodzy, ale żywi, biedni, ale bezpieczni.

W domu wszędzie paliły się światła. I na górze, i na dole. Nadal byli na nogach.

Nieistotne.

Przebiegła przez pole, a wysoka, mokra trawa muskała rękę trzymającą rewolwer. Podniosła ją na wysokość talii. Ciężar pistoletu uspokajał ją jak nigdy wcześniej. Czuła, że to właśnie broń była sojusznikiem, jakiego przez cały ten czas potrzebowała, ale nigdy nie przeszło jej to przez głowę. Nie Andrea Stone, nie Sansom, nie sąd i nie policja. Jedynie ten zimny, ciężki kawałek metalu.

On wygłosi teraz mowę.

Weszła na ganek. Wiedziała, że frontowe drzwi będą otwarte. Wiedziała, że wszystkie drzwi będą otwarte. To było nieuniknione. Od zawsze. Czegokolwiek by nie zrobiła.

Światła przednich reflektorów obmyły sypialniane zasłony, kiedy samochód wyłonił się zza wzgórza. Robert ich nie dostrzegł, ale on tak.

Zbliżała się. Ona lub Duggan. Zaczęło się.

*Włamywacze, pomyślał. Nie będziesz kradł bliźniemu swemu.*

Żebyś, kurwa, wiedział, że nie będziesz.

Otworzył drzwi. Na korytarzu nadal stali ojciec z matką. Spojrzeli na niego i półautomatyczny pistolet dziewięciomilimetrowy w jego ręce. Matka wyglądała na wściekłą. Stary był zdenerwowany i zmartwiony.

*Czyli nic nowego.*

- Tato, łap za strzelbę - powiedział. - Mamy towarzystwo.

Ależ wspaniale było tak do niego powiedzieć, rozkazywać mu.

Wiedział, że kiedy to się skończy, będzie mógł wydawać rozkazy im obojgu, bo będą tak samo winni temu wszystkiemu, co się tutaj wydarzy, jak i on. Winni wszystkiemu, co go w życiu spotkało. Jakoś udźwigną ten ciężar.

Będzie mógł to wykorzystać przeciwko nim. Czas najwyższy. Będzie tak, jak tylko sobie zażyczy.

- Weź strzelbę, tato - powtórzył. - I lepiej się pośpiesz.

Miała rację, drzwi nie były zamknięte na klucz. Przekreśliła gałkę i po cichu je otworzyła. Przy schodach zobaczyła Arthura - czarny kształt wskazujący ją palcem, oświetlony od tyłu przez światło płynące z kuchni. Nagle poczuła uderzenie w klatkę piersiową, które rzuciło ją na drzwi, i dopiero po tym usłyszała eksplozję.

Podniosła rewolwer i wystrzeliła, nie wiedziała nawet ile razy, a ciemny kształt zniknął jej z oczu. Spojrzała w dół, na swoje własne, zakrwawione ciało. Dostrzegła jakiś ruch w kuchni i nagle pojawił się ojciec Arthura, coś krzyczał, ale nie mogła

rozdzielić słowa, a właściwie to już mało co słyszała. Zobaczyła wycelowaną w siebie dwururkę, strzeliła więc ponownie. Tynk opadł ze ściany hojnym strumieniem, prosto na jej głowę i ramiona. Strzelba zaryczała i rozbłysła. Harry upadł i rozłożył się na wznak na kuchennej podłodze.

Zobaczyła, że za nim stoi Ruth. Spróbowała podnieść rewolwer raz jeszcze, ale nie było w niej już wystarczającej siły, by to zrobić. Nadal oparta plecami o drzwi, zaczęła się po nich ześlizgiwać, aż spoczęła na twardej, materiałowej wycieracze, która leżała krzywo pomiędzy jej kolanami. Ruth coś wykrzykiwała z twarzą wykrzywioną i czerwoną z gniewu, ale nic już nie słyszała.

Widziała, jak Ruth biegnie od ciała Harry'ego do Arthura, a kiedy wreszcie do niego doskoczyła, upadła na kolana, położyła ręce na jego policzkach i gładziła go po twarzy. Potem zabrała rękę i krzyknęła, widząc na niej krew. Jej oczy spoczęły na Robercie, który stał w podziemiu, nieruchomo, w połowie schodów. Nie krzyczała na niego, ani nawet na kogokolwiek, coś w niej po prostu pękło, jakaś nieokiełznana wściekłość, którą Lydią potrafiła zrozumieć.

Pokój zaczął wirować.

Robert patrzył w jej kierunku, wiedziała, że gapi się na całą tę krew, która pokrywała jej piersi i brzuch, widziała w jego oczach strach i usłyszała własny głos mówiący cicho:

- Już w porządku, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Nikt już cię nigdy nie skrzywdzi. Już dobrze...

Na jej ramionach spoczęły czyjeś dłonie, masywne i chłodne. Uniosła głowę i spojrzała na bladą twarz Ralphi Duggana. Usłyszała coś, co przypominało policyjne syreny i wtedy wszystko zaczęło znikać w świetle i ciemności. Nie mogła go

juz widząc ani nawet poczuć, jedynie słyszała w uszach monotonne dzwonienie, ale i ono wkrótce ustało. Wydawało jej się że czuje bicie swojego serca. A potem nastąpiła cisza i ciemność' Dostała to, po co tutaj przyszła i wszystko, do czego w życiu dążyła, miało swój koniec właśnie tutaj.

Epilog  
Część pierwsza

## IDENTYFIKACJA

Ludzka śmierć ma pewien subtelny zapach, z którym poradzić nie może sobie ani mróz, ani środek dezynfekujący. Jest niczym czarna, wilgotna pleśń na gnijącym kwiecie, bezbarwny nalot na nieświeżym mięsie. Stali nad ciałem Arthura Danse'a. Duggan czuł, że młoda kobieta wzdrygnęła się i pomyślał, że ten dupek nadal, nawet martwy, potrafi człowieka wystraszyć. Miał do tego talent.

Przeczytał już raport koronera i widział czystą, czarną ranę, która go załatwiła. Pierwszy strzał Lydii i w dodatku w dziesiątkę - prosto w serce. Miała niesamowite szczęście, by trafić w ten pomarszczony organ, który znalazł się u niego chyba przez pomyłkę. Pozostałe dwa strzały nie były już tak skuteczne. Jedna z kul musnęła jego biodro i poszła w ścianę, jakąś stopę nad jego głową. Kolejna oderwała płat skóry z jego policzka i strzaskała zuchwę. Znając Arthura, te dwa strzały nie miałyby szans go zatrzymać.

Nie sądził jednak, by chodziło o szczęście. Raczej opatrność. Wreszcie podała im litościwą dłoń.

Ale właśnie ta pogruchotana przez kulę szczeka stanowiła problem, gdyż Marge Bernhardt nie potrafiła zidentyfikować Arthura na zdjęciach z kostnicy. Nie zdziwiło go to. Martwi nigdy nie



wyglądają jak żywi. A zabrane z domu fotografie, na których szczyrzył zęby, nie miały wiele wspólnego ze wspomnieniem czarnego cienia, który chciał przybić ją do drzewa w mroźnym lesie. Miał jednak nadzieję, że pomimo tej rany i bladości naskórka, będzie w tym trupie coś, co wypełni lukę w jej pamięci. Ale tak się nie stało.

- Nie - powiedziała. - A może... Boże, nie wiem!

Ledwo знаła Duggana, ale i tak wpadła w jego ramiona, jakby niesiona podmuchem wiatru.

Przytulił ją delikatnie, aż przestała szlochać, choć ani jej ciało, a nawet ręce, jeszcze się do końca nie uspokoiły. Poprosił ją, by przyjrzała się ciału raz jeszcze.

Pokręciła głową.

- Myślę sobie - powiedziała - a co, jeśli to nie on? Jeśli tamten wciąż *gdzieś tam* jest? Chciałabym, byście mogli... jak wy to mówicie? Zamknąć sprawę? Ale co, jeśli to nie on, a ja powiem inaczej?

Rozumiał ją. Odważna, inteligentna kobieta. Musiała być pewna. On również, choć był święcie przekonany, że Arthur Danse wiódł podwójne życie i wszystko miał zorganizowane tak doskonale, że ani jego żona, ani nawet jego rodzice nie mieli pojęcia, do czego naprawdę był zdolny. I jeśli śmierć była jego ucieczką, będzie musiał żyć z tą myślą.

Dziewczyna miała rację. Co, jeśli tamten nadal krążył po ulicach w swoim ciemnym samochodzie, istny duchowy brat Arthura Danse'a, który był i nie był nim, polując na bezbronnych w mdłym świetle zimowego księżyca...

Nakrył zwłoki prześcieradłem.

Miała rację. Na dłuższą metę Danse nie miał znaczenia. Takich jak on było wielu, a tego, co zrobili nawet w tej cichej

mieście, nie da się zapomnieć, wcisnąć między akta. Nie można było zamykać takich spraw, nawet na moment.

Wyprowadził ją po cichu z pokoju, zamknął drzwi i nasłuchiwał własnych, zmęczonych, ciężkich kroków na betonowej podłodze. Wyobraził sobie te wszystkie zimne ciała na zamrażniętych łózkach i począł zastanawiać się, ile jeszcze będzie zmuszony ich tam przywieźć.

Epilog  
Część druga

## BEZPIECZEŃSTWO

Dziennikarka studiowała twarz kobiety siedzącej naprzeciwko niej i skonfrontowała to, co zobaczyła, ze zdjęciami, które oglądała wcześniej, i wiadomościami telewizyjnymi traktującymi o aresztowaniu i procesie. Sprawdzała, że Lydia Danse jest od niej tylko dwa lata starsza, ale wyglądała, jakby była starsza o dziesięć. Przybrała na wadze. Nadal była, w jej ocenie, całkiem atrakcyjna, lecz miała napuchnięte z niewyspania oczy i bardziej zaciśnięte usta niż na fotografiach.

Ona sama nie miała dzieci.

Rozmawiała wcześniej przez telefon z Andream Stone i prawniczką Lydii Danse. Od godziny słuchała relacji z pierwszej ręki i w pełni rozumiała fizyczną zmianę, która się dokonała w jej rozmówczyni.

Niemal rok po wydarzeniach tamtej nocy było jej trudno rozmawiać o zabójstwach i tym, co się stało jej synowi. Dziennikarka, znając szczegóły sprawy, zdziwiła się, że Lydia Danse w ogóle miała na tyle odwagi, że zgodziła się na wywiad. Słuchając tego, co miała do powiedzenia, była pod wrażeniem tej kobiety.

Pisała artykuł, dlaczego kobiety zabijają. Zbierała do niego materiał już od trzech miesięcy. Widziała różne przejawy odwagi. Czasem szaleństwa.

I mnóstwo aktów desperacji.

- Czyli kula przeszła przez pani płuco? - zapytała. - I wyleciała drugą stroną?

- Dokładnie. Znaleźli ją w drzwiach, za mną. Miałam szczęście, bowiem kula miała łuskę z metalu, czy coś takiego, i rana wylotowa była czysta. Nie było więc tak źle, jak mogło się wydawać. Kilka tygodni leżałam w szpitalu, potem mnie prze-  
nieśli.

- Pani prawniczka mówiła, że sąd zażądał dwóch tysięcy dolarów kaucji?

Skinęła głową.

-1 nie zapłaciła pani.

- Już i tak tkwiłam po uszy w długach związanych z procesami.

- W sądzie wykorzystała pani nagrania wideo z rozmów z Robertem, by udowodnić, że miała pani podstawy sądzić, że był w niebezpieczeństwie. Obawiała się pani, że mógł być w danej chwili molestowany i dlatego pojechała pani do tamtego domu. By go bronić.

-Tak.

- Prokuratura postawiła zarzut morderstwa pierwszego stopnia i postulowała o karę śmierci. Myślę, że to... niepojęte.

Jej uśmiech mówił: *uwierz mi, nie masz pojęcia nawet o połowie tego, co się stało*. Dziennikarka wypatrywała w siedzącej przed nią Lydii Danse choćby śladu żalu nad swoim losem. *Groziło jej przecież powieszenie*. Nawet gdy krztusiła się łzami, jej smutek i poczucie straty wiązały się nieodłącznie z emocjonalnym bólem jej synka.

I to również wydało jej się niepojęte.

- Ale zapadł inny wyrok.

- Dzięki Bogu. Dostałam bezwarunkowe dożywocie. Dziennikarka wzięła głęboki oddech. Trudno było utrzymać nerwy na wodzy - a *była* wściekła i trudno było to *ukryć*. Cholerny system sprawiedliwości.

- Nie rozumiem. Czemu nie uznano, że działała pani w samoobronie? On strzelił pierwszy, potwierdziły to badania. Nie mógł przecież strzelić jako drugi, gdyż był martwy zaraz po tym, jak pani nacisnęła spust.

- Nie mogli uznać tego za samoobronę, ponieważ poszłam tam z rewolwerem. Ponieważ otworzyłam szafę, odszukałam broń, wzięłam ją ze sobą do samochodu i pojechałam do nich. A to czyni mnie agresorem. Przynajmniej według nich. Zrobili też wielkie halo z tego, że nie miałam pozwolenia na broń.

-A nagranie wideo? Wzruszyła ramionami.

-Albo nie uwierzyli w to, co zobaczyli, albo po prostu zignorowali. Ława przysięgłych, nie sędzia. Sędzia wziął to pod uwagę i dlatego dostałam dożywocie, a nie karę śmierci. Ani ja, ani moi prawnicy nie mogli tego rozgryźć, jeśli mam być szczerą. Po rozprawie podszedł do mnie jeden z ławników i powiedział, że od razu uwierzył w to, co usłyszał, ale po chwili inny powiedział mi, że nie dał wiary ani jednemu słowu. Nie wiem więc, czemu ci, co mimo wszystko uwierzyli Robertowi, głosowali tak, jak głosowali. Prawo i sprawiedliwość, ot co. Myślę, że przeważył fakt, iż miałam ze sobą broń.

- Jest pani świadoma, że Ralph Duggan i policja stanowa prowadzili w tym samym czasie śledztwo w sprawie seryjnych zabójstw. Czy po wydarzeniach tamtej nocy fala morderstw ustała?

Ponownie skinęła głową.

- Cieszę się, że te zbrodnie się skończyły. Ale nie ma to znaczenia dla mojej sprawy, prawda? Nigdy nie udowodniono, że stał za tym Arthur. Może tak, a może nie. Nie wiem też, czy miałyby to jakiegokolwiek znaczenie w sądzie, nawet jeśli okazałby się mordercą.

Dziennikarka spojrzała na umundurowaną strażniczkę, stojącą w kącie pokoju konferencyjnego, w którym siedziały. Kobieta robiła niezłą szopkę, mającą pokazać, że wcale nie podsłuchuje. Spoglądała gdzieś w przestrzeń, ręce złożyła na kolanach. Zupełnie jak w każdym więzieniu, które odwiedziła. W pomieszczeniu dźwięki roznosiły się echem, nawet pojedyncze szurnięcie krzesłem. Strażniczka słyszała wszystko.

Reporterka, nie wiedząc czemu, poczuła się strasznie bezbronna.

- Od chwili osadzenia nie wychodziła pani z więzienia? - zapytała.

-Nie.

-I nie widziała pani Roberta.

- Nie pozwalają mi mnie odwiedzać. Sąd nie pozwala. Będzie mógł do mnie przychodzić, jak skończy czternaście lat. Jeśli pani artykuł zrobi dla mnie cokolwiek dobrego, to właśnie to. Może zgodzą się, by mógł mnie widywać chociaż od czasu do czasu.

Wiedziała jednak, że tak naprawdę jej tekst nie może nic dla niej zrobić. Lydia Danse walczyła w dawno przegranej bitwie z systemem. Nie miała zamiaru jej tego mówić, wszak odrzucono jej pierwszą apelację i prośbę o ułaskawienie. Trudno jej było sobie wyobrazić, co musi czuć ta kobieta, tkwiła w pułapce bez wyjścia. I ona nie miała zamiaru jej pogrążyć.

- Ile lat musi minąć, zanim będzie pani mogła złożyć podanie o zwolnienie warunkowe?

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy zobaczyła błysk gniewu w jej oczach.

- Piętnaście lat - powiedziała. - Aż tyle?

- Tak. Robert będzie miał wtedy dwadzieścia cztery lata. Będzie już dorosłym mężczyzną. Stracę jego dzieciństwo. Całe. Bezpowrotnie.

Spojrzenie Lydii mówiło, że została oszukana w jakiejś niecnej grze, której reguł nigdy nie było dane jej poznać. To, przez co zmuszona była przejść i przez co nadal przechodziła, zważyło się również i na dziennikarkę jak niewidzialny, ale ogromny ciężar. Odczuła to.

Co zrobiłabym w podobnej sytuacji? Co zrobiłaby jakakolwiek inna kobieta?

Reporterka obejrzała nagranie Roberta i wiedziała, że powiedział prawdę o ojcu. Wierzyła mu bezkrytycznie.

Pomyślała, że Lydia Danse przeszła przez piekło, które dalej zionęło na nią ogniem.

Nagle przeszył ją wstyd, że może tak po prostu wstać i stąd wyjść. Będzie mogła przejść przez tamte drzwi, podczas gdy ta kobieta, która była o wiele silniejsza i odważniejsza niż ona, nie była wolna i pewnie już nigdy nie będzie. A na pewno przez długi czas. Wstydziła się, że jest częścią świata, który skazał ją na pobyt w tym miejscu.

*Piętnaście lat.*

Nie wiedziała, co powiedzieć.

Kiedy coś się w ogóle zmieni, Lydia Danse będzie już starszą panią. Mój Boże.

- Jak pani... nie wiem, jak to powiedzieć, ale... Boże! Jak pani może z tym żyć? Jak sobie pani z tym *radzi*?

Lydia poprawiła się na twardym, metalowym krześle.

- Robert jest teraz z Ruth - powiedziała. - Jest ze swoją babcią. Tą samą kobietą, która wychowała jego ojca. Tą samą kobietą, która złamała prawo, pozwalając swojemu synowi ze sobą mieszkać. Z jakiegoś chorego powodu sąd uznał, że Arthur wymusił to na niej i woli dać jej prawo do opieki niż mojej siostrze Barbarze, bo Barbara jest panną. Nadal walczymy z tą decyzją i już mam tego dość, ale nie w tym rzecz. Znamienne jest, że wszyscy mężczyźni z tej rodziny nie żyją. Nikt już w nikogo nie mierzy z pistoletu. Ważne, że Robert jest bezpieczny, że jego ojciec już mu nie grozi, że jest bezpieczny. A to chyba jedyna dobra rzecz, która wynikła z... tego. Gdyby stało się inaczej, chyba bym zwariowała. Chociaż tyle mam. Jest bezpieczny.

Nawet strażniczka popatrzyła na nią otwarcie, jakby chcąc dać wyraz swojej empatii.

- Chociaż tyle mam - powiedziała.

Reporterka uznała, że nie ma już nic więcej do dodania.

*Wpadła w luki stworzone przez system, pomyślała.*

Kolejna ofiara. Ale ta wpadła głębiej i uderzyła o dno mocniej niż ktokolwiek inny, wystarczy na nią spojrzeć. Mimo to nie pozwala, by ja pogrzebano. Och, chce tego i to bardzo. Pewnie, że chce. A jednak coś wewnątrz niej pozostało nieskażone przez mdłe, szare mury i kraty, pustkę i monotonię mijających dni. Jakaś częśćka niej została na zewnątrz, w umyśle jej syna, dojrzewa w nim, z nią i bez niej.

Co za marnotrawstwo życia. To dopiero była niewybaczalna zbrodnia.

Dziennikarka pogrążyła się w rozpacz, myśląc o Lydii, i wiedziała, że zrobiłaby dokładnie to samo. Swoją wściekłość wyrazi w druku, czarno na białym, a przeczytają to za kilka tygodni



wszyscy ci, którzy kupują jeden z opiniotwórczych magazynów w kraju. Ale Lydia Danse nie rozpaczała.

Zrobiła właściwą rzecz, reporterka też nie miała co tego wątpliwości. Nieważne, co myśleli inisi, Lydia wiedziała, że uczyniła to, co słuszne.

Była w tym pewna szlachetna godność.

Była łaska.

Dziennikarka zauważyła, że Lydia Danse wpatruje się uważnie w jej umęczone oczy. Wywiad dobiegł końca.

Ruth spoglądała na niego z fotela ustawionego przed telewizorem. Odrabiał pracę domową, siedząc przy stole w jadalni. Wycierał coś gumką. *Wytrwałość*, pomyślała. O to chodzi. O *wytrwałość*. Przez ostatni rok, po tym, co się stało, znacznie podrośł. Był wyższy i chudszy. Pomyślała, że taka postura pasuje do niego, tak jak pasowała do Arthura, kiedy był w jego wieku, i nie marudziła, kiedy po obiedzie zostawiał na talerzu niedojedzone resztki. Cieszyła się, że w ogóle coś jadł.

Właściwie to nie miała z nim ostatnio żadnych problemów. Nadal był zbyt cichy, obijał się o meble, bo często nie patrzył, gdzie idzie, ale za to ustało jąkanie, za co była niezmiernie wdzięczna, bo czuła się przez to zakłopotana. Dobrze szło mu w szkole. Był pracowity i pełen szacunku dla starszych.

Dobry z niego dzieciak.

Tak jak i Arthur.

A przynajmniej taki był przez większość czasu.

Jedynym problemem, jaki miała z Robertem, było brudzenie przez niego łóżka. Nie zdarzało się to często, ale Bóg jeden wie, że w jego wieku nawet jeden taki wypadek na miesiąc

wystarczył, by ją wykończyć i zamęczyć. Budziła się rano albo nawet i w środku nocy, w nozdrzach mając zapach, jakby ktoś wczołgał się do domu i skonał. A chłopak spał dalej we własnym gównie, czasem budził się i zdejmował z łóżka prześcieradło albo po prostu siedział ze smutną i pełną winy miną na brzegu łóżka.

Kazała mu prać swoją pościel po takiej nocy i rozłożyła plastikową płachtę pod prześcieradłem, by oszczędzić materac. Ale nie kupowała mu pieluch. Nie miała zamiaru wydawać pieniędzy na pieluchy dla dziewięciolatka.

Wkrótce znajdzie sposób, żeby go tego oduczyc.

Już niedługo.

Nie mogła znieść tego cholernego smrodu.

Nie było to normalne zachowanie.

Ani higieniczne.

Nie było potrzebne.

Miał już za dużo lat na takie rzeczy.

Oczywiście, miała jeszcze co nieco w zanadrzu, kilka sposobów, którymi przywoływała do porządku Arthura, kiedy się stawiał, choć musiała przyznać, że zdarzało się to nieczęsto. Ale świat się zmienił, odkąd jej syn był chłopcem, a i ludzie wsadzali teraz nos w nie swoje sprawy. Nauczyciele byli wścibscy, w szkole pracowali dociekliwi pedagodzy, a nawet rodzice lubili zajrzeć komuś pod strzechę. Słyszała różne historie. O ludziach, którym to pieprzone hrabstwo odebrało dzieci. Musiała uważać.

Będzie musiała bić tam, gdzie nie widać sińców.

Brzoza. Cienka, ogołocona z liści różga.

Zawsze działała na Arthura.

*A potem, w mroku jego sypialni, pójdzie do niego i przytuli do piersi. Jej podomkę zmoczą jego słodkie, ciepłe łzy.*

*Ukoły-*

*sze go i powie, że wszystko będzie dobrze, że już po wszystkim, że jest jej chłopcem, jej dobrym chłopcem, jej jedynym, jej jedynym dzieckiem, miłością jej życia. Do licha z Harrym, do Ucha ze wszystkimi, nikt na tym świecie się nie liczył tak, jak on. W oczach Boga należeli do siebie już na zawsze. Będzie go pieścić, pieścić i pieścić.*

Posłowie

## UWIERZ OPOWIEŚCI

Czasem masz rację, a czasem się mylisz.

A czasem po prostu czegoś nie wiesz.

„Jedyne dziecko" zostało zainspirowane przez fragment godzinnego programu dokumentalnego, który obejrzałem w 1994 roku na HBO. Należał do serii „America Undercover", reżyserowanej przez Lee Granta. Nazywał się „Kiedy kobiety zabijają" i brał pod lupę okoliczności, które popchnęły siedem kobiet do popełnienia morderstwa. Jedną z nich - i to pewnie prawdziwy powód, dlaczego podgłośniłem tego wieczoru telewizor - była przyprawiająca o gęsią skórkę popleczniczka Mansona, Leslie Van Houten.

Ale to sprawa Sherry Nance, pielęgniarki z Friendship w Teksasie, trafiła do mnie najbardziej.

Sherry zamordowała swojego męża w 1989 roku. Kiedy nakręcono program, była w więzieniu od pięciu lat. Przed chwilą skończyliście czytać coś, co przypomina jej własną historię. W rzeczywistości miała nie tylko syna, ale i córki. O ile dobrze pamiętam, wykorzystywanie seksualne chłopaka zostało zgłoszone nie przez Sherry, ale przez kogoś z zewnątrz, bodajże ze szkoły, kto zauważył, że coś jest nie tak z jego odbytnicą. Potem miało miejsce bulwersujące wydarzenie, którego zde-

cydowałem się nie przytaczać w książce. Lekarz zajmujący się sprawą chciał przeprowadzić odpowiednie badania, by określić dokładny czas obrażeń, co miało udowodnić, że to ojciec jest dręczycielem, ale przełożeni bali się, że ten wytoczy im proces i wybili mu to z głowy.

Reszta mojej wersji tej opowieści jest w miarę wierna temu, co zobaczyłem i usłyszałem tamtej nocy, temu, co nagrałem i oglądałem potem jeszcze wielokrotnie.

Myślę, że to przerażające - ta niesprawiedliwość. System prawny zawiódł na całej linii, porzucił ją i jej sześciolatniego synka. Bóg jeden wie, że nie jestem zwolennikiem broni, ale czasem matka musi zrobić to, co musi zrobić.

Wściekłem się wtedy. A lubię pisać, gdy jestem wkurzony.

Nie wiem wiele o Teksasie, więc akcję przenieśliśmy do znanego mi New Hampshire. Wynająłem faceta, który miał pogrzebać przy statutach dotyczących ochrony praw osób poszkodowanych w wyniku przemocy domowej i dzieci. Skontaktowałem się z prawnikiem z oddziału zajmującego się dziećmi i młodzieżą, który odpowiedział na wiele moich pytań związanych z procedurami i przepisami.

I sądzę, że wiele z nich opisałem wiernie, ponieważ niedługo po publikacji tej książki Douglas E. Winter, który jest nie tylko świetnym pisarzem zajmującym się grozą, ale i dobrym prawnikiem, sprawił mi spory komplement, mówiąc, że wszystkie kwestie sądownicze były podane z pieczołowitością.

Znalazłem więc ujście dla swojego gniewu i opowiedziałem historię.

Być może coś ze sobą wniosła, coś zmieniła. Nie potrafię stwierdzić.

Przed napisaniem tego kawałka chciałem odświeżyć sobie

pamięć i wpisałem nazwisko Sherry do wyszukiwarki internetowej. Ma konto na MySpace, nazwane Free Sherry Nance. Przybliżyła tam krótko swoją sprawę i obecną sytuację. Prosi o wsparcie i pisanie w jej imieniu próśb o zwolnienie warunkowe. Mówi też o dokumencie emitowanym przez HBO, ale nazywa go „Kobiety przed sądem”, nie używa oryginalnego, mroczniejszego tytułu, co po tylu latach faktycznie można uznać za niezamierzony błąd. Można się jednak domyślać, że posiada ten program na płycie DVD, nadal jest dostępny.

Ale jest na jej stronie jedna niepokojąca rzecz. Przynajmniej w mojej ocenie.

*Mój mąż został zabity, a ja skazana za morderstwo pierwszego stopnia.*

Pisała w stronie biernej.

*Nie zabiłam męża, ale mój mąż został zabity.*

Jakby niczego nie zrobiła, jakby nie odebrała nikomu życia.

Nawet, jeśli to życie nie było dobre.

Nie zachowywała się tak przed kamerą. W „Kiedy kobiety zabijają” przyznawała się do tego, co zrobiła. Była na granicy wyczerpania, ofiara skandalicznej niesprawiedliwości. Miała broń. Użyła jej. Za to na MySpace wspomina o morderstwie tylko raz: *Kiedy miał miejsce wypadek, za który zostałam wtrącona do więzienia, nadal próbowałam zmusić kogoś do wszczęcia śledztwa.*

*Miał miejsce wypadek.* Ponownie ta wstrętna strona bierna.

Być może był to pomysł jej adwokata. Możliwe. Ale nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, po prostu nie wiem.

Ale jeśli to prawda, oznacza to, że nasz system prawny znowu mnie wkurza.

A jeśli jednak nie, muszę zastanowić się nad portretem Sherry, który odmalował tamten dokument.

D.H. Lawrence mówił: *Nigdy nie ufaj artyście. Zaufaj opowieści.*

Czasem masz rację, a czasem się mylisz. A czasem po prostu czegoś nie wiesz. Wtedy zaufałem opowieści. I nadal uważam, że była to dobra decyzja.